Berlin, 27. 04. 1986 r. Rok V, nr. 8(106) A 9878 D

Dwutygodnik „Towarzystwa Solidarność"

Pogląd

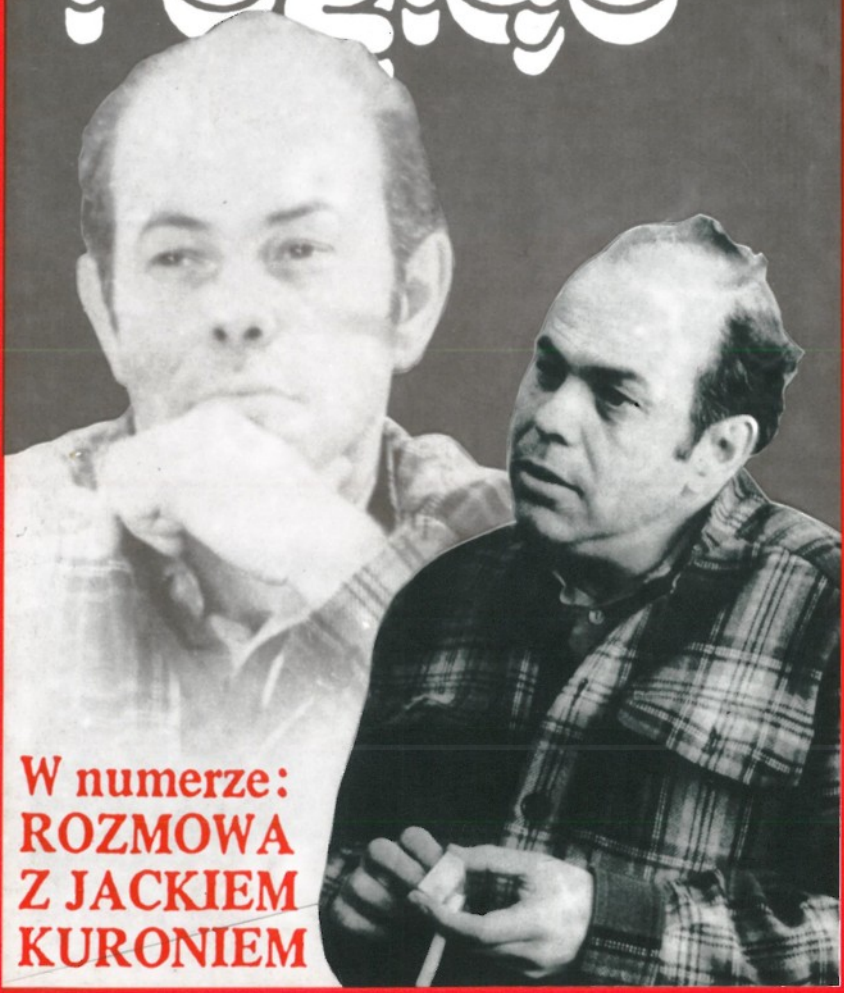

W numerze: ROZMOWA Z JACKIEM KURONIEM

Poglad

Anna Czarniecka
Czy wojna o Libię? 1

Maciej Radwan-Rybiński
Prywatne rozmyślania 12

Martwy punkt i nadzieje
Rozmowa
z Jackiem Kuroniem 16
Jőrg Bremer
We własnym sosie. 25
Maciej Radwan-Rybiński
Polska norma 27

Nie ma dziś na Ukrainie... . . . 32

Jerzy Starski
Pakistan w cieniu Libii 43
Robert Tof
Spectrum
Ameryki Łacińskiej. 47
O miłości wideo. 49
Krystyna Grzybowska
Londyn i reszta świata 51

Pieczeń rzymska. 54

Notatki. 56

KRONIKA EMIGRACYJNA . 57

Listy do redakcji 58

Oddano do druku 26. 04. 1986 r.

Okładka: Jacek Kotalla

interlinie

Jacek Kuroń w rozmowie z redakcją podziemnego pisma "Wola", którą publikujemy w numerze, tak powiedział o polskiej rzeczywistości: "Ten stan trwa długo i sprawił coś w rodzaju normalizacji, ludzie się przyzwyczaili, że tak ma być i zaczęli szukać sobie miejsc. W tej sytuacji działaczy jest niewielu. Bo wszyscy żyją normalnie, a on (działacz) całkiem nie". Co zaś znaczy dla wielu żyć w Polsce normalnie, z nieco innego miejsca widzi i opisuje Maciej Radwan-Rybiński ("Polska norma").

Działacze i ci, dla których "jedyną możliwością uczestniczenia w ruchu jest podnoszenie palców w kościele", "ideowcy" i "wystraszeni", szarzy ludzie z zakładów pracy i "żywiciele". Z obu - tak różnych przecież tekstów - wyłania się raz jeszcze obraz polskich paradoksów.

A na dodatek - "We własnym sosie" - czyli o polskiej kulturze okiem zachodniego dziennikarza (str. 25).

Anna Czarniecka

Czy wojna o Libię?

Społeczeństwa Europy Zachodniej na czele ze swymi rządami (jedynym wyjątkiem była Wielka Brytania) przyjęły amerykański atak bombowy na Libię, jeśli nie ze strachem, to przynajmniej z niechęcią i dużą dozą odrazy. Wypowiedziane przez kanclerza RFN Kohla „rozumiem", wywołało burzę – już nie tylko opozycji SPD i Zielonych – lecz także współrządzącej FDP. A przecież Kohl po owym „rozumiem" powiedział także: „ale nie popieram".

Reagan – morderca pojawiło się zaraz na murach hasełko, obok innych, wzywających do masowych demonstracji. Na samej tylko, krótkiej dość drodze od stacji metra do redakcji podobne świeżo pachnące farbą „hasełka" dostrzegłam dwa. Manifestacje odbyły się – a jakże.

Przypomnijmy więc raz jeszcze ten już truizm, iż kochający – rzecz jasna ponad wszystko – pokój demonstranci, wyrażali nie po raz pierwszy swoją (bardzo delikatnie powiedziawszy) niechęć do Amerykanów, zwłaszcza tu, gdzie piszę te słowa – w Berlinie, gwarantujących w ogóle istnienie wolnej części tego miasta. „Niechęć" ową wyrażano oczywiście na placu „Mostu Powietrznego" – bo gdzieżby w końcu indziej – swą nazwą upamiętniającym czasy słynnej blokady berlińskiej, na placu, gdzie stoi pomnik ku czci między innymi tych pilotów amerykańskich, którzy za wolność zachodnich berlińczyków oddali swoje życie. Demonstrantom to nie przeszkadzało, wolne massmedia tego faktu rodem z Orwella zdają się nie dostrzegać. Hasła demonstrantów i oświadczenia partii opozycyjnych pokrywają się zresztą – często słowo w słowo – z oświadcze-

Z prasy podziemnej

APEL DO LUDOWYCH I CHŁOPSKICH PARTII W EUROPIE

Od 15 września 1985 r. w więzieniu śledczym przebywa Józef Teliga – najstarszy więzień polityczny w Polsce, reprezentant polskich chłopów w ich pokojowej walce o prawo do zrzeszania się. 73-letni Józef Teliga walczył w podziemnej Armii Krajowej z okupantem hitlerowskim. W czasach stalinowskich był z tego powodu prześladowany i więziony. Po Sierpniu 80 organizował NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność". Od grudnia 1981 r. ukrywał się i do czasu pierwszego aresztowania w grudniu 1983 r. przewodniczył konspiracyjnemu Ogólnopolskiemu Komitetowi Oporu Rolników. Po wyjściu z wię-

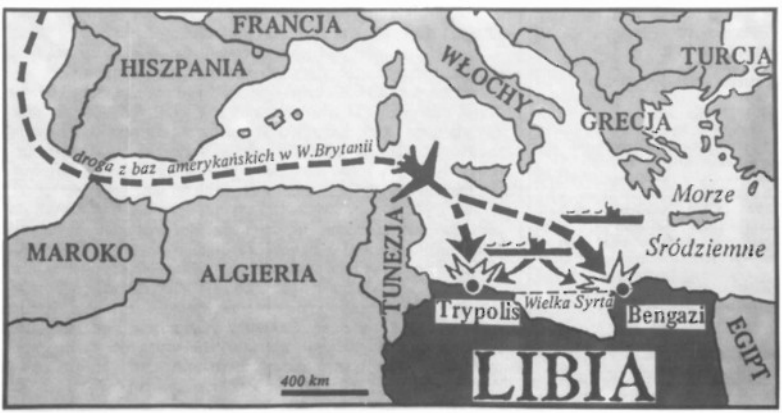

zienia w maju 1984 r. wycofał się z konspiracyjnej działalności.

Józef Teliga jest człowiekiem chorym – ma jedno płuco. Ciąży na nim absurdalny zarzut szpiegostwa i zdrady ojczyzny. Wszystkie partie i ruchy chłopskie w Europie prosimy o wywieraniu nacisku na władze PRL w celu uwolnienia tego niewinnego, zasłużonego działacza chłopskiego.

12 stycznia 1986 r.

Za Ogólnopolski Komitet Oporu Rolników – Jan Kamiński
Za Liberalno-Demokratyczną Partię „Niepodległość" – Marek Piasecki
Za „Solidarność Walczącą" – Kornel Morawiecki
(„Solidarność Walcząca" nr 1/120, 12-26 stycznia 1986 r.)

W BLOKU

JEŚLI ZACHOROWAŁEŚ NA WOLNOŚĆ

Kto raz znajdzie się na liście więźniów GUŁagu, będzie tam wracać: zmontują kolejną sprawę pod fałszywymi zarzutami, zamkną pod dowolnym pretekstem, dadzą wyrok za kontakty z dysydentami, za napisanie wspomnień z łagru, za skargę na złe traktowanie w więzieniu... Ostatnio przedłużanie kary odbywającym wyroki w łagrach i więzieniach stało się regułą. Najczęściej robi się to przed zakończeniem terminu odsiadki, czasem tuż po wyjściu na wolność.

Aleksander Szatrawka. W 1973 roku wraz z bratem i dwoma innymi kolegami uciekł do Finlandii. Złapany i wydany Sowietom symulował chorobę psychiczną w nadziei, że złagodzi to wyrok. Rzeczywiście uznano go za niepoczytalnego i zamknięto na 6 lat w znanym z najgorszych praktyk więziennym szpitalu psychiatrycznym w Dniepropietrowsku. Wypuszczony w 1979 roku, Szatrawka był później kilkakrotnie przymusowo hospitalizowany. W 1982 roku skazano go na 3 lata więzienia za wydanie wspomnień pt. „Jeśli zachorowałeś na wolność czyli reportaż z żołądka ludojada" i za współpracę z niezależnym ruchem pacyfistycznym. W połowie lipca 1985 na kilka miesięcy przed końcem wyroku „znaleziono" u niego narkotyki i wszczęto nową sprawę.

Aleksander Szatrawka, który w 1973 roku „zachorował na wolność" oczekuje na kolejny wyrok.
(„Tygodnik Mazowsze", nr 157, 6 II 1986)

BYKOWE

W Rumunii wzrósł o 70-100 % podatek dla bezdzietnych. Pracownik niami Moskwy i trudno już doprawdy dociec, która ze stron jako pierwsza wystosowała kolejny, antyamerykański protest.

Polityka Waszyngtonu przyjęła w stosunkach z Libią zdecydowany kurs po dokonanych w grudniu ubiegłego roku w Rzymie i Wiedniu zamachach bombowych. Ich sprawcami były terrorystyczne organizacje palestyńskie oficjalnie popierane i szkolone przez Kadafiego. Już wówczas rząd amerykański rozważał możliwość wojskowego odwetu na Libii, zachęcając do wspólnej akcji Izrael, który nie wyraził jednak na to ochoty. Mówiono też dużo, zarówno w Tel Awiwie, jak i w Waszyngtonie o tym, iż odpowiedzialność za zwalczanie terroryzmu ciąży na całej międzynarodowej wspólnocie. Zanim więc nastąpią akcje zbrojne, wyczerpany zostać musi arsenał nacisków politycznych i gospodarczych. Sankcje gospodarcze wobec Libii jako pierwsze zastosowały USA i Kanada. Długo trwały narady państw Europejskiej Wspólnoty, zastanawiano się, czy, aby i dlaczego. W efekcie – USA i Kanada pozostały pierwszymi i jednocześnie ostatnimi państwami, które podjęły sankcje. Miłujący pokój Zachód niechętnie zapłaci zań choćby feniga.

Wobec takiego stanu rzeczy rząd w Waszyngtonie postanowił w drugiej połowie marca br. pokazać Kadafiemu, iż USA to nie Zachodnia Europa. Formalnie chodziło tym razem o potwierdzenie prawa swobodnej żeglugi na wodach międzynarodowych i to na przekór jednostronnym roszczeniom Libii do 100-milowego pasma wód terytorialnych. Nie ulega jednak wątpliwości, iż amerykańskie lotniskowce przekroczyły wytyczoną przez Kadafiego „linię śmierci" umyślnie, by zademonstrować mu, iż USA nie uznają jednostronnych proklamacji libijskich. I tylko w tym sensie mówić można o jakimkolwiek „prowokowaniu" Libijczyków. Prowokowaniu, które uzmysłowić miało Kadafiemu, gdzie przebiega granica tolerancji. W wyniku tych – jak określono to enigmatycznie w Waszyngtonie – regularnych manewrów wojskowych na wodach zatoki Morza Śródziemnego o nazwie Wielka Syrta, wojska amerykańskie zatopiły trzy libijskie łodzie patrolowe i zniszczyły baterię rakiet przeciwlotniczych nie odnosząc przy tym żadnych strat, po czym wycofały się na uznawane również przez Kadafiego tereny wód międzynarodowych.

W Europie Zachodniej – rzecz jasna – zawrzało. Mało kto jednak mówił o libijskim terroryzmie, dużo słychać było natomiast na temat ostrej polityki USA. Tak to Kadafi – chcąc czy nie chcąc – zyskiwał jak gdyby cichych zwolenników, choć potencjalni na nich kandydaci zaprzeczyliby natychmiast takim zarzutom.

5 kwietnia w zachodnioberlińskiej dyskotece „La Belle" odwiedzanej masowo przez amerykańskich żołnierzy wybuchła bomba. Zginęły dwie osoby – amerykański żołnierz i Turczynka, 230 osób zostało rannych. Na berlińskich ulicach oczywiście nikt nie protestował, dyskotekę i rannych odwiedzili rządzący Berlinem burmistrz i ambasador USA w RFN. Już po zamachu władze podjęły szeroko zakrojone akcje kontrolne, zwłaszcza na przejściach granicznych do zachodniej części miasta, jak i w miejscach, często odwiedzanych przez stacjonujących w Berlinie Zachodnim obywateli amerykańskich, takich jak właśnie dyskoteki czy ulubione przez Amerykanów berlińskie lokale. Decyzja o wzmocnieniu kontroli podjęta została wspólnie przez przedstawicieli Wielkiej Brytanii, Francji i Stanów Zjednoczonych, a więc trzech krajów nadzorujących przestrzeganie statusu miasta. Sprawcami zamachu bombowego byli – jak przypuszczano – terroryści... libijscy, kierowani przez centralę, której siedzibą jest tzw. „Biuro Ludowe", czyli ambasada Libii w Berlinie...

Wschodnim. Na punktach granicznych miasta zaroiło się więc od patroli policyjnych kontrolujących wszystkich wyglądających na Libijczyków, a pojazdy libijskiej ambasady po wjeździe do Berlina Zachodniego otrzymały stałą „opiekę" tutejszej policji. Niejako w odpowiedzi na atak bombowy rząd RFN wydalił dwóch libijskich dyplomatów z ambasady w Bonn, ale tu, jak się jednak zdaje, rządowi niemieckiemu chodziło raczej o ukłon w stronę Waszyngtonu. Administracja Reagana miała dojść wyraźnie do wniosku, iż jej zachodnioeuropejscy sojusznicy też coś przedsięwzięli. Temat stosunków dyplomatycznych z Libią był również przedmiotem spotkania ministrów zagranicznych europejskiej dwunastki, którzy w poniedziałek 14 kwietnia zdecydowali o podjęciu przeciwko Libii sankcji... dyplomatycznych. W kilka godzin później okazało się, iż Waszyngton przestał wreszcie radzić się swych europejskich sojuszników. I to – chyba najbardziej – zabolało Zachodnią Europę. Bo chociaż (poza Londynem) w całej Europie atak amerykańskiego lotnictwa na Libię spotkał się z krytyką (wszystkim chodzi rzecz jasna o pokój), to fakt, iż np. minister spraw zagranicznych RFN, Genscher dowiedział się o ataku w samolocie lecącym właśnie do Stanów, ubódł najmocniej. O długotrwałych próbach przekonania przez USA państw dwunastki o konieczności podjęcia akcji przeciwko Libii tak politycy, jak i prasa zachodnioeuropejska jakoś nie pamiętają.

33 amerykańskie bombowce bojowe w towarzystwie samolotów-cystern wystartowały w nocy z 14 na 15 kwietnia z amerykańskiej bazy wojskowej w Wielkiej Brytanii. *Uczyniliśmy to, co uczynić musieliśmy* – powiedział tej samej nocy w wystąpieniu telewizyjnym prezydent Reagan, informując iż posiada absolutnie niepodważalne dowody potwierdzające udział Kadafiego i Libii w zamachu bombowym na berlińską dyskotekę. Minister obrony USA, Caspar Weinberger – który udzielił wywiadu dziennikarzom na specjalnej konferencji w Białym Domu – powiedział, iż celem amerykańskiego będzie teraz co miesiąc płacił 600-1000 lei, a przedstawiciele wolnych zawodów – nawet do 6 tys. Anonimowy rozmówca korespondenta PAP w Bukareszcie tak przedstawia swą sytuację: „20 % mam potrącane za niewykonanie planu przez przedsiębiorstwo, 12 % za brak dzieci, 4 % na składkę emerytalną. Do tego opłaty za związki zawodowe oraz kary za niewykonanie – niekoniecznie z mojej winy – pracy społecznej, wyznaczonej przez radę narodową".

(„Tygodnik Mazowsze", nr 157, 6 II 1986)

PLASTEREK

Przeczytałem o nagrodach kulturalnych „Solidarności" i jak co roku o tej porze krew mnie zalała. Przyznawanie niezależnych nagród kulturalnych winno być poprzedzone istnieniem niezależnej kultury, a tymczasem...

Artystą w PRL zostaje się wyłącznie z nadania państwowego. Należy odbębnić 4-5 lat w stosownej szkole i otrzymać papierek „magistra sztuki". No a potem wchodzi się w mechanizm „upowszechniania kultury": etat w dobrym teatrze, wystawa w renomowanej galerii, kolejka do planów wydawniczych.

Za dobrych czasów gierkowskich istniała przynajmniej alternatywa. Ludzie, którzy nie chcieli się

poddać artystycznej urawniłowce, znajdowali przytulisko w ruchu studenckim. Tak właśnie zaczynali m. in. Elżbieta Adamiak, Jacek Kaczmarski czy poznański Teatr Ósmego Dnia.

Ale artystą wybitnym można zostać wyłącznie za pomocą państwowego przekaziora. Kilkanaście odpowiednich recenzji może wystarczyć, choć tak naprawdę nazwisko robi się dopiero w telewizorni. Toteż od Grudnia, od kiedy w telewizorze pokazywać się nie wypada, nikt w Polsce nie został wybitnym artystą.

A jak już ustawiliśmy się „w zawodzie" i mamy chlebuś z masełkiem, możemy pomyśleć o niezależności. Najlepiej oczywiście na początek oddać legitymację partyjną, ale jeśli ktoś wcześniej zapomniał wystąpić, to też nic straconego. Można wszak zrobić program artystyczno-patriotyczny do kościoła, jakieś pieśni powstańcze lub coś w tym guście. Z tym, że prawdziwą sztukę można robić tylko w „prawdziwym" teatrze, przecież tam są prawdziwe reflektory i dekoracje!

Należy więc zostać dwu- lub trójobiegowcem: teksty „niekontrowersyjne" wydawać w PIW-ie czy WL-u, jakieś wiersze zamieścić w „Tygodniku Powszechnym", do tego parę słów w „Wezwaniu" i dłuższy esej w „Przedświcie" – pod nazwiskiem bez wiedzy i zgody. W końcu kultura polska jest jedna...

Artystą w pełni niezależnym od państwa w Polsce być nie można. Można co najwyżej usadowić się gdzieś w obszarze między zwykłym obrzydlistwem a zwykłym nieistnieniem.

Teatr Ósmego Dnia występuje od niedawna tylko w kościołach. Tyle, że grać w kościołach można, ale na przygotowanie nowego spektaklu nie ma żadnych nadziei. Antonina Krzysztoń, największy od czasów Ewy Demarczyk talent piosenkarski, wzięła etat w szpitalu – bo z niezależnego śpiewania nie jest w stanie się utrzymać. Teatr „Nieprasować", który z własnego wyboru odmówił cenzurowania przdstawień, dusi się z powodu niemożności ich rozreklamowania – w konsekwencji z braku widzów...

Uważam, że dwie sprawy są dla kultury niezależnej najistotniejsze, a jednocześnie najbardziej tragiczne: brak sensownej, kompetentnej krytyki artystycznej i kompletny zanik mechanizmów promocji nowych zjawisk alternatywnych wobec przejętego od państwa modelu rozpowszechniania kultury.

ataku były koszary Assisijah w Trypolisie, na terenie których mieszka Kadafi i gdzie również znajdować się ma centrum libijskiej służby bezpieczeństwa. Przedmiotem amerykańskiego ataku w Trypolisie była również wojskowa część lotniska i port Sidi-Bilal. Drugie zbombardowane przez lotnictwo amerykańskie miasto to Bengazi, gdzie również celem ataku były koszary i wojskowe lotnisko. Amerykańskie bombowce odbyły trasę 10 300 km, musiały bowiem nadłożyć o 4 500 km drogi, gdyż zarówno Paryż, jak i Madryt nie wyraziły zgody na przelot nad terytoriami ich krajów.

Amerykańską akcję poparły wyraźnie jedynie Kanada, Izrael i Wielka Brytania. Pozostałe kraje świata zajęły mniej lub bardziej zbliżone do Moskwy stanowisko. W tej konfiguracji poglądów warto chyba jeszcze raz zacytować inne zdanie wypowiedziane przez kanclerza RFN Kohla: *rząd Republiki Federalnej odrzuca stosowanie przemocy. Ale jeśli ktoś, tak jak pułkownik Kadafi głosi i praktykuje jej stosowanie, musi liczyć się z tym, iż ci, w których jest ona wymierzona, będą się przed nią bronić.* Właśnie jako akt obrony określił Waszyngton swoją decyzję o zbombardowaniu strategicznych centrów Libii, w wyniku którego – według oficjalnych danych libijskich – śmierć poniosło 37 osób, a 93 odniosły rany. Jeden z obiektów bombardowania – siedziba Kadafiego – został doszczętnie zniszczony. Kadafi uszedł jednak cało.

18 kwietnia wieczorem na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa ONZ nowy ambasador Libii w nowojorskiej siedzibie Narodów Zjednoczonych powiedział, iż rząd Kadafiego nie życzy sobie wojny z USA, jak i nie ma też żadnych możliwości zaatakowania amerykańskich obiektów: *Potępiamy terroryzm, chcemy wolności dla ludzi. Jesteśmy gotowi do dialogu.* Palestyński przywódca terrorystów, dobry przyjaciel Kadafiego, Abu Nidal dwa dni wcześniej zapowiedział już jednak, iż Amerykanie muszą się liczyć z *poważnymi atakami odwetowymi*. Dwa dni po amerykańskim ataku na Libię w Bej-

Dyskoteka „La Belle":
dwie osoby zginęły

rucie znaleziono ciała trzech zamordowanych brytyjskich dziennikarzy. Przy dwu z nich znajdowały się kartki informujące, iż byli agentami tajnych służb amerykańskich. Zabito ich – głosił napis – gdyż *międzynarodowy terrorysta Reagan* zaatakował, z pomocą Londynu, Libię. Tego samego dnia arabscy terroryści usiłowali wysadzić w powietrze izraelski jumbo-jet z 400 osobami na pokładzie. Tragedii zapobiegli na 35 minut przed startem maszyny z londyńskiego lotniska Heathrow funkcjonariusze służb bezpieczeństwa izraelskich linii lotniczych El-Al. 18 kwietnia policja turecka aresztowała w Ankarze czterech Libijczyków podejrzanych – jak poinformowano – o przygotowywanie zamachu bombowego na klub oficerski armii USA. „Gotowość do dialogu" przeradza się, jak widać, w czyny.

Tymczasem Libia zwróciła się oficjalnie o pomoc do państw Układu Warszawskiego i jest z nimi – jak poinformował zastępca Kadafiego, major Dżallud – w stałym kontakcie. Wyraźnej sowieckiej odpowiedzi (w chwili, gdy to piszę) brak.

Amerykański atak bombowy nie zlikwiduje – niewątpliwie – zjawiska światowego terroryzmu, za którym kryją się najróżniejsze ugrupowania polityczne, walczące często o sprzeczne ze sobą cele. Libia nie jest też jedynym na świecie krajem, który wspiera czynnie terroryzm. Co więc chciał osiągnąć rząd Reagana, który nota bene dla swojej akcji uzyskał niespotykanie duże poparcie własnego społeczeństwa? Niewątpliwie pokazać Kadafiemu, a na jego przykładzie i innym podobnym do niego szaleńcom, iż cierpliwość Waszyngtonu ma swoje granice. W wyniku bombardowania zginęli ludzie, zapewne przypadkowi. Śmierć ponieśli także dwaj piloci amerykańskiego bombowca, który jako jedyny z 33 nie powrócił do bazy. I to bynajmniej nie stanowi powodu do dumy. Ale czy odpowiedzią na terroryzm pozostać mają tylko gabinetowe dyskusje?

Berlin, 20 kwietnia 1986

Trypolis:
uszkodzony w wyniku bombardowania gmach ambasady francuskiej

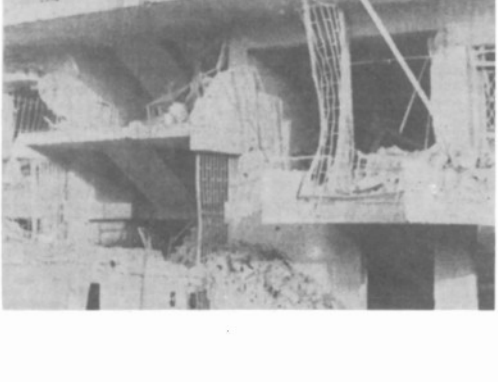

Zajęcie się tym jest elementarnym obowiązkiem „Kultury Niezależnej" – było nie było organu Komitetu Kultury Niezależnej. Zamiast tego pismo drukuje donosy na aparatczyków (patrz np. nr 14 – A. Krukowski – „Portret posła") i ploteczki z okolic byłych związków twórczych.

Że takich alternatywnych zjawisk nie ma? Proszę bardzo, oto przykłady tylko z teatru: zespół „12a" z Katowic, teatry „Provisorium" i „Grupa Chwilowa" z Lublina, teatr dla dzieci „Wierzbak" z Poznania. A cały rockowy underground? Nie chodzi o to, by te działania chwalić, trzeba je przynajmniej zauważyć. Dyskusja o kulturze, krytyka artystyczna na serio nie może obracać się wciąż w tym samym kręgu 20-30 zjawisk i nazwisk: Herbert, Lipski, Michnik, kilka książek...

Rozumiem, że „Wezwanie" ma własne gusta i politykę redakcyjną. Ale jeśli z dostarczonych mu 15 nieźłych, choć nie genialnych wierszy debiutanta, który chce je drukować pod nazwiskiem, wybiera się jeden „patriotyczny", a następnie umieszcza między dwoma innymi o podobnej tematyce – to ani dla twórcy, ani dla czytelników, ani wreszcie dla pisma nic z tego nie wynika. Gdyby wydrukowano 5-6 sensownie ułożonych, opatrzonych notką o autorze, może ktoś by to zauważył.

Nie zdziwi mnie więc, gdy autor – zamiast pchać wiersze do podziemia – wyśle je do radiowej „trójki", gdzie prof. Treugutt miło i życzliwie oceni, zachęci do dalszego pisania; potem do „Radaru", gdzie ocenzurują, ale wydrukują i zapłacą; a potem złoży tomik w KAW-ie, KiW-ie czy innych „Iskrach". Nie ma bowiem alternatywy. Jeśli chce być artystą, musi sprzedać się państwu.

Wręczanie raz do roku nagród (choćby honorowych) nie zastąpi sensownego, perspektywicznego mecenatu kulturalnego, zwłaszcza tworzenia rzeczywiście niezależnych modeli kultury. Jest tylko plasterkiem przylepianym z wierzchu, żeby sprawą nie trzeba było zajmować się serio.

Grzegorz Widok

(„Tygodnik Mazowsze", nr 158, 13 II 1986)

CZYTAJ „POGLĄD"

Kraj w prasie zachodniej

BILANS WIZYTY ORZECHOWSKIEGO W BONN

Na zakończenie wizyty ministra spraw zagranicznych PRL Orzechowskiego w Bonn zachodnioniemieckie ministerstwo spraw zagranicznych ogłosiło zgodne oświadczenie obu ministrów, iż w stosunkach niemiecko-polskich „poczyniono znaczny krok do przodu". Oznajmiono również, że Orzechowski zaprosił ministra spraw zagranicznych RFN Genschera do złożenia wizyty w PRL wiosną 1987 roku. Berliński *Tagesspiegel* (9. 04) przypuszcza, że podróż Genschera do Polski posłuży m. in. przygotowaniu oficjalnej wizyty prezydenta RFN Weizsaeckera. Wyczekująca postawa Orzechowskiego w Bonn, który nie stawiał wobec niemieckich rozmówców żądań natury politycznej, prawnej czy gospodarczej, znalazła uznanie w rządzie niemieckim. Pozytywnie przyjęto niespodziewane oświadczenie Orzechowskiego o gotowości rządu PRL do otwarcia instytutu kultury niemieckiej w Polsce; RFN utrzymuje taki instytut jedynie w Rumunii, bowiem inne państwa bloku wschodniego zdecydowanie odrzucały zachodnioniemieckie propozycje w tym względzie.

Z krytyką ministra Genschera wystąpił członek Bundestagu i przewodniczący Związku Przesiedleńców, Czaja (CDU), który zarzucił Genscherowi „nieskuteczność działań w celu łączenia rodzin oraz przeciwko uciskowi osób pochodzenia niemieckiego".

GLEMP KRYTYKUJE URBANA

Podczas konferencji prasowej zorganizowanej przez Episkopat dla zachodnich dziennikarzy Prymas Glemp uznał ataki Urbana przeciwko Kościołowi za szkodliwie dla stosunków między państwem i Kościołem. Glemp uznał szeroko propagowany przez prasę PRL, a podpisany pseudonimem artykuł Urbana za „niedobry" – pisze berliński dziennik *Tagesspiegel* (9. 04).

ORZECHOWSKI ŻĄDA ODSZKODOWAŃ ZA ROBOTY PRZYMUSOWE

W ostatnim dniu swego czterodniowego pobytu w Bonn minister spraw zagranicznych PRL Orzechowski spotkał się z ministrem gospodarki Bangemannem oraz szefem rządu bawarskiego i bawarskiej chadecji (CSU) Straussem. Zasadnicza różnica zdań między stroną polską i niemiecką, podkreśla berliński *Tagesspiegel*, pojawiła się w ocenie udziału RFN w amerykańskim programie SDI.

Głównym tematem godzinnej rozmowy Orzechowskiego z członkami centralnego zarządu i posłami Partii Zielonych do Bundestagu była podjęta przez członków tej partii inicjatywa wypłacenia odszkodowań Polakom zatrudnionym na robotach przymusowych w Niemczech podczas II wojny światowej. Jak podał przedstawiciel frakcji Zielonych, Orzechowski wyraził nadzieję, że Republika Federalna uzna roszczenia do odszkodowań dla żyjących jeszcze ofiar wojny. Przedstawiciele Zielonych wyrazili swoje niezadowolenie z faktu, że wszystkie dotychczasowe rządy Republiki Federalnej próbowały problem ten przemilczeć, oczekując, że rozwiąże się on sam wraz z naturalną śmiercią pokrzywdzonych polskich obywateli.

FRASYNIUK W POLSKIEJ TELEWIZJI

Sueddeutsche Zeitung (12/13. 04) informuje, że w telewizji polskiej pokazano „w zrobionej z ukrycia sekwencji filmowej przywódcę ‚Solidarności' z Wrocławia Władysława Frasyniuka w celu udowodnienia, że nie jest on chory". Frasyniuk został sfilmowany podczas spaceru na niewielkim więziennym podwórku ogrodzonym drutem. Zdenerwowany chodził w tę i z powrotem. Następnie lekarz więzienny Jan Strzemecki zapewnił telewidzów, że badał Frasyniuka w dniu 7 kwietnia i stwierdził, że jest on zdrowy.

„NIEMCY ZACHODNIE – KRAJ NAJBARDZIEJ LUBIANY PRZEZ POLAKÓW"

Warszawski korespondet berlińskiego dziennika *Tagesspiegel* (oraz kilku innych gazet niemieckich i berlińskiej rozgłośni RIAS) Gert Baumgarten podsumowując rezonans, jaki wywołała w PRL wizyta ministra Orzechowskiego w Bonn pisze: „... przeciętny czytelnik prasy czy też słuchacz radia w Polsce odniósł wrażenie, że PRL nie ma z żadnym innym krajem zachodnim tak dobrych stosunków, jak z Republiką Federalną Niemiec. Odbierane jest to różnie. Z jednej strony odpowiada to całkowicie odczuciom przeważającej większości społeczeństwa wobec RFN, przede wszystkim zaś ludzi młodych: Niemcy Zachodnie stały się w oczach Polaków najbardziej lubianym krajem zachodnim oraz najczęstszym celem podróży, czego dowodzi ilość wydawanych wiz przez ambasadę RFN w Warszawie, osiągająca coraz to nowe rekordy. Z drugiej zaś strony liczni przeciwnicy komunizmu w kraju cieszą się z każdego ‚kosza' i każdej odmowy otrzymywanej przez ekipę Jaruzelskiego z zachodnich stolic... Wizyta Orzechowskiego w Bonn jest więc widocznym sukcesem dyplomatycznym Polski pod rządami generała Jaruzelskiego w jednym z największych krajów zachodniego sojuszu."

NOWY AMBASADOR PRL W BONN

Były minister handlu zagranicznego Nestorowicz – donosi *Tagesspiegel* (13. 04) – został mianowany nowym ambasadorem PRL w Bonn. Zajmie on miejsce dotychczasowego ambasadora Olechowskiego, którego przesunięto na stanowisko wiceministra spraw zagranicznych.

PIERWSZOMAJOWY APEL PODZIEMNEJ „SOLIDARNOŚCI"

Berliński dziennik *TAZ* (14. 04) podaje w wiadomościach agencyjnych, że podziemna „Solidarność" wezwała do udziału w niezależnej demonstracji pierwszomajowej. Niezależne obchody 1 Maja mają rozpocząć się nabożeństwem w kościele św. Stanisława Kostki w Warszawie, przy którym pochowany jest ks. Jerzy Popiełuszko. Czterech sygnatariuszy apelu, w tym szef TKK Zbigniew Bujak, wyraża również podzię-

kowania zachodnim związkom zawodowym za pomoc.

WIZYTA PRYMASA GLEMPA WE FRANCJI

Premier Chirac – pisze *Neue Zuercher Zeitung* (15. 04) przyjął na audiencji Prymasa Polski Glempa, który przybył do Francji z 10-dniową wizytą. Spotkanie to ma charakter symboliczny, bowiem przed około czterema miesiącami prezydent Mitterand przyjął w Pałacu Elizejskim generała Jaruzelskiego, co wywołało burzę niezadowolenia. Chirac, jako burmistrz Paryża, przyjmował dostojnika kościelnego znad Wisły uprzednio już dwukrotnie. Tym razem Glemp złożył mu podziękowanie za wszystkie dotychczasowe przyjazne wobec Polski gesty. Dostojnik polskiego Kościoła – informuje *NZZ* – przybył na obchody 150-lecia założenia Polskiej Misji Katolickiej we Francji. Obecnie w kraju tym pracuje 130 polskich księży, których kardynał ma zamiar odwiedzić podczas tygodniowej podróży. W niedzielę celebrował on główną mszę w katedrze Notre Dame wraz z kardynałem Lustigerem, synem polskich emigrantów pochodzenia żydowskiego. (...) W audycji francuskiej telewizji Prymas zachowywał ostrożność w komentowaniu sytuacji politycznej w kraju. Alarmujące wiadomości o losie działacza „Solidarności" Władysława Frasyniuka określił jako przesadzone. Ani słowem nie wypowiedział się o losie Bogdana Lisa. Zapytany odnośnie złożonego kiedyś w Paryżu przez Jaruzelskiego oświadczenia o perspektywach zmian na lepsze, kardynał ograniczył się do dyplomatycznego komentarza oświadczając, iż – jak pisze *NZZ* – „ze względu na sposób realizacji postępu w krajach socjalistycznych" przypuszcza, że zmiany te będą zachodzić wolno. Kardynał dodał, że „Solidarność" jako idea jest nadal głęboko zakorzeniona w polskim społeczeństwie – pisze *Neue Zuercher Zeitung*.

FDP ZAPRASZA POLSKIE SD DO BERLINA

Podczas czterodniowego pobytu w Polsce członkowie delegacji partii wolnych demokratów (FDP) z zachodnioberlińskiego parlamentu miejskiego zaprosili delegację PRL-owskiego Stronnictwa Demokratycznego do złożenia rewizyty w Berlinie Zachodnim. Wiceprzewodniczący frakcji parlamentarnej Fabig oświadczył, że „należy stopniowo odchodzić do polityki izolacji wobec Polski", pisze *Tagesspiegel* (15. 04).

BYLI WIĘŹNIOWIE OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH ZAPROSZENI DO RFN

Zachodnioniemiecka Fundacja im. Maksymiliana Kolbe wystosowała do 300 Polaków, byłych więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych, zaproszenie na 3-tygodniowy pobyt w Republice Federalnej Niemiec. Pani Elisabeth Erb poinformowała na sympozjum „Caritasu" w Fuldzie (Hesja), że w Polsce żyje jeszcze 26 tys. ofiar niemieckich obozów koncentracyjnych. Przypuszcza się, że wielu byłych więźniów nie zechce skorzystać z zaproszenia z racji lęku „konfrontacji z dzisiejszym Niemcami". Wystosowanie zaproszenia zyskało poparcie niemieckiego „Caritasu" oraz gmin kościelnych.

WYMIANA UCZNIÓW MIĘDZY PRL I BERLINEM ZACH.?

Jak podaje berliński *Tagesspiegel* (17. 04) z 5-dniowej podróży po Polsce powrócili członkowie komisji szkolnej, w składzie której znajdowali się przedstawiciele wszystkich frakcji zachodnioberlińskiego parlamentu. W różnych rozmowach w Polsce odniesiono wrażenie, że oficjalne czynniki PRL są pozytywnie ustosunkowane do projektu wymiany uczniów ze szkołami Berlina Zachodniego oraz intensyfikacji kontaktów sportowych na poziomie klubów – oświadczył przewodniczący komisji Stach. Berlińscy parlamentarzyści prowadzili rozmowy w Ministerstwie Oświaty i Wychowania w Warszawie, zwiedzili kilka szkół i mieli okazję rozmawiać z uczniami.

SPOTKANIE EKSPERTÓW PRZED KONFERENCJĄ BEZPIECZEŃSTWA I WSPÓŁPRACY W EUROPIE

W stolicy Szwajcarii Bernie odbyło się robocze spotkanie ekspertów, reprezentantów państw biorących udział w Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (19. 04) pozytywnie ocenia wystąpienie szefa delegacji PRL Nowaka, który stwierdził, że rząd PRL zawsze starał się rozszerzać i rozwijać kontakty między obywatelami swojego kraju i innymi narodowościami zgodnie z duchem Aktu Końcowego z Helsinek. Nowak zwrócił uwagę, że obywatele polscy mają coraz większe możliwości podejmowania podróży służbowych i prywatnych za granicę, ułatwiono również „łączenie rodzin". Nowak – podkreśla *FAZ* – odczytał swój referat w języku angielskim, ton jego wystąpienia był przyjazny, czym zdecydowanie różnił się od swoich sowieckich poprzedników.

KATOWICE: ARESZT ZA POCHODZENIE NIEMIECKIE

Opierając się na doniesieniach z Katowic *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (22. 04) podaje, że w Katowicach aresztowano Andrzeja Osmendę, członka grupy obywateli polskich niemieckiego pochodzenia starających się u władz o pozwolenie na prowadzenie działalności kulturalnej jako niemiecka mniejszość narodowa. Osmendzie zarzucono, że handlował nielegalnie butelkami. Podczas rewizji skonfiskowano mu wszystkie dokumenty świadczące o jego niemieckim pochodzeniu.

KARY WIĘZIENIA DLA PRZYWÓDCÓW KPN

Sąd Okręgowy w Warszawie skazał pięciu przywódców Konfederacji Polski Niepodległej na kary więzienia od 2 do 4 lat. Przywódca KPN Leszek Moczulski otrzymał karę 4 lat, Król i Słomko po 2,5 roku, Szomański i Wójcik po 2 lata – podaje *Tagesspiegel* (23. 04). Prokurator żądał wyroków od 4 do 6 lat. Sąd nie przychylił się do argumentacji oskarżonych, którzy broniąc się twierdzili, że KPN jest partią polityczną, a zakładanie partii politycznych nie jest w PRL karalne. Sąd uznał, że oskarżeni należeli „do tajnej organizacji, której celem było sianie niepokojów". Według sądu organizacja ta miała niewielki wpływ na szerokie kręgi społeczeństwa, jednakże „źle oddziaływała na młodzież".

URBAN NIE WYKLUCZA AMNESTII

Na konferencji prasowej dla dziennikarzy zachodnich – *Tagesspiegel* (23. 04) – rzecznik rządu Urban nie wykluczył, iż rząd ogłosi wkrótce amnestię dla więźniów politycznych. Urban powołał się na rozmowy min. Orzechowskiego prowadzone z przedstawicielami partii Zielonych podczas wizyty w Republice Federalnej Niemiec. Urban stwierdził, iż wydanie ustawy o amnestii jest „teoretycznie" możliwe. Nie podjęto żadnej decyzji odnośnie

terminu, który zależy od wewnętrznej stabilizacji i od zaprzestania działalności przez siły wewnątrz kraju i za granicą dążące do destabilizacji.

Kraj w prasie PRL

OCHRONA PRACY?

Praca, jak wiadomo, wymaga ochrony, bezpieczeństwa i higieny. W polskiej „nowomowie" stworzono więc przed laty „przepisy bezpieczeństwa i higieny pracy" ostatnio natomiast „Radę Ochrony Pracy". Powołano ją uchwałą Rady Państwa 12 grudnia 1985 r. Przewodniczącym Rady Ochrony Pracy został niejaki Leszek Brojanowski, wiceprzewodniczący Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych. Praca – pod opieką różnych wysoko postawionych przewodniczących i sekretarzy – ma się więc w Polsce dobrze.

ZWIĄZKI ZAWODOWE

Sprawy i Ludzie z 20 marca 1986 r. doniosły, iż: *5 732 000 osób należy do związków zawodowych. W tej liczbie jest 647 tysięcy emerytów i rencistów. W 2 000 zakładów, z reguły mniejszych, związki zawodowe jeszcze nie powstały. Powstały natomiast w 25 tysiącach jednostek uprawnionych do ich tworzenia. 19 tysięcy z nich jest zrzeszonych w 132 federacjach. Ponad 6 tysięcy nie przejawiło w tym kierunku żadnej ochoty.*

Informacje podano bez komentarza. My więc też nie będziemy jej komentować, bo porównywanie liczebności związku w roku 1981 i w 1986 byłoby przecież chwytem poniżej pasa.

NIE OD RAZU KRAKÓW ZNISZCZONO

Po roku 1945 Kraków, miasto na szczęście niemal nie tknięte przez działania wojenne, został przez władze komunistyczne skazany na moralne nieistnienie. „Cały naród odbudowywał swoją stolicę", Kraków zaś – traktowany przez propagandę jak siedlisko reakcji – powoli i spokojnie niszczał. Przebudzenie nastąpiło dopiero po roku 1978, kiedy UNESCO wpisało miasto na listę zabytków światowych klasy zero. W rok później powstał Społeczny Komitet Odnowy Zabytków Krakowa. Minęło ponad 8 lat. W. Marnic z *Perspektyw* (14 marca 1986) przeprowadził rozmowę z mgr Chydzikiem, dyrektorem Zarządu Rewaloryzacji Zespołów Zabytkowych Krakowa. Artykuł uzupełnia tabelka:

Czego ile potrzeba Krakowowi:
rur stalowych 500 km
blachy cynkowej 930 tys kg
szkła 140 tys m^2
cementu 20 tys ton
drewna 31 tys m^3
cegieł 19 mln sztuk
farb i lakierów 820 ton
papy 1300 tys m^2
kabli energetycznych 172 tys metrów.

Rewaloryzacja będzie kosztować:
w roku 1986 – 1 mld 580 zł
w roku 1987 – 1 mld 655 zł
w roku 1988 – 1 mld 750 zł
w roku 1989 – 1 mld 850 zł
w roku 1990 – 1 mld 945 zł

Czy Huta Katowice zdoła wyprodukować przez najbliższe 5 lat 500 km rur stalowych?

PRAWO PARKINSONA A MŁODZIEŻ

Istotą systemu komunistycznego jest nie tyle totalne scentralizowanie (taki pomysł już dawno okazał się nierealną mrzonką), ile oddanie każdej dziedziny życia społecznego w gestię licznych, wchodzących sobie w paradę, niekompetentnych i niezdolnych do jakiegokolwiek działania instytucji. Ta skądinąd słuszna zasada osiągnęła swoje apogeum w kwestii młodzieży, którą jak podało *Słowo Powszechne* z 26 marca 1986 r. – zajmuje się obecnie... 180 instytucji. *Tymczasem nasza wiedza (...) wciąż pozostaje powierzchowna, rozproszona, niepełna* ubolewa cytowana tu przez *Słowo Powszechne* dziennikarka *Kuriera Polskiego*.

Dzięki tak bogatej oprawie instytucjonalnej polska młodzież mogła spokojnie gromadzić się w pierwszych miesiącach br. na wojewódzkich zjazdach ZMW, o czym krakowski *Dziennik Polski* z dnia 17 marca 1986 poinformował pod budzącym duże nadzieje tytułem *Zapał, inicjatywa, wiara w przyszłość*.

URBAN I KOŚCIÓŁ

W związku z dużym zainteresowaniem opinii publicznej kradzieżą w katedrze gnieźnieńskiej pragnę podać kilka informacji ogólniejszych związanych z problemem kradzieży i włamań w kościołach – powiedział rzecznik rządu na konferencji prasowej w dniu 25 marca br. (*Rzeczpospolita*, 1 kwietnia 1986): *W latach 1981-1985 milicji zgłoszono o ponad 3 tysiącach kradzieży i kradzieży z włamaniem do obiektów kościelnych albo do plebanii. Są to dane dotyczące wszystkich wyznań, ale 90% to są włamania lub kradzieże w kościołach rzymsko-katolickich. Ujęto 2069 sprawców, raczej ustalono tylu, bo nie wszystkich z nich ujęto. Z ich zeznań nie wynika, aby trafiali się wśród nich ateiści* (podkreślenie nasze). *To stanowi, że 67% sprawców zostało wykrytych. Łączna wartość skradzionych przedmiotów w tym czasie – 295 mln zł. Odzyskano przedmioty o wartości 99 mln zł. Jednakże tutaj niekoniecznie wartość materialna stanowi główną szkodę. Łącznie włamania na szkodę Kościoła i kradzieże dokonywane na szkodę Kościoła stanowią 0,2-0,3% ogółu stwierdzonych w Polsce kradzieży i włamań. W ubiegłym roku stwierdzono 383 takich przestępstw, a wykryto 539. To stanowi ponad 78%. (...) Milicja stwierdza niedostateczne zabezpieczenie przed kradzieżami kościołów i innych obiektów. Sprawcy z łatwością pokonywali prawie we wszystkich wypadkach zamki, drzwi, okna, nawet kraty, które służyły w kościołach zabezpieczeniu mienia. Utrudniają ściganie dosyć liczne wypadki późnego zgłaszania o przestępstwie albo wręcz niezgłaszania przez przedstawicieli kościołów. Np. w Przemyślu zatrzymano grupę przestępczą Bogusława Ulmana, która dokonała 12 włamań do kościołów i 6 z tych włamań w ogóle nie zgłoszono organom milicji.*

Więc – po pierwsze kradli wierzący, a po drugie – Kościół sam jest sobie winien, bo powinien wszystko, co posiada, zamknąć na kłódkę lub – jeszcze lepiej – oddać na przechowanie do magazynów Muzeum Narodowego w Warszawie.

KREOWANIE LEGENDY

Kwiecień jest w Polsce „miesiącem pamięci narodowej". Chyba dla uczczenia tej okazji dnia 3 kwietnia 1986 r. w dziale *Mówią dokumenty, Trybuna Ludu* zamieściła artykuł zatytułowany *Jeszcze raz o Ottonie Schimku*.

Postacią Ottona Schimka, młodego żołnierza Wehrmachtu rozstrzelanego za odmowę wykonania rozkazu i pochowanego w podkarpackiej wsi Machowa od wielu już lat zajmował się polski Kościół katolicki, a przed rokiem przypomniał Schimka społeczeństwu nowo powstały ruch pacyfistyczny „Wolność i Pokój" (zobacz *Pogląd* nr 3 z br.). Opublikowana w *Trybunie Ludu* informacja PAP o polskich „pokojowcach" nie wspomina, zajmuje się natomiast opluwaniem postaci młodego żołnierza.

W związku z licznymi pytaniami dotyczącymi szczegółów sprawy Ottona Schimka, domniemanego bohatera – skazanego na śmierć rzekomo za odmowę wykonania zbrodniczego rozkazu wobec Polaków redakcja PAP zwróciła się do dyrektora Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce – Instytutu Pamięci Narodowej prof. dr Kazimierza Kąkola z prośbą o naświetlenie stanu faktycznego w tej sprawie. Oto wypowiedź prof. Kąkola: (...) Wydarzenia z roku 1944 są udokumentowane w sposób jednoznaczny. Otto Schimek był żołnierzem 8 kompanii 1083 pułku grenadierów wchodzącego w skład 544 dywizji grenadierów Volksgrenadierdivision. Do służby w Wehrmachcie wcielony został 25 lutego 1943 r. w wieku lat niespełna 18. 14 listopada 1944 r. został rozstrzelany w Lipinach (ziemia tarnowska) na mocy wyroku nr 77/44 sądu polowego 544 dywizji grenadierów wydanego w dniu 28 października 1944 roku. Otto Schimek został skazany „wegen Feigheit und Fahnenflucht" – z powodu „tchórzostwa i dezercji".

Poszukiwania prowadzone usilnie, a zmierzające do bliższego i ewentualnie odmiennego naświetlenia przyczyn rozstrzelania nie przyniosły żadnych rezultatów.

Odmienne niż w wyroku sądu polowego przyczyny egzekucji Ottona Schimka zostały bez żadnych ku temu podstaw zakomunikowane opinii publicznej poprzez tekst napisu na płycie nagrobkowej sporządzonej w roku 1970. (...) Głosi on po polsku i po niemiecku, że Otto Schimek „stracony został przez Wehrmacht w 1944 r., ponieważ wzbraniał się strzelać do polskiej ludności".

Akcja kreowania legendy Ottona Schimka doprowadziła do takiego właśnie sformułowania nagrobkowego napisu, natomiast sformułowanie napisu z kolei stało się kamieniem węgielnym eskalacji poczynań tyleż usilnych i bezceremonialnych, co pozbawionych rzeczowego uzasadnienia.

Baza merytoryczna dla tych poczynań, jest uczciwie mówiąc żadna.

Jak się okazuje, praworządność jest w Polsce najwyższą miarą wartości. Wyrok sądu hitlerowskiego w czasie wojny był przecież prawomocny, a rzekomy bohater był po prostu... tchórzem i dezerterem. Brawo panie Kąkol!

STATKI DLA ZSSR

Trybuna Ludu z 2 kwietnia 1986 r. poinformowała o zawartych właśnie umowach *między Polską a ZSRR o współpracy w dziedzinie budownictwa okrętowego i wzajemnych dostaw statków, urządzeń technicznych i wyposażenia okrętowego*. Z umowy wynika, że w latach 1986-1990 Polska dostarczy swemu partnerowi 286 statków w 37 typach wartości około 3 mld rubli.

Interesujące wydaje się, że nie poinformowano czytelników, jakie to z kolei statki i ile dostarczy Polsce ZSSR. A umowa dotyczy wszak „wzajemnych dostaw".

REFORMA W SZKOLE

Do programu szkoły średniej wprowadzono nowy przedmiot – religioznawstwo, poinformował 6 marca 1986 r. *Dziennik Polski* zamieszczając wywiad Teresy Bydkowskiej z dyrektorem Instytutu Religioznawstwa UJ doc. J. Majchrowskim. Dyrektor Majchrowski podzielił się z reporterką swymi obawami co do ilości i jakości kadry nauczycielskiej, na której spocząć ma zadanie uczenia młodzieży o problemach rozwoju i historii religii. Program jest bowiem obarczony ogromną ilością zadań: *Z założenia miał on młodym ludziom poszerzyć ogólną wiedzę o człowieku i społeczeństwie, zatem podnieść ich kulturę i wykształcenie humanistyczne. Miał rozbudować zainteresowania religioznawcze, a przez to i rozmyślanie nad własnym światopoglądem. Miał podnieść kulturę życia codziennego, kształtowanie tolerancyjnej i ludzkożyczliwej postawy w stosunkach do ludzi posiadających odmienne przekonania światopoglądowe. Miał też m. in. wyjaśniać prawidłowości powstawania, rozwoju oraz „umierania" religii jako zjawiska społecznego i historycznego.*

Tymczasem Instytut Religioznawstwa (jak dotąd jedyny w Polsce) wykształcił 180 osób, które ukończyły studia z dyplomem i około 800 osób, które jednak dyplomu nie zrobiły.

Wywiad brzmi sympatycznie, ton wypowiedzi utrzymany jest w duchu humanizmu i tolerancji. Jedynym niemiłym zgrzytem jest drobna uwaga, iż z braku kadry w pełni wykształconej przeprowadza się obecnie przyspieszone douczanie nauczycieli, czym między inymi zajmują się „WUML-e". A więc pod płaszczykiem religioznawstwa pojawi się w liceach następny przedmiot o zadaniach propagandowych.

*EKONOMIA * EKONOMIA * EKONOMIA * EKONOMIA * EKONOMIA * EKONOM*

Holandia. Ministrowie finansów krajów EWG uzgodnili w dniu 5 kwietnia podniesienie kursu marki zachodnioniemieckiej o 3 %, belgijskiego i luksemburskiego franka i duńskiej korony o 1 % oraz dewaluację franka francuskiego w stosunku do pozostałych walut o 3 %.

MASŁO DLA SOWIETÓW

W Brukseli poinformowano, że specjalna komisja EWG zezwoliła na sprzedaż 100 tys. ton masła, które od ponad 18 miesięcy leży w chłodniach krajów zachodnich i nadaje się jedynie do natychmiastowego spożycia. Ostatnią tego rodzaju transakcję przeprowadziła EWG ze Związkiem Sowieckim w grudniu 1984 roku. Najwięcej masła dostarczy RFN (80 tys. ton), następnie zaś Wielka Brytania (11 tys. ton) i Irlandia (9 tys. ton).

Die Welt (12/13. 04) podaje, że Sowieci zapłacili za kilogram masła 0,78 DM, podczas gdy inni hurtowi nabywcy w RFN muszą płacić 5,18 DM. W sprzedaży detalicznej w RFN masło kosztuje DM 10 za kilogram. *Die*

Welt podaje, iż w ten sposób podatnicy krajów EWG dołożą do sprzedawanego Sowietom masła co najmniej 700 mln DM.

Również w przyszłości kraje EWG będą miały kłopoty z nadwyżkami produkcyjnymi. Rocznie produkują bowiem 2 mln ton masła, z czego jedynie 1,6 mln ton pochłania rynek wewnętrzny. Na eksport przeznacza się 400 tys. ton, w tym 133 tys. ton do Związku Sowieckiego. Jeden z ekspertów zaproponował, aby nadwyżki masła przekazywać bezpłatnie do fabryk margaryny. Jedynie w ten sposób można by zlikwidować subwencjonowany eksport masła – pisze *Die Welt* (12. 04).

FRANCJA: UŁATWIENIA DEWIZOWE

Nowy rząd Francji utworzony w oparciu o koalicję partii prawicowych wydał zarządzenia ułatwiające obroty dewizowe. Ze skutkiem natychmiastowym zniesiono ograniczenia zabraniające przedsiębiorstwom posiadanie obcych walut bez uprzedniego deponowania ich w bankach państwowych. Prywatne firmy mogą bez pozwolenia władz ubiegać się o zagraniczne kredyty w wysokości do 15 mln franków. Rejestrowaniu nie podlegają przelewy pieniędzy za granicę w wysokości do 3 tys. franków. Tracą moc dotychczasowe zarządzenia ograniczające przelewy w wysokości do 3 tys. franków w miesiącu na osobę. Francuzi mają prawo korzystania z kart kredytowych za granicą w wysokości do 6 tys. franków tygodniowo (uprzednio do 2 tys.).

Przypuszcza się, że jest to pierwszy krok w kierunku całkowitego zniesienia ograniczeń dewizowych, które są zupełnie nieznane w wielu innych państwach EWG, informuje *Sueddeutsche Zeitung* (18. 04).

NOWE PODWYŻKI CEN

Powołując się na źródła krajowe *Neue Zuercher Zeitung* (9. 04) informuje o mających nastąpić jeszcze w tym miesiącu drastycznych podwyżkach cen gazu i energii elektrycznej. Wiceminister finansów Wojciech Prus ostrzegł robotników przed wysuwaniem żądań podwyżki płac, które mogą z kolei spowodowały dalszy wzrost cen. Rząd zaś zaplanował na ten rok inflację w wysokości jedynie 9 %. Prus potwierdził również, że w sierpniu zostaną podwyższone o 8 % ceny mięsa. *NZZ* podaje, że opłaty za transport miejski w Warszawie podrożały w tym tygodniu przeciętnie o 2/3.

BONN: PRZEŁOŻENIE DŁUGÓW DLA PRL

Między Republiką Federalną i PRL doszło do porozumienia w sprawie przełożenia kredytów w wysokości 1 mln DM z roku 1975. Odsetki od przełożonych spłat mają wynieść 5,9 % (kredytu udzielono na 2,5 %). Pozostałości niespłaconych rat oraz odsetek od roku 1981 wynoszą 400 mln DM. Polska ma spłacić owe 400 mln DM w trzech ratach rocznych do roku 1989 – *Neue Zuerche Zeitung* (18. 04).

JAPOŃCZYCY PRACUJĄ WIĘCEJ NIŻ NIEMCY

Robotnicy przemysłowi w Japonii przepracowali w ub. roku dokładnie 600 godzin więcej niż ich niemieccy koledzy, zaś robotnicy amerykańscy stali przy maszynach prawie 300 godzin więcej niż Niemcy. Przyczyną tego jest nie tylko dłuższy dzień pracy w tych krajach, lecz przede wszystkim fakt, iż europejscy robotnicy rocznie opuszczają więcej dni pracy. Według danych Niemieckiego Instytutu Przemysłu w Kolonii każdy pracujący Europejczyk opuścił w roku ubiegłym średnio 232 godziny pracy, w Ameryce średnia ta wynosiła 62 godziny, a w Japonii tylko 34.

W statystyce kolońskiego instytutu nie ujęto dni świątecznych, jak również taryfowo uzgodnionych dni wolnych od pracy (urlopy). W roku 1985 najczęściej w pracy nie zjawiali się Norwegowie, Szwedzi i Finowie – średnio przypada od 192 do 232 godzin absencji w roku na osobę pracującą. Niemcy z RFN zajęli na tej swoistej liście „rankingowej" miejsce środkowe: średni obowiązkowy czas pracy wynoszący 1708 godzin zmniejszył się z powodu chorób, wypadków, wyjazdów na leczenie oraz z innych przyczyn o 128 godzin. Nieco częściej chodzą do pracy francuscy robotnicy, którzy w roku ubiegłym opuścili przeciętnie tylko 124 godziny. Lepsze wskaźniki w USA i Japonii są wynikiem – podaje instytut w Kolonii – braku w tych krajach ustaw zabraniających zwalnianie pracowników w wypadku choroby. Mniej korzystne niż w Europie są w tych krajach również przepisy regulujące zwalnianie z pracy robotników. Kto często choruje, ten szybciej może zostać zwolniony – podsumowuje *Die Welt* (11. 04).

*EKONOMIA * EKONOMIA * EKONOMIA * EKONOMIA * EKONOMIA * EKONOMI*

*KULTURA * KULTURA * KULTURA * KULTURA * KULTURA * KULTURA * KU*

NOWAKOWSKI O RUBINSTEINIE

Tadeusz Nowakowski, redaktor RWE publikuje we *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (12/13. 04) krótki esej o zmarłym przed czterema laty polskim pianiście żydowskiego pochodzenia Arturze Rubinsteinie podkreślając jego przywiązanie do polskości i polskich tradycji narodowych.

WIECZÓR AUTORSKI BRANDYSA I ZAGAJEWSKIEGO W MONACHIUM

Monachijski dziennik *Sueddeutsche Zeitung* (12/13. 04) publikuje relację z wieczoru autorskiego polskich pisarzy: „...Dwaj polscy pisarze, którzy we czwartek odbyli wieczór autorski w bawarskiej Akademii Sztuk Pięknych mieszkają w Paryżu. (...)

Zagajewski czytał fragmenty swojego eseju (ze zbioru „Solidaritat und Einsamkeit", Hanser Verlag) o „Latających Uniwersytetach", a następnie wiersz „Jechać do Lwowa". We Lwowie właśnie urodził się Zagajewski, a następnie, gdy w jego rodzinnym mieście ustanowiono sowiecką władzę, został przesiedlony wraz z rodzicami do Gliwic. Zagajewski należy do pokolenia „wściekłych realistów". W swoich utworach dokonuje rozrachunku z polską rzeczywistością, tak samo zresztą jak i Kazimierz Brandys.

Brandys przedstawił umiejętnie dobrane teksty z kilkutomowego dzieła, nad którym pracuje już od wielu lat. Polski tytuł książki brzmi „Miesiące". Po niemiecku

wydano dotychczas wybór z pierwszych dwóch tomów pt. „Warschauer Tagebuch" (Polnische Bibliothek Suhrkamp Verlag). W Monachium Brandys czytał wyjątki z tomu czwartego, w którym przedstawia swoje refleksje z pobytu w Nowym Jorku i wylicza nachodzące go koszmary. Przedstawił również będący fragmenetem książki szkic o szaleństwie i niewoli. Brandys powiedział: „Często mówi się, że życie jest jak powieść. Piszę ‚Miesiące', aby się upewnić, że życie moje jest powieścią". „Miesiące" czy też „Warschauer Tagebuch" okazują się wielopłaszczyznową, wirtuozyjnie skomponowaną prozą doświadczonego powieściopisarza.

Szkoda, że na wieczór autorski do Akademii nie przyszło tylu słuchaczy, ilu się spodziewano – powiedział Horst Bienek. Czy nie jest to potwierdzeniem reguły, że literatura kraju przestaje być przedmiotem zainteresowania w momencie, gdy nazwa tego kraju nie pojawia się w nagłówkach gazet?

To, że sala nie była pełna, wydawało się nie niepokoić dyrektora Deutsches Polen Institut, Karla Dedeciusa, który Zagajewskiego i Brandysa przedstawił monachijskiej publiczności. Niejednokrotnie wcześniej, kiedy to przez dziesiątki lat prezentował w Niemczech literaturę polską i przeżywał wzloty i upadki jej popularności, doszedł do wniosku, że „literatura nie zależy od pogody". Również ostatni kryzys polscy pisarze przeżyli właściwie bez uszczerbku: obecnie chodzi o to, w jaki sposób literatura polska wyjawi swe niespożyte siły.

Brandys powiedział mi – pisze Werner Paul – że czuł się nieswojo, kiedy na zebraniach „Solidarności" wspólnie śpiewano pieśń „Boże, coś Polskę", o czym można przeczytać w czwartym tomie „Miesięcy". Przypominało mu to partyjne zebrania, kończące się „Międzynarodówką". Według Brandysa człowiek myślący niekoniecznie potrzebuje kolektywnych śpiewów. Brandys dodał, iż obawia się, że poprzez nadmiar wspólnych śpiewów zapomniania zostanie najważniejsza tradycja Polski, a mianowicie samoświadomość społeczna.

POLSKA INSCENIZACJA STRINDBERGA WE FRYBURGU

W Fryburgu Bryzgowijskim (Badenia-Wirtembergia) odbyła się premiera sztuki Strindberga „Taniec śmierci" w inscenizacji polskiej reżyserki Anny Matusiak z warszawskiego Teatru na Targówku – pisze boński dziennik *Die Welt* (15.04) przedstawiając w dłuższym artykule działalność artystyczną Polki. Lothar Schmidt-Muhlisch uważa, że polska reżyserka przedstawiła Strindberga w sposób niezwykły stawiając akcent po stronie bulwarowości. *Die Welt*: „Strindberg w Niemczech – to znaczy przepaść. Strindberg po polsku – to znaczy życie nad przepaścią. Zaś dla Anny Matysiak w szczególności: „Przykre rytuały są grą, w której trzeba wykazać się zdolnością tworzenia. Tragedia nie oznacza przecież końca życia."

„FAZ" O KONKURSIE CHOPINOWSKIM

Gerhard R. Koch przedstawia na łamach *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (15.04) w oparciu o rozmowę z Janem Ekierem, przewodniczącym Jury Konkursu im. Fryderyka Chopina, problemy „polskich tradycji" w interpretacji dzieł wielkiego kompozytora. Właściwa interpretacja utworów Chopina nie jest domeną jedynie Polaków. Laureatami konkursu chopinowskiego było również wielu obcokrajowców pochodzących z wydawałoby się kulturowo od siebie odległych narodów, jak np. Argentyńczyk Argerich czy Wietnamczyk Thai Son Dang. W roku 1985 na konkurs zgłosiło się 191 kandydatów, do konkursu przystąpiło 141. Zwycięzcą zaś został Rosjanin polskiego pochodzenia Stanisław Bunin. Wejście do finału konkursu chopinowskiego zależy nie tylko od umiejętności i talentu, lecz również od formy. Niemiec Rolf Plage – powiedział Jan Ekier – miał szanse na wejście do finału, lecz nie był w najlepszej kondycji i odpadł. Konkursy stwierdza Gerhard R. Koch są rzeczą trudną i wątpliwą oraz zapytuje, czy rzeczywiście są potrzebne.

*KULTURA * KULTURA * KULTURA * KULTURA * KULTURA * KULTURA * KU*

Księgarnia „Libella" w Paryżu
wydała kolejny, 9-ty tom serii «Historia i Teraźniejszość»

Krystyna Kersten
NARODZINY SYSTEMU WŁADZY
Polska 1943-1948

Stron 393 **Cena FF120.00 + porto 10%**

Do nabycia u wydawcy:

LIBELLA

12 rue St-Louis-en-l'Ile, F-75004 Paris, France
i w księgarniach polskich na emigracji

Maciej Radwan-Rybiński

Prywatne rozmyślania

1.

Żałosna haska błazenada europejskich ministrów spraw zagranicznych w pocie czoła szukających politycznego rozwiązania problemu, który – sprowadzony do właściwych proporcji – jest sprawą typowo policyjną, awansowania Kadafiego do roli arcyksięcia Ferdynanda a Trypolisu do Sarajewa z roku 1914, wystraszone popatrywanie w stronę Moskwy, czy aby w obronie przywódcy rewolucji libijskiej nie zechce obrzucić wszystkich kontynentów bombami atomowymi i wysadzić w powietrze kuli ziemskiej skończyła się tak, jak powinna. Absolutną kompromitacją polityki europejskiej, bardziej motywowanej strachem przed zawartością komentarzy i oświadczeń TASS-a niż poczuwaniem się do zachodniej wspólnoty, troską o życie i zdrowie własnych obywateli, nie mówiąc już o takich głupstwach jak odpowiedzialność moralna. Uprawiana od roku 1972, od zamachu na izraelskich sportowców podczas Igrzysk Olimpijskich w Monachium dyplomatyczna dydaktyka wobec międzynarodowego bandytyzmu, polegająca na tłumaczeniu gangsterom, że zabijać jest niełądnie i że jeśli będą to robić dalej, to się ich przestanie zapraszać na przyjęcia do prezydenckich pałaców skompromitowała się ostatecznie, a wraz z nią – niestety – Europa. Nic nie pomoże wymuszona sojuszniczymi zobowiązaniami, ograniczona i prowadzona post factum obrona decyzji prezydenta Reagana. Sojusz Atlantycki jako całość okazał się niezdolny do działania, choć bardzo predystynowany do jałowego i zawiłego ględzenia. Muszę przyznać, że mam niemałą satysfakcję z faktu, iż Hans Dietrich Genscher, przybywając do Waszyngtonu, by poinformować Amerykanów o postanowieniach konferencji ministrów spraw zagranicznych w Hadze znalazł się w przykrej sytuacji człowieka, który przyjechał całkiem niepotrzebnie. Taka nauczka bardzo się Europie przydała. Co do samego nalotu na Libię, nikt jakoś z rozpaczających nie dostrzegł dwóch ważnych elementów: otóż nalot nastąpił w momencie, gdy ceny ropy naftowej na rynkach światowych osiągnęły najniższy od dziesięcioleci poziom i mają nadal tendencje zniżkową, co nie jest ani dziełem przypadku, ani rezultatem wyłącznie machinacji giełdowych. Które z państw OPEC współdziałały ze Stanami Zjednoczonymi w przygotowaniu tej akcji tak, by nie wstrząsnęła gospodarką światową nie wiem, ale że były takie – jestem całkowicie pewny. I druga sprawa – powszechny brak w Europie zrozumienia dla arabskiej mentalności, wyrastającej z zasad islamu, gdzie zemsta, odwet są wysokimi wartościami moralnymi, a ktoś, kto po chrześcijańsku, z pokorą znosi uderzenia godny jest pogardy. Cała dyplomacja w odpowiedzi na terrorystyczne zamachy traktowana jest jako przejaw słabości i tchórzostwa. I nie bez racji.

2.

W Bonn pod pomnikiem Beethovena zgromadziło się około tysiąca osób, by zaprotestować przeciw bezprzykładnej agresji imperializmu amerykańskiego wobec pokój miłującego narodu i przywództwa libijskiego. Była to doskonała okazja do rzucenia bomby. W przemówieniach nie zabrakło tradycyjnego motywu – ile to kosztowało i ile można by za to wybudować szpitali. Odpowiedź jest prosta, jeden, za to wariatów.

3.

Na zorganizowanej w Bonn przez Europejską Konferencję Praw Człowieka sesji poświęconej mniejszości niemieckiej w PRL obok wielu głosów zupełnie rozsądnych, do których się przychylam, bo uważam, że wywalczenie przez Niemców etnicznych zamieszkałych w Polsce praw zgodnych z międzynarodowymi normami stanowiłoby poważne zwycięstwo na drodze do realizacji praw powszechnych – więc na tej właśnie konferencji wstał jakiś staruszek i oświadczył, że nie zgadza się z tezą, iż właściwymi granicami Niemiec są granice z 1937 roku, bowiem zostały one wymuszone przez mocarstwa zwycięskie niesprawiedliwym traktatem wersalskim. Właściwe są granice z roku 1940. Duchy Stalina i Hitlera przemknęły po sali, którą zamurowało tak dokumentnie, że nikt nawet nie zaprotestował. Gwoli sprawiedliwości muszę dodać, że nie było także protestów, gdy ktoś inny zwrócił uwagę, że jeśli Rzesza niemiecka istnieje w granicach z 1937 roku, to w Polsce nie ma żadnej mniejszości narodowej i sympozjum odbywa się zgoła niepotrzebnie. Korespondent *Życia Warszawy* Ramotowski, koło którego usiadłem przez zupełny przypadek, ucieszył się z pierwszej wypowiedzi i skrzywił przy drugiej, którą to

obserwację dedykuję prostodusznym miłośnikom porozumienia polsko-niemieckiego za pośrednictwem kredytów i uścisków z Jaruzelskim, gdy tymczasem porozumienie jest dziś i będzie w przyszłości limitowane koniecznością posiadania przez reżym w Warszawie wroga zewnętrznego, którym – jak na pewno Ramotowski owym ekscentrycznym staruszkiem – straszyć się będzie niesfornych Polaków.

4.

Minister Marian Orzechowski przyjechał do Bonn, by – jak sam powiedział na konferencji prasowej – oczyścić przedpole. 25 dziennikarzy, starannie dobranych i upchanych w małej sali ambasady PRL w Kolonii, nie obeznanych ze sztabowym żargonem partyjnym poprosiło o wyjaśnienie, co znaczy ten saperski termin. Okazało się, że zanim będzie można przejść do ofensywy w celu intensyfikacji dalszych wzajemnych kontaktów na polu kulturalnym i naukowym – ładnie powiedziane – trzeba oczyścić przedpole finansowo-kredytowe. Jest co czyścić – PRL, z 29 na dziś miliardów dolarów długów winne jest Republice Federalnej Niemiec około 10. Przedmiotem rozmów Orzechowskiego z Bangemannem był m. in. tak zwany Jumbo-kredyt, dany w 1975 roku przez rząd Schmidta Gierkowi na specjalnych zasadach z oprocentowaniem 2,5 % rocznie. Niemcy są gotowe przełożyć spłatę także i tego kredytu pod warunkiem zapłacenia przez PRL odsetek i odsetek od niespłaconych odsetek, które podlegają już normalnemu oprocentowaniu bankowemu. Odsetki razem wynoszą około 320 milionów marek, nie tak znów wiele, jeśli zważyć, że w zeszłym roku Polska wyeksportowała do RFN samego mięsa i przetworów za 450 milionów marek. Kartek na mięso na razie się nie eksportuje. Wracając do spraw sztabowych – Orzechowski nie chce płacić procentów od procentów i w ten sposób wyjechał zostawiając przedpole nie oczyszczone. Za to nowym ambasadorem w Bonn będzie specjalista. Wbrew przypuszczeniom, ani Wojna, ani Dobrosielski, ani nawet Rakowski, który podobno miał ochotę odsunięcie na boczny tor osłodzić sobie nadreńskim klimatem – tylko finansista Tadeusz Nestorowicz, minister handlu zagranicznego, którego dyplomatyczne kwalifikacje nie są wcale gorsze niż samego Orzechowskiego. Obaj byli mianowicie członkami ZMP. Orzechowski ma tę tylko przewagę, że studiował w Instytucie Żdanowa w Moskwie. Na razie więc stosunki dyplomatyczne między Bonn i Warszawą ogranicza się do oczyszczenia przedpola. Ciekawe, ile będzie to kosztować banki zachodnioniemieckie?

5.

Z gazet dowiedziałem się, że w Liege wręczono konsulowi generalnemu PRL w Belgii czek na 12 tysięcy franków belgijskich. Pieniądze zebrał aktyw Związku Patriotów Polskich. O ile mnie pamięć nie myli, mieliśmy już Związek Patriotów Polskich, tylko nie w Liege, a w Moskwie. Jeśli ten belgijski kontynuuje tradycje tamtego, to konsulowi nie pozostaje nic innego jak za te 800 dolarów kupić kilka par solidnych kajdanek, a za resztę nieco prezerwatyw dla Sokorskiego, który tak pięknie opisuje samozaparcie, z jakim w charakterze członka ZPP upowszechniał wśród bratnich narodów sowieckich przekonanie o wyjątkowej jurności Polaków w ogóle, a komunistów w szczególności. Pani Elżbieta Kowaliszyn, przewodnicząca Związku w Liege powinna się poważnie zastanowić nad zaproszeniem Sokorskiego.

6.

Podsekretarzem stanu w Ministerstwie Handlu Wewnętrznego i Usług mianowano doktora Andrzeja Malinowskiego, który był uprzednio ni mniej, ni więcej tylko sekretarzem rady naukowej przy wojewodzie konińskim. Czekam teraz na wiadomość o truście mózgów przy naczelniku gminy Baranów.

7.

Jakoś dziś nazbierało mi się wyjątkowo dużo informacyjnego drobiazgu, porozsypywanych po szpaltach prasy zdań, opisów zdarzeń, z których gdy się poskłada razem, pełniejszy można mieć obraz całości niż z referatu na plenum. W Warszawie pewien taksówkarz przyszedł z pomocą koledze, który padł ofiarą bandyckiego napadu. Dyrektor od taksówek publicznie złożył swemu pracownikowi podziękowanie oraz wyraził jego rodzicom i wychowawcom wdzięczność za „wpojenie mu socjalistycznej moralności". Dyrektor sądził zapewne, że wyznawca moralności chrześcijańskiej dobiłby napadniętego i podzielił się z napastnikami łupem. Dopiero bowiem realny socjalizm zaszczepił w Polakach, biegających za sanacji z nożami w zębach i rozglądających się za kolejną ofiarą, zasadę solidarności z napadniętym i obrony słabego, co widzieliśmy doskonale na przykładzie kapitana Piotrowskiego i jego dzielnych współtowarzyszy. Dla odmiany niejaki kapitan Wiesław Rasała – jeszcze niedawno informacja że ob. Rasała jest kapitanem stanowiła tajemnicę wojskową – oznajmił publicznie, że racjonalne wykorzystanie ludzi wymaga doskona-

lenia organizacji procesu służby i szkolenia. Co racja to racja. Zresztą nie tylko w wojsku. Jedną z przyczyn kryzysów gospodarczych w PRL jest nieracjonalne wykorzystywanie ludzi, sprzeczne zresztą z moralnością socjalistyczną, nakazującą wprawdzie traktować pokolenia jak nawóz historii, ale niekoniecznie jak gówno.

8.

Wątpliwości, nie jestem zupełnie pewien czy natury moralnej – mówić o takich sprawach w sytuacji, gdy trwa w Republice Federalnej dyskusja na temat zaostrzenia prawa azylowego, czy je przemilczać? Czy na nas, emigrantach spoczywa obowiązek ochrony własnego środowiska, jego czystości czy też powinniśmy pozostawić to władzom niemieckim? Nie było mnie w Niemczech przez okrągły rok. Gdy wyjeżdżałem, jeden ze znajomych zaangażowanych w polityczną działalność był uwikłany w spór z władzami o azyl. Gdy wróciłem, nic się nie zmieniło. Spór toczy się nadal przez wiele instancji. Za to dowiedziałem się z zupełnie innych kręgów, że jest sprawą dziecinnie łatwą mieć jednocześnie azyl i paszport konsularny, dostawać zasiłek socjalny z niemieckiego Sozialamtu mieszkając w Poznaniu czy Łodzi, że wreszcie można mieć azyl polityczny i być w najlepszych kontaktach z ambasadą. Nie mówię, żeby zaraz składać donosy, ale jest coś niesłychanie irytującego w fakcie, że ludziom uczciwym, rzetelnie zaangażowanym, takim, którym w wypadku powrotu do kraju grozi istotnie niebezpieczeństwo, zdobycie ochrony państwa niemieckiego przychodzi z takim trudem, a cwaniakom, oszustom, kombinatorom nastawionym tylko na forsę udaje się to znacznie szybciej i łatwiej. Jak wszystko zresztą.

9.

Pewien przesiedleniec z oburzeniem poinformował mnie, że dostał z Polski album z reprodukcjami dzieł sztuki wydrukowany w Lipsku i tak to było określone w książce – miejsce wydania Lipsk. Ze złośliwym błyskiem w oku zapytał mnie, czy to znaczy, że Polska rości sobie pretensje nie tylko do Stettin i Breslau, ale także do Leipzig. Zdumiewające, jak powtarza się argumentacja, bo przecież i czołowi polscy patrioci zgrupowani w organizacji Menclewskiego Odra-Wisła nazywanie przez Niemców Warszawy – Warschau uważają za przejaw imperializmu, rewanżyzmu i „Drang nach Osten". Skłonności do demagogii są widać wspólne. Wyjaśniłem znajomemu, że Polacy nie mówią też Freiburg im Breisgau tylko Fryburg Bryzgowijski oraz Akwizgran zamiast Aachen, co wcale nie znaczy, że mają zamiar wbić słupy graniczne na Renie, podobnie jak nazywanie New Yorku Nowym Jorkiem nie oznacza roszczeń do Long Island. A swoją drogą, szczęśliwi są ludzie, którzy nie mają większych problemów. ■

UWAGA!!!

Polacy w Berlinie Zachodnim

FESTYN 3 MAJA

który odbędzie się na

Sparrplatz w godz. 14.00 – 19.00

W programie zabawy dla dzieci, występy muzyczne, mecz piłki nożnej „Polska" – „Turcja", specjalności polskiej kuchni.

Komitet Festynu zaprasza na „trzeciomajowy wieczorek" w dniu 26. 04 o godz. 16.00, SEKIS, Albrecht–Achilles–Str. 65, U–Bahnhof Adenauerplatz. M. in. pokaz polskich filmów wideo.

Komitet Organizacyjny
Obchodów 3 Maja

● *IRAN.* Według danych pochodzących z kręgów opozycji, od chwili przejęcia władzy w Iranie przez Chomeiniego wykonano 50 tys. wyroków śmierci; w irańskich więzieniach znajduje się obecnie 140 tys. więźniów politycznych.

● *WASZYNGTON.* Prezydent Reagan przyjął na ponad godzinnej audiencji sowieckiego ambasadora Anatolija Dobrynina, odwołanego przez Gorbaczowa ze stanowiska ambasadora, które piastował przez prawie 25 lat.

● *BERLIN ZACHODNI.* Członkowie frakcji partii wolnych demokratów (FDP) w miejskim parlamencie Berlina Zachodniego udali się do PRL w „czterodniową podróż informacyjną", której program przewiduje m. in. zwiedzanie Warszawy, Krakowa, Opola, Wrocławia, złożenie wieńców w oświęcimskim obozie oraz rozmowy z posłami do sejmu w Warszawie.

● *CANBERRA.* W przededniu wizyty amerykańskiego ministra obrony Weinbergera w Australii rząd tego kraju potwierdził złożone uprzednio oświadczenie, że nie podpisze z Amerykanami porozumienia odnośnie udziału Australii w projekcie budowy systemu obronnego w kosmosie – SDI.

● *BONN.* Jeden z rzeczników partii socjaldemokratycznej (SPD) w Bundestagu Horn skrytykował plany ministerstwa obrony RFN odnośnie wysłania zachodnioniemieckich oficerów do Chin Ludowych w charakterze szkoleniowców.

● *PAKISTAN.* Po dwuletniej banicji w Wielkiej Brytanii powróciła (poprzez Moskwę!!!) do Pakistanu 10 kwietnia – owacyjnie witana przez tłumy w Lahore – przewodnicząca Partii Ludowej pani Benasir Bhutto, córka straconego w roku 1979 szefa ówczesnego rządu.

● *PARYŻ.* Drukarze dziennika „L'Humanite", organu francuskiej KP, podjęli, po raz pierwszy od chwili istnienia gazety, strajk protestując przeciwko tzw. zmianom strukturalnym w drukarni; na skutek strajku dziennik „L'Humanite" ukazał się w zmniejszonej o 2/3 objętości.

● *WIEDEŃ.* W związku z zarzutami organizacji żydowskich pod adresem byłego sekretarza generalnego ONZ Waldheima odnośnie jego udziału w przestępstwach wojennych, gmina żydowska w Wiedniu otrzymała setki listów z pogróżkami.

● *WASZYNGTON.* Amerykanie dokonali w dniu 10 kwietnia na pustyni Nevada podziemnej eksplozji atomowej, co spotkało się z ostrą krytyką rządu sowieckiego, który zapowiedział wycofanie swojego jednostronnego moratorium w sprawie zaprzestania doświadczeń nuklearnych oraz zapowiedział podjęcie prób atomowych.

● *BERLIN ZACHODNI.* W rozmowie z przewodniczącym gminy żydowskiej nadburmistrz Berlina Zachodniego Diepgen zaproponował utworzenie komisji dla badania antysemityzmu.

● *BERLIN ZACHODNI.* Władze alianckie trzech sektorów Berlina Zachodniego wydały zarządzenie o wprowadzeniu kontroli osób na granicznych punktach przejściowych ze Wschodu na Zachód, które dotychczas po stronie zachodniej nie były strzeżone.

● *DELHI.* Dyplomatyczne przedstawicielstwo Libii w Delhi próbowało bez wiedzy rządu indyjskiego werbować obywateli tego kraju do armii libijskiej, oferując żołd w wysokości od 10 do 20 tys. rupii miesięcznie.

● *BONN.* Po 7,5-rocznym okresie urzędowania ze stanowiska ambasadora Związku Sowieckiego w Bonn odwołany został Władimir Siemionow.

● *FRANKFURT NAD MENEM.* Jak podał dyrektor Federalnego Urzędu Pracy Franke około 600 tys. osób w RFN pracuje „na czarno", zaś obroty nieopodatkowanej „czarnej gospodarki" wzrosły w ub. roku do 180 mld DM; w okresie tym policja wykryła 191 tys. wypadków nielegalnego zatrudnienia.

● *MOSKWA.* W towarzystwie 70 przedsiębiorców z 4-dniową wizytą przybył do Moskwy następca zamordowanego w lutym br. Olofa Palme, premier Szwecji Carlson; jest to pierwsza od dziesięciu lat wizyta szefa rządu szwedzkiego w ZSSR.

● *MOSKWA.* Na zaproszenie Komitetu Centralnego KPZS do Moskwy przybyła z 3-tygodniową wizytą delegacja prezydium zachodnioniemieckiej Partii Zielonych, która ma na Kremlu prowadzić rozmowy na temat sowieckich propozycji rozbrojeniowych oraz ochrony środowiska naturalnego.

● *BEJRUT.* Dwa dni po amerykańskim nalocie powietrznym na cele Libii,w Libanie znaleziono zwłoki trzech Brytyjczyków, którzy zostali uprzednio uprowadzeni przez „nieznanych sprawców" – podaje „Tagesspiegel" (18. 04).

● *BONN.* Rząd Republiki Federalnej Niemiec zarządził przedłużenie służby wojskowej z 15 do 18 miesięcy.

● *BONN.* Nowy premier rządu francuskiego Chirac wybrał Niemcy Zachodnie za cel swojej pierwszej podróży zagranicznej podkreślając tym samym wysoką rangę przyjaznych stosunków między Paryżem i Bonn.

● *RFN.* W związku z dużym napływem uchodźców starających się o azyl polityczny w głównym obozie zbiorczym w miejscowości Zirndorf (Bawaria) rozstawiono ogrzewane namioty oraz prowizoryczne urządzenia sanitarne – informuje „TAZ" (18. 04).

● *NOWY JORK.* Po 18-miesięcznym pobycie w Związku Sowieckim do Stanów Zjednoczonych przybyła córka Stalina Swietłana Alliłujewa, która oświadczyła wobec dziennikarzy, że „nigdy już nie powróci do Rosji"; córka Swietłany Olga Peters powróciła do internatu w Anglii.

● *TRYPOLIS.* W dniu 20 kwietnia zastępca Kadafiego major Dżallud oświadczył, że Libia „może" oddać do dyspozycji Sowietów wojskowe bazy morskie.

● *BERLIN WSCHODNI.* Na zakończenie XI zjazdu NSPJ, tj. komunistycznej partii NRD, na placu Marksa-Engelsa w Berlinie Wschodnim zebrano prawie 200 tys. tłum, który przez kilka godzin skandował komunistyczne hasła, bił brawo głównemu mówcy Erichowi Honeckerowi (lat 73) po raz czwarty już wybranemu na stanowisko „genseka".

● *LONDYN.* Na podstawie decyzji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Hurda policja aresztowała 21 Libijczyków, w większości studentów, którzy mają zostać wydaleni z Anglii za „działalność rewolucyjną".

Rozmowa z Jackiem

Martwy pun

WOLA: – Mija dziesięć lat od protestu konstytucyjnego, który rozpoczął legendarną już dzisiaj działalność opozycji demokratycznej. Po wydarzeniach czerwcowych z Radomia i Ursusa, zawiązał się KOR, powstało szereg niezależnych inicjatyw zmierzających do rozszerzenia samoobrony społecznej. Jak po dziesięciu latach widzisz to wszystko, co zaczęło się wtedy.

Jacek Kuroń: – To, co się wtedy stało, niesłychanie mnie zaskoczyło. Mieliśmy poczucie, że trwa stabilizacja gierkowska, choć widzieliśmy już jej koniec. Ale w ramach stabilizacji trzeba raz na jakiś czas dawać głos, żeby było widać, iż społeczeństwo żyje i nie da się go utożsamiać z władzą. Gdy usłyszeliśmy o zmianach konstytucji, uznaliśmy, że jest to okazja, żeby dać głos. Tymczasem zmęczenie marazmem musiało być dość szerokie, skoro akcja spotkała się z niesłychanym odzewem. Pewien przyjaciel Słonimskiego powiedział wtedy: „Dziwię się, że wy tam o jakąś konstytucję się kłócicie, przecież macie przyzwoitą, nie używaną". Świadomie skorzystaliśmy z pretekstu, żeby coś zadeklarować. List 59-ciu – to była deklaracja przemawiająca za demokracją parlamentarną. To nie był program, skoro się nie działało, a tylko wyznanie wiary. Pisaliśmy, że jeśli nie ma reprezentacji robotniczej, to każde napięcie społeczne grozi przelewem krwi. Stąd postulat silnych związków zawodowych. Nagle zrobiło się z tego gigantyczne zamieszanie. 25 tysięcy ludzi nadesłało swoje głosy protestujące przeciw zmianom w konstytucji. Episkopat w to się włączył. Pamiętam rozmowę z Wielkim Prymasem, który powiedział: „Nareszcie coś dzieje się poza nami". Cytowanie takich rozmów jest niebezpieczne, chodzi mi o ideę: „Trzeba, żeby społeczeństwo mówiło własnym głosem, a nie tylko głosem Kościoła". Wystąpienia konstytucyjne pokazały gotowość i wspólną platformę ideową inteligencji polskiej, a przez odwołanie się do związków zawodowych – były zwróceniem się do robotników. Przyszedł

Kuroniem

kt i nadzieje

czerwiec 1976. Olbrzymią rolę odgrywał kac moralny inteligencji za milczenie w grudniu. Rosło poczucie, że musimy się odezwać. Odkryliśmy represje przeciwko robotnikom. Założyliśmy KOR. Właściwie myśleliśmy, że to tylko kolejne świadectwo postawy – pójdziemy siedzieć i będzie to akt solidarności. A okazało się, że jest to sposób działania, organizowania się społeczeństwa. W momencie startu nie zdawaliśmy sobie sprawy z wagi tego pomysłu, a ugodziliśmy system totalitarny w samo serce. Bo jego zasada jest taka, że centralna władza partyjno-państwowa posiada monopol na informacje, organizacje i decyzje, co oznacza, że wszystko dzieje się poza jakimkolwiek wpływem społecznym. Okazało się, że społeczeństwo może odbierać prawo do organizowania się, rozbijać ten monopol. Wysunęliśmy pomysł niezależnego społeczeństwa. Co oczywiście nie znaczy, że budujemy niezależne szpitale, fabryki, koleje itp. Chodzi o to, aby społeczeństwo organizowało się niezależnie od władzy, aby na nią wywrzeć nacisk. Skoro nie możemy jej obalić (a nie możemy), to należy porozumieć się z nią na warunkach możliwie dla społeczeństwa najkorzystniejszych. Po to jednak, aby społeczeństwo mogło skutecznie wywierać nacisk na władzę, musi być ona na ten nacisk wrażliwa – musi się w jakimś stopniu liczyć z opinią społeczną. Pokojowe formy nacisku, to przecież nic innego, jak demonstrowanie woli społeczeństwa. Jeśli więc władzy zależy na tym, aby uchodzić za demokratyczną – obdarzoną zaufaniem, to będzie się starała uniknąć zachowań, które tę opinię naruszają. Będzie ustępować pod naciskiem. Strajk w państwie totalitarnym ma znaczenie nie tyle ekonomiczne – władzę stać na straty – ile polityczne. Bowiem władza, która chce uchodzić za robotniczą nie może lekceważyć robotniczego protestu. Do grudnia 1981 roku władze PRL chciały uchodzić za robotnicze i demokratyczne. 13 grudnia jawnie i z przemocą zdeptano wolę społeczeństwa

i zorganizowanych robotników. To, co miało być ukryte – antynarodowy, antyrobotniczy charakter władzy – stało się jawne. Dlatego właśnie, obecne władze PRL są niewrażliwe na społeczny nacisk. Jest on im niewygodny, ale żadnych ustępstw po to, by go uniknąć, nie zrobią.

Można oczywiście obalić władzę przemocą, gdyby ona miała tylko tu siłę, ale trzeba by się bić na pięści ze Związkiem Radzieckim, którą to bitwę niewątpliwie przegramy. A zatem nie możemy stosować innych metod niż pokojowe, a pokojowe są nieskuteczne.

– Jesteśmy w takiej sytuacji: zorganizowani, korzystający z wszystkich form samoobrony społecznej. Ale czy ten opór nie ma charakteru symbolicznego? Czy nie jest to układ, w którym skuteczność realnego oddziaływania na władzę jest prawie zerowa? A przy tym wiele osób, które zaangażowały się w działalność po 13 grudnia i uprawiają ją już prawie cztery lata, wpadło w swoistą rutynę. Wszyscy są zadowoleni: istnieją niezależne wydawnictwa, każdy jest przyzwyczajony do tego, że oprócz *Życia Warszawy* ma *Tygodnik Mazowsze*. Taka normalność...

– W czasie przesłuchania w SB powiedzieli mi, że są dwa pisma regularne: *Tygodnik* i *Wola*.

– Ale w tej „normalności" niewiele się zmienia, nawet w świadomości. Jest to zatem sytuacja stabilna, martwy punkt. Czy można wyobrazić sobie, że istnieją czynniki, które nas z tego martwego punktu ruszą? Czyli, że zorganizowane społeczeństwo przestanie tylko stawiać opór i organizować się w oporze, ale stworzy w konkretnej sytuacji nacisk? Jak uwrażliwić władzę na nasz opór?

– Jest znacznie gorzej, niż powiedziałeś, bo to nie jest martwy punkt. Ruch społeczny, gdy nie idzie naprzód, to się cofa. Gołym okiem widać, że demonstracje robimy mniejsze, że mieliśmy mniejszy procent bojkotu w wyborach, a ostatni ogłoszony strajk dwugodzinny był kompletną klapą. Ruch, żeby szedł naprzód musi mieć sukcesy. Ludzie muszą mieć poczucie skuteczności. Gdybyśmy mogli powiedzieć przed wyborami – jeżeli weźmiesz udział w bojkocie i on osiągnie taki to a taki procent, to coś zmieni się w sposób znaczący – osiągnęlibyśmy niewspółmiernie większe wyniki. Ale myśmy tego powiedzieć nie mogli i nikt na szczęście nie próbował takiego kitu ludziom wstawiać. Mówiliśmy: zademonstruj swoją postawę i wszyscy odwoływaliśmy się do argumentów moralnych. Można było wskazać tylko pośrednio skutki. To samo dotyczy demonstracji, choć jak ludzie w 1982 roku szli 1 i 3 maja, to z poczuciem, że oto wygrali i coś się może zmienić. Dziś wszyscy wiedzą, że idzie się na manifestacje pooddychać powietrzem wolności i zademonstrować postawę. To samo ze strajkiem. Był dwugodzinny strajk w sprawach mięsa, a równocześnie nie mogliśmy powiedzieć, że będzie to miało wpływ na ceny! Taki strajk jest symboliczny. W kampanii w związku z Tygodniem Więźnia Politycznego zebraliśmy 35 700 podpisów. To jest nic! Ale byłem świadkiem takiej sceny: u św. Stanisława Kostki, po tłumnej mszy wychodzą ludzie, stoją dwa stoliki, jest godzina druga. Przy tych stolikach ustawia się gigantyczna kolejka. A ludzie się spieszą na obiad. To idą, nie stają. I nie składają podpisu. Gdyby wiedzieli, że od ich podpisu cokolwiek zależy, to zrezygnowaliby nawet z obiadu. Ale wiedzieli, że chodzi tylko o zademonstrowanie postawy. A z drugiej strony, takich ludzi, którzy chcą zademonstrować postawę i z tego powodu coś zaryzykować, znalazło się aż 35 tysięcy! Patrzę na to ze zdumieniem i zachwytem, na te strajki symboliczne – wynikające z przywiązania do TKK. To niezwykłe, to wymaga heroizmu, także ostatnia 20-tysięczna demonstracja pierwszomajowa w Warszawie. Ale ruch się cofa i jesteśmy jak klient, z którego wycieka krew, cieknie i ciec będzie.

– Co może uwrażliwić władzę?

– Dwie rzeczy. Walki wewnętrzne w aparacie władzy oraz sytuacja zewnętrzna, w której kierownictwo sowieckie powie polskiemu: ma tu być spokój i bez awantur – nie tylko bez przelewu krwi, ale także bez gigantycznego pacyfikowania. W tych przypadkach wraca wrażliwość. Dramat polega na tym, że spowodowanie ich nie jest w naszej mocy. Powstaje sytuacja, którą w swoim wywiadzie zauważył szef MKK, że całej naszej myśli programowej brakuje ogniwa środkowego. Potrafimy dość precyzyjnie powiedzieć, co robić dziś i o co chodzi w przyszłości – jaki jest cel. Ale nie potrafimy odpowiedzieć na pytanie, co zrobić, aby osiągnąć cel. Złudzeniem jest, że można posadzić dziesięciu tęgich „myślantów" i wymyślić nową formułę. A cały czas musimy myśleć, co robić, gdy nie można powiedzieć ludziom: weźcie udział, to od tego się zmieni.

– Mało kto ma poczucie, że jego działanie może zmienić bieg rzeczy. A gdyby spojrzeć na nasze możliwości od strony ludzi, którzy świadczą swoją postawą o przywiązaniu do pewnych wartości w małej skali. Czy w ich zakładzie pracy, środowisku naukowym, artystycznym, lokalnym – nie mogłaby zaistnieć sytuacja, w której udałby się nacisk?

– Mamy takie sytuacje w zakładach pracy, zwłaszcza wielkich. Gdy załoga o coś zaczyna się kłócić na wydziale, w brygadzie, w całym zakładzie – wtedy oni na ogół ustępują. Ale jeśli się to robi jako „Solidarność", to szansa znacznie maleje, sprawa zostaje uznana za polityczną. W płaszczyźnie ekonomicznej walka „Solidarności" jako

całości jest niewspółmiernie trudniejsza, niż zakładami, brygadami. A ludzie wolą działać skutecznie! Zarazem może to być destruktywne dla całej gospodarki. Kryzys oznacza po prostu – zrujnowanie kraju przez 40 lat takiego rządzenia. Żeby to odbudować, trzeba dwóch rzeczy: zmienić system, ale i to jeszcze nie wystarczy. Ludzie musieliby bardzo dobrze pracować przy złej płacy, co ekonomicznie jest niemożliwe, ale politycznie możliwe. Zmienić system – to znaczy, żeby powstała sytuacja, że ludzie budują dla siebie

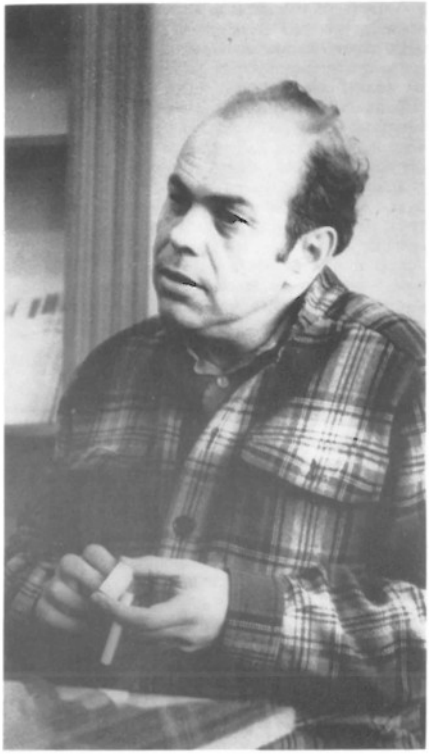

w poczuciu, że odbudowują swój kraj. I jedno, i drugie w wyniku 13 grudnia jest niemożliwe. Inflacja rujnuje rynek i to, jest jeszcze jeden z czynników, dla których niemożliwa jest reforma. Podnosi się więc ceny, na co w wielkich zakładach zaczyna się presja płacowa. Tam się natychmiast ustępuje i podwyżki cen stają się ekonomicznie nieuzasadnione – nie likwidują nawisu inflacyjnego – a biją w tych, którzy wywalczyć sobie niczego nie mogą. Ustępując w wielkich zakładach władza czuje się jakby bezpieczna od nacisków społecznych. Na razie nie boi się eksplozji, bo zdetonować eksplozję mogą tylko silne ośrodki robotnicze, a te są względnie usatysfakcjonowane. Toniemy, i nie ma sposobu, żeby ten proces powstrzymać.

– Toniemy wszyscy. Czy nie jest niebezpieczne, że toniemy, będąc sami w martwym punkcie? Heroizm naszych postaw nie przynosi żadnych bezpośrednich skutków. Wiele środowisk w miarę możliwości stara się bronić lokalnie. Inni bronią się podziemnymi działaniami opozycyjnymi – kolportażem bibuły i wszystkim, co wiąże się ze społeczeństwem niezależnym. Równocześnie są ludzie, którym wydaje się, że cała „przepychanka" nie dotyczy ich bezpośrednio i przyjmują rolę obserwatorów. To wytwarza frustracje. Mnóstwo osób uczestniczy w wielu zachowaniach symbolicznych, np. idą do kościoła, podnoszą ręce. Cały okres KOR-u, od którego zaczęliśmy rozmowę – był okresem wzrostu, rozszerzania zaplecza społecznego i okazywało się, że jest to formuła skuteczna. Dzisiaj nie ma wzrostu społecznego.

– Trochę się nie zgadzam. Czas KOR-u był czasem rozrostu, bo byliśmy mali. Dzisiaj jest czas cofania, bośmy wyrośli na tyle, że już w tych warunkach nie możemy rosnąć. Nie jest też prawdą, że nasze działania mają znaczenie czysto symboliczne. One posiadają olbrzymią wagę. Jak mówimy: ruina kraju, to wiemy, że niszczona jest Ojczyzna. Nie lubię używać tego słowa, bo jest nadużywane, ale w tym miejscu można powiedzieć. Tyle tylko, że dokonuje się coś przeciwnego: dokonuje się rujnowanie kraju, ale nie rujnowanie narodu. Na dłuższą metę to się nie utrzyma, bo kultura narodowa jest jednością duchowo-materialną. Rozkład materialny musi prowadzić do degradacji. Lecz na razie wciąż duchowo ten naród budujemy i to jest nasza nadzieja oraz fundament. Posiada to również znaczenie bezpośrednie. A przy tym widać coraz więcej działań zastępczych, choć nie traktowałbym jako działania zastępczego tego, że ludzie chodzą do kościoła i podnoszą palce. Dla wielu jest to jedyny dostępny udział w ruchu. Zastępcze jest na przykład zakładanie partii politycznych. Partia polityczna to jest przede wszystkim program i grupa ludzi skupiona wokół niego. Kiedy zaś nie można wysunąć programu, zakładanie partii politycznej jest tylko działaniem typu: co sobie zrobimy? Założymy partię, policzymy członków, wymyślimy nazwę. Pojawiają się różne pomysły, które nie mają żad-

nej skuteczności praktycznej. Był taki pomysł, żeby powołać sejm narodowy i uznać rząd londyński. Ja przepraszam, nie powoływaliśmy sejmu wtedy, kiedy byliśmy olbrzymią siłą, to co mówić teraz, kiedy w żadnym razie nie stać nas na to, żeby wysunąć reprezentację narodową. Uznanie rządu londyńskiego – to jest dowcip.

Zastępczych działań jest dużo i angażują się w nie ci, którzy powinni organizować ludzi. Jak zaczną się w to bawić, to przestaną docierać do społeczeństwa. Siła nasza w tym, jak będziemy zorganizowani.

– Co od tego może zależeć, czy płyną z tego jakieś nadzieje?

– Klucz do sytuacji nie jest w naszych rękach. Jest albo w aparacie, bo władza uwrażliwi się, jak aparat zacznie się między sobą żreć, albo poza granicami Polski, w układzie Stany Zjednoczone – Związek Radziecki. Tu widzę trzy nadzieje. Każda słaba, ale innych nie widzę. Pierwsza jest taka: władza też tonie. Grozi nam w którymś momencie eksplozja gniewu społecznego. Wzrost płac w wielkich zakładach musi zostać kiedyś zablokowany, lub – co jeszcze gorsze – przestanie mieć jakiekolwiek znaczenie. Raczej spodziewam się pierwszego. I jak władza zablokuje wzrost płac, bo znajdzie się pod kreską, to w tym momencie można spodziewać się eksplozji. Oni sami tej eksplozji jakby oczekują, co nie znaczy, że jej chcą. Oni – mówię o ludziach aparatu – mają poczucie, że się tonie i że coś trzeba zmienić – może za każdą cenę. Wielu ludzi czeka na eksplozję.

Chciałbym przestrzec przed tą naiwną nadzieją, choć taki wzór myślenia wytworzył się na podstawie najnowszej historii Polski. Najpierw był marazm, a potem nagle następował wybuch i władza jakoś tam manewrowała. Właśnie dlatego, że była ona wówczas wrażliwa na nacisk społeczny. Jak się polała krew i wystąpili robotnicy, to władza musiała coś zrobić, żeby pokazać, że jest w porządku. Teraz już na początku krwawo stłumiła gniew robotników i wierzy, że przemoc jest skuteczna, bo jej się sprawdziło. Dlatego uderzy. A w ostatecznym odwodzie są sowieckie czołgi. One są groźne dla nas, ale dla nich też. Tylko, czy ta elita władzy zechce zatonąć razem z okrętem? Można przyjąć analogię, że to jest rak, który wyrósł na zdrowym organiźmie człowieka i zabije ten organizm któregoś dnia bez opamiętania. Jestem jednak skłonny wierzyć w naturę ludzką, w myślenie i w to – że oni się powstrzymają. Że znajdą się tam siły, które spróbują zmienić bieg wydarzeń. Wystarczy, żeby wybuchła tam walka, a to już uwrażliwia władzę na nacisk. I jeśli my będziemy gotowi na taką sytuację, to jesteśmy w stanie wygrać wiele.

– Nasza nadzieja polega na czekaniu? A co oznacza gotowość?

– Że ruch jest zorganizowany, ma przywództwo, ma autorytety, ma komunikację, informację, pisma. Przy czym, im ruch jest większy tym większa szansa, że ci w aparacie, którzy pragną zmian, oprą się na nim jako na sile. Mnie nie chodzi o ich dobrą wolę, ale o instynkt samozachowawczy i realizm polityczny. Ja nie mówię – chcę być dobrze zrozumiany – że pojawią się dobrzy komuniści. Tylko jacyś jedni skoczą drugim do gardła. Czy to możliwe? Możliwe. Jak? Nie potrafię powiedzieć. To jest pierwsza nadzieja i jedyna, jaką widzę w kraju. Poważniejsze nadzieje dostrzegam w międzynarodowym układzie sił, który jest bardzo dynamiczny. Sytuacja gospodarcza Polski jest sytuacją całego systemu. Ekipa Gorbaczowa ewidentnie zdaje sobie sprawę z tego, że wyścigu zbrojeń nie wytrzyma. Wzrasta przepaść między blokiem sowieckim a Zachodem, co zagraża mocarstwowej roli ZSRR, dlatego przywódcy sowieccy chcą reformować system. A w tym celu muszą uzyskać modus vivendi z Zachodem – wstrzymać wyścig zbrojeń i osiągnąć import technologii. Zawsze im się udawało, to i teraz się uda, bo Zachód polityki zbrojeń na długą metę prowadzić nie może – wyborca nie da pieniędzy. Reagan gra więc w najkorzystniejszy układ. I może wygrać, ponieważ Związek Radziecki jest zmuszony do ustępstw, a i złudzeń wobec ZSRR jest obecnie stosunkowo mało na Zachodzie. Czym Rosjanie będą płacili za modus vivendi? No, wiadomo: Ameryką Łacińską, działaniami w Afryce, wreszcie Afganistanem. Naszą rzeczą jest przekonać opinię publiczną Zachodu, że Polska jest Afganistanem Europy, że nie będzie żadnego modus vivendi i żadnego detente, jeśli się nie załatwi sprawy polskiej. Możemy ich o tym przekonać. Na co ja tu liczę? Że Gorbaczow, czy jego następcy oddadzą Polskę? Nie zrobią tego pod żadnym pozorem, dopóki będą żywi. Wystarczy jednak, żeby ta sprawa stała się przedmiotem przetargu, czyli została umiędzynarodowiona. Raz już podobnie zrobiono. W Poczdamie przy wykonywaniu Jałty zażądano określonego porozumienia różnorodnych sił w Polsce i tak powstał kompromis moskiewski – daj nam dziś Panie Boże połowę tego kompromisu! Nam wystarczy, żeby oni powiedzieli, że tutaj Kościół, siły niezależne i rząd muszą się porozumieć. I natychmiast powstaje sytuacja uwrażliwienia władzy, i druga szansa na nasz nacisk, która byłaby duża, gdybyśmy potrafili Zachód przekonać... No, ale ruch słabnie, a im silniejszy ruch, tym większa szansa. I wreszcie trzecia nadzieja. Tylko czy my dożyjemy jej spełnienia? To, co robi Gorbaczow – oddając różne pozycje – wywołuje opór aparatu, który jest mocarstwo-

wy. Podsyca oburzenie to, że zgodził się na kontrolę przy rozbrojeniach, o czym do tej pory nie można było pomyśleć. Spada stopa życiowa, a równoczesne tendencje reformatorskie pobudzają aspiracje – i to musi spowodować wrzenie w wielkim Związku Radzieckim. Nie mówię, że odbędzie się druga Rewolucja Październikowa. Nam wystarczy, żeby zaczęły się tam niepokoje. Wtedy Gorbaczow, czy ktoś kolejny powie do naszych: tylko spokój i bez awantur. Wszystkie te trzy nadzieje i szanse ich spełnienia zależą od aktywności ruchu i naszej gotowości.

Niepodległość odzyskamy, jak upadnie Związek Radziecki lub zasadniczo się osłabi, aczkolwiek trudno powiedzieć, kiedy to się stanie. Toteż nie można budować naszego programu na tej szansie, bo jak już ona przyjdzie, to my jej nie zaprzepaścimy.

stworzyć. Zwykle mówi się: „Z czerwonym nie można rozmawiać, bo on nie dotrzymuje słowa". Myślę, że kompleks dotyczy porozumienia, to jest taki defekt politycznego myślenia. Może to jest źle, ale prawda jest taka, że przeciwnicy polityczni zawsze sobie nie dotrzymują słowa, czy oni są czerwoni, zieloni, czy niebiescy. Porozumienie polityczne jest układem sił. Polega na tym, żeby jak najprecyzyjniej układ sił opisać i wykorzystać. W układzie sił każda ze stron zrobi tyle, na ile jej przeciwnik pozwoli. Jasne przecież było w Sierpniu, że władza po zawarciu porozumienia może je zerwać – w jeden, jedyny sposób – używając wojska i policji. Czyli przenosząc to na inną płaszczyznę: Porozumienie Sierpniowe nie dotyczyło wojska i policji. Opisywałem to wtedy w takich słowach: społeczeństwo polskie mówi – do Moskwy – tak: macie stryczek na naszej szyi i trzyma-

Foto: „r"

– Co to oznacza dla nas, co powinniśmy robić?

– Musimy przygotować się na porozumienie z rządzącymi i tak jest w każdej z alternatyw, które wymieniłem. Nic na tym nie tracimy, a wszystko możemy zyskać. Z wywiadu z szefem MKK można by wyciągnąć wniosek, że porozumienie odrzucamy. Jest to bardzo niebezpieczne myślenie. Przecież, gdyby nie było okresu między Sierpniem a 13 grudnia (porozumień), to byśmy byli w dołku. A my osiągnęliśmy coś, co się nie zdarzyło w żadnym (poza Hiszpanią) kraju totalitarnym i myślę, że i obecne rozmiary ruchu są unikalne w skali świata. Następne porozumienie dzięki doświadczeniom Sierpnia będzie dużo łatwiej

cie za jego koniec, my się tu ruszamy, ale ten stryczek jest na swoim miejscu i jak będziecie chcieli, to pociągniecie. I liczyliśmy, że się im nie będzie opłacało pociągnąć. W zależności od układu sił zewnętrznych, wewnętrznych – można będzie kiedyś ten stryczek poluzować, wstawić tam „kołek", czy wręcz zdjąć. Ale zawsze będzie to następstwo określonego układu sił. I musimy polubić to, że być może osiągniemy dużo mniej, niż w Sierpniu, choć będzie to punkt wyjścia do dalszego marszu. A jak się umówimy z władzą, to przecież z nadzieją – oni, że nas wyrolują, a my, że przyjdzie taki czas, kiedy my ich wyrolujemy. Tak to porozumienie będziemy musieli zawierać i innego sposobu nie ma.

Ale istnieje niebezpieczeństwo, że wśród działaczy nienawiść do władzy jest tak olbrzymia, że gdybyśmy teraz zaczęli rozmawiać o porozumieniu, to coraz trudniej byłoby nam ludzi przekonać. Zresztą dziś ta rozmowa nie ma sensu, bo tamci nie mają najmniejszej ochoty się porozumiewać. Kiedy będą mieli? Jak nam się uda w jakiś sposób im zagrozić. No, ale czy wtedy ambicje działaczy nie będą groźne dla porozumienia...? Pierwszy wariant zaistnieje wtedy, jak aparat skoczy sobie do gardła. Wtedy jedni będą mówili, żebyśmy się w ogóle nie ruszali. A tymczasem musimy sensownie iść do przodu. Gorzej, że jak już ruszymy do przodu, to będą tacy, co będą chcieli od razu złapać Pana Boga za nogi i założyć tutaj niepodległość. Najłatwiej osiągnąć porozumienie, jeśli sprawa się umiędzynarodowi – i to jest drugi wariant. Ze względu na naciski zewnętrzne będą się porozumiewać: Kościół, siły niezależne i rząd. Wtedy osiągniemy mniej, niż w Sierpniu, ale podstawy jakieś zostaną stworzone. Najbezpieczniej zrobi się przy każdym wybuchu w ZSRR. Nasze apetyty wówczas niesłychanie wzrosną, a przecież oni w 1956 roku do BUdapesztu wjechali. Rzecz w tym, że wtedy władze PRL staną się wrażliwe na pokojowe naciski. Trzeba będzie iść do przodu krok po kroku w zasadniczych sprawach: reformy gospodarczej, samodzielności zakładów, samorządach, związkach zawodowych. Najbardziej boję się eksplozji w kraju. NIe możemy wtedy usiąść z założonymi rękami – na lokalny wybuch, tłumiony lokalnie – trzeba odpowiedzieć strajkiem generalnym i próbować znaleźć kompromis z władzą, jeśli ona będzie gotowa go zawrzeć.

– Jaka jest, w sytuacji, którą opisałeś, rola działaczy zakładowych, którzy są najbliżej ludzi? Im jest bardzo potrzebna perspektywa zwycięstwa, wizja ostatecznego celu, o którym często myślą w sposób magiczny: stanie się cud i spadnie niepodległość. A przecież powinna się w ich myślenie wpasować także perspektywa kompromisu, elastyczność, która pozwoli podejmować nawet ryzykowne kroki. I to niekiedy wbrew żywiołowi społecznemu: by go pohamować, a w konkretnej sytuacji zawrzeć jakiś częściowy kompromis na pewnym poziomie. Lecz sytuacja jest o tyle trudniejsza, że – jak powiedziałeś – apetyty rosną w miarę jedzenia. O tym, co zrodziło się w czasach „Solidarności" jeszcze nie zapomniano. Ta pamięć i silne pragnienie zmiany – podwyższa poziom aspiracji. Działacze stają się coraz mniej elastyczni. Z drugiej strony, ruch „Solidarności" nie jest na tyle kadrowym, zorganizowanym centralistycznie i hierarchicznie, żeby wszystkie siły „na dole" w określonej sytuacji podporządkowały się „górze"...

– Jasne, jasne...

– Przed Sierpniem i w Sierpniu – mówiąc umownie – elity podejmowały pewne decyzje, które na mocy ich autorytetu były aprobowane. Teraz mamy do czynienia nie z jedną elitą, lecz z wieloma elitami pracowniczymi różnych środowisk, zakładów. Sądzę, że istnieje pewna nieufność między tymi elitami. To przejawia się w lęku przed tym, że znajdzie się kilku działaczy opozycji, którzy pójdą na jakieś rozmowy. Niby wiadomo, że oni występowaliby w naszym interesie, ale istnieje też poczucie, że oni są jednak daleko od zakładowych elit. Jaka jest możliwość współdziałania różnych elit politycznych, społecznych, całego ruchu „Solidarności"? Na ile kształtuje się już nowy etos działacza szczebla zakładowego, z jednej strony uwzględniającego perspektywę zwycięstwa (bo ona jest motorem działania), z drugiej perspektywę kompromisu (którą nakazuje realizm, zdobyta wiedza)? To jest też pytanie o kulturę polityczną – po czasach KOR-u i „Solidarności".

– Nie wiem, czy ja ci na to pytanie wyczerpująco odpowiem, a ono jest zasadnicze. Bo ludzie w zakładach są najważniejsi. O wszystkim zadecyduje nasz wpływ w zakładach. Działalność KOR-owska sprawdziła się, bo byliśmy w Ursusie, w warsztatach kolejowych w Lublinie, w Stoczni. Jeśli przyjdzie czas wezwania do strajku generalnego, to on zagra tylko wtedy, kiedy znajdą się w każdej hali fabrycznej ludzie, którzy przestaną pracować – oraz będą mieli autorytet. I tu się zaczyna kwadratura koła. Niedawno w Gdańsku mówiłem do działaczy robotniczych o tym, że trzeba walczyć o najdrobniejsze ludzkie sprawy, nie o wielką politykę, tylko o rękawice, mistrza itp. No i mówi do mnie taki chłopak: dobra, ja jeszcze jestem w zakładzie, ale jak się pokłócę o rękawice, to rękawice będą, tylko że mnie już nie będzie. Jak on będzie zachowywał substancję czyli będzie tam trwał, to ludzie zapomną, że był działaczem i jego autorytet przestanie istnieć. Jak będzie się szarpał, załatwiał sprawy, to go wyleją.

Najlepiej byłoby, żeby sam nie pyskował, tylko organizował ludzi i inspirował działanie. Tyle, że nadzór i tak będzie wiedział, kto jest animatorem wystąpień – wyleją go pod byle pretekstem. Tak źle i tak niedobrze.

Mamy teraz takie zjawisko: coraz więcej działaczy jest poza wielkimi zakładami: oni potrzebują zarabiać, zmieniają pracę, wyrzuca się ich. Natomiast w zakładach – słabo. Wszystkich natomiast dotyczy to, o co zapytałeś – ta elastyczność, łączenie dalekiej perspektywy z małymi krokami. To jest właśnie sprawa kultury politycznej i to jest problem, który oglądaliśmy już w czasie karnawału – jak mówi Adaś Michnik, czyli

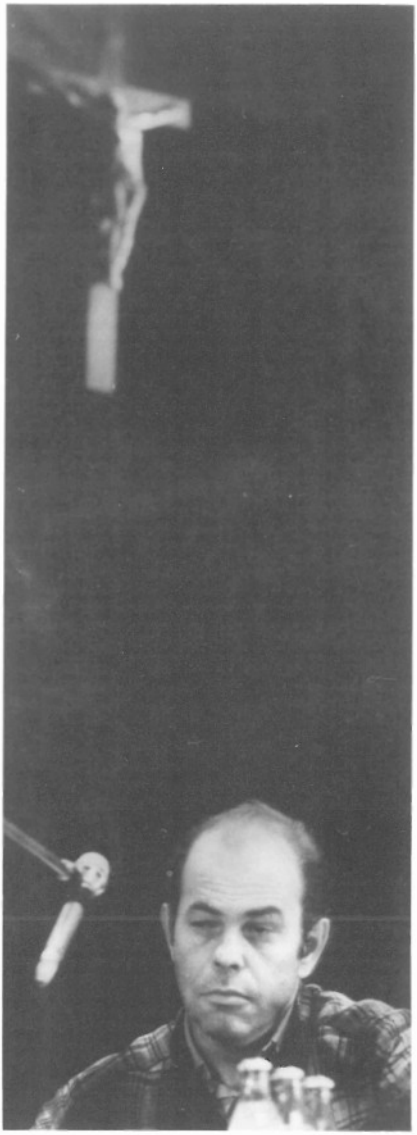

między Sierpniem a Grudniem. Przyjeżdżałem przecież na strajk i ludzie mówili: jak teraz przerwiemy, to już nigdy nie zastrajkujemy. A należało strajk przerwać. Ta wizja, że można jednym skokiem złapać wszystko; albo teraz, albo nigdy, jest groźna. Bylibyśmy wtedy niepotrzebni, aniołki przyniosłyby nam wszystko. Zawsze trzeba iść krok po kroku podejmując dwa ryzyka równocześnie: z jednej strony ryzyko, że nie uderzymy wtedy, kiedy trzeba: z drugiej strony ryzyko, że uderzymy za mocno. Między nimi musimy wybiera8. Na tym polega polityczne działanie, że w jakimś momencie mówisz: nie ruszam, mało ruszam, mały krok robię, a w jakimś momencie mówisz: duży krok robię. Decyzje to jest trudna sprawa, i trzeba to wiedzieć.

– Wszyscy za mało dbamy o rozwój politycznego myślenia, które pozwalałoby na kalkulację, jakie ryzyko opłaca się w danym momencie. Dodałbym do tego czynnik życiowy. Dla wielu działaczy oczekiwanie, że wyzwolenie nastąpi nagle – wiąże się z chęcią – szybkiej zmiany świadomie wybranego życia, które jest gorsze (choćby ekonomicznie). Rozszerzyła się grupa ludzi, którzy ryzykują więzieniem, pracą, ambicjami zawodowymi, a przecież mają rodziny, które przestają to wytrzymywać. Czy istnieje możliwość spotęgowania samoobrony społecznej? Etyka solidarności nie funkcjonuje na szerszą skalę. Myśmy o niej trochę zapomnieli. A to działa detonująco na dwie strony: przyśpiesza odchodzenie od ruchu, albo powiększa ludzką determinację.

– Oba detonatory działają. Narasta radykalizm i ludzie odchodzą. Najboleśniejsza sprawa jest z tymi, którzy idą siedzieć, a krzyczy się Michnik, Frasyniuk. Natomiast jacyś tam chłopcy siedzą i nikt się o nich nie upomina. Tak to się odbiera, a w rzeczywistości jest akurat odwrotnie, bo nacisk na uwolnienie więźniów politycznych jest skuteczny przede wszystkim dla tych mniej znanych, dlatego, że władzy łatwiej jest ich puścić, bo są mniej groźni. Niemniej psychologicznie jest tak, jak mówisz. To jest problem kwadratury koła, bo działać w masowym ruchu trzeba tak, aby sytuacja działaczy nie odbiegała zbytnio od sytuacji zwyczajnych ludzi. Ten stan trwa długo i sprawił coś w rodzaju normalizacji, ludzie się przyzwyczaili, że tak ma być i zaczęli szukać sobie miejsc. W tej sytuacji działaczy jest niewielu. Bo wszyscy żyją normalnie, a on (działacz) całkiem nie. Są jednak takie formy, które pomagają to rozwiązać. W niektórych regionach w Polsce, gdzie mają gazetki, ulotki, był bojkot – działanie „Solidarności" jest w olbrzymim stopniu nastawione na samopomoc: kolonie dla dzieci, pomoc rodzinom, rolnicy przywożą kiełbasę, bije się świnie, robi się różne spółki. I to nie jest następstwo wielkich pie-

nędzy z akcji charytatywnej, tylko silnej więzi, niemal rodzinnej. To nie rozwiąże problemu, ale to jest droga – klasycznie związkowa. Tylko środowiskowa samopomoc potrafi zabezpieczyć rodzinę wsadzonego, żadna charytatywna pomoc, żadna formalna struktura. Pomoc to nie tylko pieniądze, to także opieka nad dziećmi itp.

– Sporo osób wybiera jawne działanie lub musi zrezygnować z podziemnej anonimowości. Działając jawnie wiedzą, że w każdej chwili mogą zostać aresztowani, tym niemniej jest ich już tak dużo, że praktycznie nie można ich zamknąć bez jakiegoś wielkiego kroku w rodzaju stanu wojennego. Jakie widzisz możliwości działania dla opozycji jawnej – i możliwości współpracy między nią a opozycją w podziemiu?

– „Solidarność" działa wielowątkowo i im więcej będzie tych wątków, tym lepiej. Ona taka powinna być: nadziemno-podziemna. I coraz więcej nadziemna. Podziemne są struktury i one takie muszą być. Ale jak się niejawnie spotykają ludzie, o których władza wie, że są działaczami „Solidarności", to oni się spotykają nadziemnie czy podziemnie? Ta granica powinna być płynna. Są dwa rodzaje działań nadziemnych. Jedne skupiają się głównie wokół Kościoła, np. Rada Parafialna Internowanych, a ponadto jest jeszcze paru takich klientów jak Onyszkiewicz i ja, którzy spotykają się z dziennikarzami, udzielają wywiadów itp. Szukałbym więcej dróg pozakościelnych. Innym rodzajem działań nadziemnych, które mogą być bardziej masowe, są różnego rodzaju samorządy. Nie tylko samorządy zakładowe, ale np. takie jak PTTK, które jest samorządną organizacją. Albo różnego rodzaju stowarzyszenia ekologiczne, ochrony przyrody – i tu znowu jest miejsce na styk dwóch formuł, np. gdyby na Śląsku dziś ukonstytuowała się rada ochrony środowiska i wydała raport o zanieczyszczeniu, to władza by jej nie ruszyła.

Warszawa jest takim modelowym miejscem, bo tu wszyscy uznają podziemie i mają z nim kontakt. Ten typ jedności jest niesłychanie ważny. Natomiast w związku z tym, że coraz więcej ludzi odchodzi z zakładów, a przecież przychodzą nowi, którzy nie widzieli „Solidarności", to ja bym proponował, żeby przyjmować ludzi do „Solidarności". Dziś. Teraz. W prosty sposób: dwóch klientów bierze młodego człowieka i mówi mu – przystępujesz do „Solidarności", chcesz? Rączka! Nic więcej. Można przy tej okazji coś wydawać. Ale najważniejsza jest decyzja, że oto przyjęto. Bo jak nie zaczniemy przyjmować, to „Solidarność" stanie się lada moment organizacją emerytów. Otworzyłbym się również na te młodzieżowe struktury, które mówią o działaczach solidarnościowych: „Weterani do muzeum!" A zatem możliwości działania i wychodzenia z martwego punktu jest wiele.

– Wierzysz w sukces?

– Jest nam wszystkim ciężko, bo działamy, a nie widzimy skutków naszego działania. Dlatego warto czasem uświadomić sobie, jak wielkie dzieło wykonaliśmy: od czasów przedsierpniowej opozycji, od małych grup ludzi niepokornych – do zorganizowanego społeczeństwa. Przed nami bardzo trudny kawałek drogi – ale przecież dojdziemy.

– Dzięki za rozmowę.

Wola, nr 7, Warszawa, 17 II 1986.

Jörg Bremer

We własnym sosie...

Apatia życia kulturalnego w Polsce

Jorg Bremer jest warszawskim korespondentem „Frankfurter Allgemeine Zeitung", jednego z najbardziej liczących się na świecie dzienników. Opinie wyrażane w tej gazecie są miarodajne nie tylko dla elit społeczno-politycznych w Niemczech Zachodnich. Dlatego właśnie redakcja publikuje artykuł F. A. Z. na temat obecnej sytuacji kultury w Polsce pióra J. Bremera. Jesteśmy zdania, iż spojrzenie cudzoziemca na sprawy polskie zainteresuje naszych czytelników. Artykuł ten ukazał się 2 kwietnia w F. A. Z. pt. „Kochen im eigenen Saft".

Warszawa, początek kwietnia

W ostatnich tygodniach kultura polska z konieczności dusiła się we własnym sosie. Rozwojowi kultury zaburzenia polityczne nie sprzyjają. Ponieważ jednak napięcie polityczne zaczęło spadać, wielu twórców odczuło nagle swe wyizolowanie i odcięcie od zewnętrznych prądów. Ponadto kultura polska jest podzielona. Z jednej strony istnieją nowe oficjalne związki twórcze, w większości utworzone w roku 1982. Wstąpili do nich ci, dla których lojalność wobec rządu i partii jest ważniejsza niż wszystko inne. Z drugiej zaś strony funkcjonuje kultura „niezależna", „wolna" – pozostałość po zlikwidowanych przez władze starych związkach. Wielu twórców – chociażby z solidarności wobec krytykowanych przez państwo kolegów – stoi na uboczu i nie chce mieć nic wspólnego z kulturą oficjalną. Ów drugi nurt kultury jest bardzo aktywny i odnosi nawet sukcesy. Wydawnictwa podziemne pracują na przykład znacznie lepiej niż oficjalne. *Rzeka podziemna, podziemne ptaki* powieść Tadeusza Konwickiego (autor podaje tu nieściśle dwa tytuły: „Rzeka podziemna", „Podziemne ptaki" – przyp. tłum.) dotarła już po sześciu miesiącach do rąk czytelników. Pisarz nie musi tu czekać latami na wydanie swojej książki, jak to się dzieje w oficjalnych wydawnictwach, a i nakład jest wyższy. Krąg czytelników zaś odpowiada wyobrażeniom autora. Książki nie „wsiąkają" w bibliotekach i urzędach. Inny manuskrypt Konwickiego złożony w oficjalnym wydawnictwie mniej więcej od roku czeka na publikację. Przeszedł już przez cenzurę, na druk brakuje jednak papieru, a chyba i mocy przerobowych. Nawet prasa reżymowa narzeka, że tylko cykl wydawniczy książek ministrów, marszałków i dziennikarzy partyjnych jest krótszy niż pół roku.

Kultura niezależna jest żywsza i ciekawsza niż oficjalna. Działacze partyjni nie zakłócają jej funkcjonowania. Wprawdzie papier, na którym drukowane są zaproszenia, jest skromniejszy, a druk mało czytelny, to jednak na imprezach spotykają się ludzie, którzy mogą otwarcie ze sobą rozmawiać. Spotkania te odbywają się wciąż jeszcze w prywatnych mieszkaniach, czytelniach i salach uniwersytetu. Mimo to zauważa się pewną tendencję: spadek zainteresowania, brak nowych tematów i poczucie niepewności. Zapotrzebowanie na spotkania tego rodzaju maleje. Twarda postawa wobec dysydentów ze strony oficjalnych władz odpowiedzialnych za kulturę łamie opór, podkopuje siły, nie sprzyja twórczej działalności.

Czy polscy artyści mają jeszcze wspólne tematy? Jeden z pisarzy mówi o poszukiwaniu „bardziej szlachetnej, moralnie zdrowszej Polski". Dzieje się to najczęściej poprzez zwrot ku historii. Wielonarodowościowa wspólnota sprzed wojny, Wilno czy Lwów, gdzie razem współżyli Polacy, Białorusini, Litwini, Żydzi i Ukraińcy znów fascynuje. Wiele książek ostatnich miesięcy nosi cechy autobiograficzne i opisuje kresy wschodnie. Niepodzielnie króluje nostalgia, bo i wielu pisarzy osiągnęło wiek, w którym pisze się wspomnienia.

Na przykład *Kronika wypadków miłosnych* Tadeusza Konwickiego ukazała się już przed kilkunastoma laty. Jest to opowieść o miłości maturzysty do córki oficera. Rzecz dzieje się tuż przed wybuchem wojny na wileńszczyźnie. Powieść tę sfilmowali wspólnie Andrzej Wajda i Tadeusz Konwicki. (Wajda pracuje obecnie nad filmową adaptacją *Biesów* Dostojewskiego). „Kronika" nie posiada akcentów politycznych, więc bez trudności przeszła przez cenzurę. Władze kinematografii jednak nie chciały, aby te dwa nazwiska ukazały się obok siebie w czołówce filmu. Zapewne nie chce się w ten sposób reklamować Konwickiego, zaliczanego do opozycji. Ale i to może się szybko zmienić.

Film, wraz z wejściem na ekrany ma zapewniony sukces. Choć kręcony nie na Litwie, a w okolicach Białegostoku, wywołuje uczucia tęsknoty za kresami wschodnimi. W prasie pisać jednak o tym nie wolno. Żal za utraconymi ziemiami rodzinnymi jest nadal aktualną sprawą tak samo w Polsce jak i w Niemczech. Dowodem na to jest reakcja widzów po audycji telewizyjnej poka-

zującej generała Jaruzelskiego w Wilnie. Wiele osób po raz pierwszy od zakończenia wojny znów zobaczyło swoje strony rodzinne. Tych kilka migawek w telewizji – wileńska starówka, widok Ostrej Bramy – stało się tematem rozmów na wiele dni. W przeciwieństwie do Niemców, którzy wprawdzie nie mogą odwiedzić Królewca, ale za to bez przeszkód mogą jechać do Wrocławia czy Olsztyna, Polakom odmawia się zgody na wyjazdy do Wilna czy Lwowa, jeśli nie przedstawią zaproszenia od najbliższych krewnych.

Telewizja odgrzebała jeszcze inną przeszłość; prezentuje mianowicie w dłuższych odstępach czasu filmy okresu międzywojennego o środowisku żydowskim, które bezpowrotnie zginęło: *Dybuk* w filmowej adaptacji z lat 20-tych czy wesele w galicyjskim miasteczku żydowskim, w którym biorą udział rodziny młodej pary – chasydzi i bogaci handlarze ropą. Na nowo odkryto wpływ Żydów na kulturę polską. Dyskusje na temat polskiego antysemityzmu są nadal kontynuowane, choć daleko im do stanu wrzenia, który cechował krytykę filmu Lanzmanna *Shoah*. Antysemityzm nie jest już tematem tabu, nie wolno tylko przypominać, że w roku 1968 partia raz jeszcze wykorzystała go do rozprawienia się z opozycją.

Bez wątpienia najważniejszym wydarzeniem teatralnym ostatnich miesięcy był spektakl Tadeusza Kantora *Niech szczezną artyści* („Es sollen die Künstler verrecken"), w którym 70-letni reżyser znów wraca do śladów swej polsko-żydowskiej młodości. Jego teatr wędrowny po prapremierze w Norymberdze w czerwcu 1985 r. przyciągnął również tysiące widzów w Polsce. Bilety wstępu rozchodziły się z ręki do ręki za bajońskie sumy. W recenzjach prześcigano się w hymnach pochwalnych. Kantora ceni się w Polsce od lat 60-tych, ale tak naprawdę to dopiero teraz odkrywa się tę żydowsko-polską przeszłość. Świadczą o tym i inne fakty: powieść Hanny Krall *Sublokatorka* lub wystawa fotografii pt. *Ostatni* Tomasza Tomaszewskiego poświęcona „ostatnim" żyjącym jeszcze dzisiaj w Polsce Żydom.

Polityka natomiast nie wzbudza już większego zainteresowania: znaki „V" na czołgach czy biały orzeł krwawiący na krzyżu nie wywierają wrażenia, takiego jak kiedyś. Przed kilkoma laty istniała jeszcze liryka okresu stanu wojennego. Wybijali się tu Tomasz Jastrun, rocznik 1950, syn zmarłego Mieczysława i poznański poeta Stanisław Barańczak. Barbara Sadowska, matka zamordowanego Grzegorza Przemyka wzbudziła krótkotrwałe zainteresowanie. Ale i ona umilkła. Również Lothar Herbst z Wrocławia stał się sławny. Do niedawna pisał swoje wiersze w celi więziennej. Herbst chory na oczy czeka obecnie na proces pod zarzutem podburzania do niepokojów społecznych. Ewa Lipska i Julian Kornhauser też wywodzą się z powojennego pokolenia literackiego, dla którego rozruchy studenckie z roku 1968, jak i strajki robotnicze z 1970 r. (Szczecin/Gdańsk) i 1976 (Radom/Ursus) stanowią ważny punkt odniesienia. Ucichło o nich wszystkich. Zwrot ku prywatności umniejsza znaczenie tych twórców. Lecz również Zbigniew Herbert i Wisława Szymborska coraz rzadziej piszą nowe wiersze. Być może młodzi twórcy biorą przykład ze starszych kolegów.

W pracowniach malarskich dominowały jeszcze przed kilkoma laty aktualne problemy: mundury i czołgi na biało-czerwonym tle. Obecnie obrazy stały się znów bardziej osobiste. Niektóre, np. pędzla Antoniego Fałata (wnuk Juliana Fałata, pejzażysty i malarza scen myśliwskich) znajdują nabywców na Zachodzie. Wprawdzie Fałat datuje swoje obrazy licząc dni od czasu ogłoszenia stanu wojennego, lecz jest to już tylko rutyna. Wszyscy oni zwracają się w swej twórczości do własnego wewnętrznego świata. Pewien malarz zaprosił mnie niedawno na wernisaż. Z trudnością znalazłem pomieszczenie w biurowcu przy ruchliwej ulicy wylotowej na przedmieściach Warszawy. Szybko wypróżniono 50 butelek białego rumuńskiego wina. O obrazach prawie nie dyskutowano.

Spotyka się też i tony krytyczne. W sprawozdaniu Narodowej Rady Kultury z końca 1985 r. krytykuje się bezbarwność polskiego życia, piętnuje niegustowność znormalizowanych mieszkań w nowych blokach. Wyposażenie biur i sklepów przypomina lata 50-te, okna wystaw są kiczowate. W przemyśle tekstylnym, chemicznym i szklanym rozwiązano 80 biur wzornictwa, tak samo w przemyśle maszynowym. Rada kultury zwraca uwagę również na fakt, iż od roku 1982 liczba zwiedzających galerie, widzów w teatrach i na koncertach spadła o 30 %. Na jednego statystycznego mieszkańca drukuje się rocznie 6 książek, pokrywa to zaledwie 60 % zapotrzebowania. Maszyny drukarskie są przestarzałe. Około 40 % Polaków nie czyta książek. Nakłady słowników i albumów również nie pokrywają zapotrzebowania. Książki są albo za drogie (album malarstwa polskiego, od jego początków do współczesności, wydany na papierze wysokiej jakości kosztuje 1500 zł, czyli jedną dwunastą normalnej pensji pracownika umysłowego), albo po oficjalnej cenie nie można ich kupić. Dotyczy to przede wszystkim słowników obcojęzycznych i leksykonów, które można nabyć za to na czarnym rynku za cenę dwu lub trzykrotnie wyższą. Rada kultury podała, że biblioteki nie nadążają za życzeniami czytelników; książki o tematyce politycznej zalegają półki, natomiast brak jest ciekawej literatury. W ostatnich miesią-

cach zamknięto ponad 500 czytelni i bibliotek publicznych.

Coraz mniej osób chodzi też do kina. Spadek liczby widzów w kinach wynosi 30 % dla miast i aż 50 % dla wsi. Polska produkuje coraz mniej ciekawe filmy. Nowych filmów prawie nie ma, a te, które zrealizowano po ogłoszeniu stanu wojennego znów zniknęły z ekranów, jak na przykład *Zmory* Wojciecha Marczewskiego, opowieść o wychowaniu w okresie stalinowskim. Film ten pokazano w niemieckiej telewizji a i w USA cieszy się powodzeniem. W ogóle Polska kupuje coraz mniej zagranicznych, zwłaszcza zachodnich filmów. Brakuje pieniędzy. Telewizja prezentuje obecnie filmy Woody Allena, ale tak naprawdę to chyba tylko koneserzy mogą się z tego cieszyć. Na filmy sowieckie nie „chodzi się", dlatego wiele dobrych pozycji pozostaje niezauważonych. W ostatnich latach władza popierała lojalnych reżyserów – Porębę i Petelskich, ale poziom ich filmów był tak żałosny, że obecnie już się ich nie faworyzuje. Tylko dyskusyjne kluby filmowe, posiadające nadal stosunkowo dużą samodzielność, mają swych zagorzałych zwolenników. Tam też pokazuje się więcej filmów sowieckich niż w innych kinach.

Ubiegły rok nie był bogaty w wydarzenia kulturalne. Tadeusz Konwicki twierdzi, iż kultura polska traci oblicze. A może brak jej po prostu widoków na przyszłość? ■

Maciej Radwan-Rybiński

Polska norma

Szczycimy się dziś, że jesteśmy narodem, który nie wydał Quislinga, przemilczając fakt, że nikt go u nas nie szukał, bo gdyby szukał, to by znalazł jakiegoś Skiwskiego, Goetla czy Jehannę Wielopolską, albo choćby Bolesława Piaseckiego. Teraz poprawiamy sobie samopoczucie twierdzeniem, żeśmy narodem bez komunistów, krajem, w którym 90 procent członków partii komunistycznej chrzci dzieci i chodzi do kościoła, wykręca się od zebrań partyjnych i nie płaci składek, a ubezwłasnowalnianiem społeczeństwa zajmuje się nieliczna garstka kolaborantów, płatnych agentów, cyników lub ludzi o słabym charakterze.

Bardzo to piękny, bardzo idealistyczny obraz, niestety zupełnie nieprawdziwy. Polską normą nie jest odmowa, polską normą jest dziś kolaboracja, a odmowa szlachetnym od niej wyjątkiem. Błąd w optyce, błąd w ocenie narodu, który koniecznie musi być łechtany w swej dumie jako naród wybrany, polega na tym, że traktujemy komunizm czy realny socjalizm, czy jak to się powinno nazywać – nie jak sposób sprawowania władzy, a jak wyznanie wiary, rodzaj religii i tylko tych gotowi jesteśmy mu przypisać, którzy mu służą ideowo, z przekonania, bez mrugania na boku i usprawiedliwiającego rozkładania rąk.

Tymczasem komunizm w Polsce od czterdziestu lat budują antykomuniści, być może jest to jeden z powodów, dla którego jest tak lichy. Ale ci – we własnym i otoczenia przekonaniu – antykomuniści są żarliwszymi twórcami komunizmu niż mogliby być nimi komuniści ideowi i prawdziwi. Jest to rezultatem fenomenu psychologicznego – ludzie bezideowi raz przełamawszy w sobie wewnętrzne opory nie odczuwają już żadnych innych wątpliwości poza tą jedną, czy dobrze uczynili idąc na współpracę. Jej zakres jest już doprawdy obojętny.

Chciałbym dziś przedstawić Państwu różne kategorie budowniczych Polski Ludowej, ludzi, z którymi albo zetknąłem się osobiście, albo wiem o nich dostatecznie dużo, znam ich motywacje, przyczyny, jakie przyprowadziły ich do kolaboracji, usprawiedliwienia, jakie sobie wynajdują.

IDEOWCY

Zacznijmy od ideowców. Wedle mego rozeznania jest ich w Polsce dokładnie dwóch, może gdzieś w prowincjonalnych chaszczach aparatu ukrywa się jakiś trzeci, trudno to wykluczyć. Ja poznałem dwóch prawdziwych, ideowych komunistów – Mariusza Gulczyńskiego, autora książek w rodzaju *Dlaczego komunizm?* i Mieczysława Krajewskiego, recenzenta wszystkich tych książek. Obaj panowie wyrośli z kręgu tego samego co Adam Michnik, są jego rówieśnikami, razem toczyli dyskusje w tak zwanym czerwonym harcerstwie. Oczywiście obaj dostrzegli sprzeczność między ideą, którą zaakceptowali, a rzeczywistością, która

ich otaczała. Odmiennie jednak i bardziej idealistycznie – wierni klasykom komunizmu – uznali konieczność zreformowania nie systemu, a jego awangardy, partii. Ich wychowankiem jest Wojciech Lamentowicz. Są mieszaniną dobrodusznej naiwności i niezłomnej wiary. Krajewski, który był szefem piónu ideowego w Wydziale Prasy KC dwa razy wylatywał ze stanowiska – najpierw za udzielenie zgody na opublikowanie przez *Sztandar Młodych* postulatów gdańskich, potem za polecenie tej samej gazecie wydrukowania wywiadu z Jackiem Kuroniem. Ostatecznie wyleciał 13 grudnia. Obaj znaleźli się na partyjnym wysypisku, w Akademii Nauk Politycznych przy KC PZPR.

WYSTRASZENI

Jest to może najosobliwsza grupa działaczy partyjnych, której najwybitniejszym przedstawicielem jest generał Jaruzelski. Są to ludzie, którzy przeszli przez sowieckie łagry i którym złamano tam kręgosłup, którzy z Syberii zamiast nienawiści i pogardy wynieśli przeświadczenie o takiej potędze i bezwzględności Związku Sowieckiego, że uciec od niej można tylko w pokorę i poddaństwo. Może najlepszym przykładem jest tu obecny minister kultury i sztuki, Kazimierz Żygulski, który z łagrów wrócił dopiero w 1956 roku, a został zrehabilitowany przez sąd sowiecki w 1976. Nie znam syberyjskich przejść Jaruzelskiego, który siedział w łagrze do roku 1943. W książce *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali* znalazłem opis śmierci ojca Jaruzelskiego na tyfus w brudnej, zawszonej celi więziennej. Znam natomiast kogoś, kto przeszedł przez to samo i do dziś, wytworny dżentelmen, budzi sensację przy stole zasłaniając jedną ręką talerz. Nawyk, który pozostał mu z łagru, ochrona wody z lebiodą przed rabunkiem wygłodniałych współwięźniów. Łagierne przejścia pozostawiły u tych ludzi strach tak silny, że powoduje znany z Dostojewskiego syndrom samounicestwienia się jako obrony ~~przd~~ przemocą. Swoją drogą jest ciekawą zagadką, dlaczego podobnych skutków nie miał pobyt w straszliwych przecież hitlerowskich obozach koncentracyjnych.

TRIUMFUJĄCY

Instrukcja naboru do bojowych oddziałów ZOMO nakazuje szukać kandydatów w sierocińcach, wybierać ludzi samotnych i osamotnionych, bez powiązań rodzinnych. Nic się nie zmieniło od pierwszych lat Polski Ludowej, kiedy to repatriowanych z Francji członków Związku Młodzieży Polskiej „Grunwald" pchano do pracy w Urzędzie Bezpieczeństwa. Przyjeżdżali samotni, urodzeni we Francji, nie mający w Polsce żadnych powiązań, fanatyczni i na ogół prymitywni. Byli idealnymi kandydatami na katów. To oni przesłuchiwali, mordowali i torturowali. Nie mogli wrosnąć w tę Polskę, której nie znali i nie rozumieli. Kiedy po XX Zjeździe KPZS posadzono Różańskiego, a Wozniesienski wrócił do Moskwy, nie stała się im żadna krzywda. Poszli do pracy w kulturze, w sporcie, w prasie – tam, gdzie przez dziesiątki lat system upychał najmniej przydatnych. Przechodząc do cywila, pozostali nadal wyobcowani, z bezpiecznickimi nawykami, rozgoryczeni i nienawistni. Tęsknią do dawnych, dobrych czasów brania za pysk i walenie gazrurką, do zacisznych kazamatów Mokotowskiej i prostych podziałów na „swój – wróg". Jednym z nich jest Zdzisław Piś, aktualnie zastępca naczelnego redaktora tygodnika Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej *Argumenty*, z którego publicystyki przeziera irytacja bezczynnością władz wobec rozpanoszonej bezczelności Kościoła i opozycji. „Francuzi" wierzą, że czasy triumfu nad wrogiem, czasy ich młodości jeszcze wrócą i czekają na to niecierpliwie.

RUSOFILE

Mam zawsze podejrzenie, że rusofile działający w sferze polityki tak naprawdę są głęboko antyrosyjscy, a pokrętną historiozofią wykazującą nieuchronność podporządkowania Polski wpływom rosyjskim – jakimkolwiek, dziś komunistycznym – pragną pokryć własne upodlenie. Ale – to tylko hipoteza, nie oparta na żadnych materialnych podstaw. Nasi komuniści z rusofilskim fundamentem upojeni są przede wszystkim wielkością Rosji Sowieckiej (wielkie jest piękne), faktem, że gdy w Leningradzie słońce zachodzi, to we Władywostoku wschodzi. Rusofile wyznają prawo silniejszego, uznając za całkowicie moralne, gdy silniejszy dławi słabszego. Nie mówią na ogół o pierwszym państwie robotników i chłopów, o rewolucji socjalnej, o proletariacie i marksizmie-leninizmie, tylko o Rosji, a Sowiety są dla nich kontynuacją państwa carów. Podporządkowanie Polski temu państwu uważają za najszczęśliwsze wydarzenie w tysiącletniej historii państwa polskiego i potrafią udowodnić, że przez tysiąc lat nie Polska była w Europie ważna, tylko Rosja, nawet gdy jej nie było, a księstwo moskiewskie było mniejsze od województwa kijowskiego. Miałem kiedyś w ręku Kalendarz Robotniczy na rok 1953, gdzie wszystkie ważniejsze wynalazki przypisane były Rosjanom. Wówczas był to najjaśniejszy ukaz innego Rosjanina z wyboru i rusofila z przekonania, Józefa Wissarionowicza Dżugaszwili. Teraz czytam w warszawskiej *Kulturze* artykuł ro-

dzimego rusofila Zygmunta Kałużyńskiego, który w swej nieodwzajemnionej miłości do Rosji posuwa się tak daleko, że nie tylko stwierdza, iż bez Musorgskiego nie byłoby jazzu, co jest bzdurą na miarę krzaczastej pszenicy, ale też udowadnia wyższość prawosławia nad katolicyzmem. Rusofile są komunistami, bo komunistyczna jest Rosja. Gdyby przywrócono w Moskwie tron dziedziczny, zostaliby monarchistami.

GRACZE

Gracze należą wedle sławnego polskiego socjologa, Floriana Znanieckiego do kategorii ludzi zabawy, ludzi, którzy nigdy nie wyrastają z kręgów rówieśniczych, pozostają na zawsze dziećmi ogarniętymi potrzebą gry. Z tej kategorii wywodzą się politycy we wszystkich systemach i ustrojach. W PRL, by brać udział w grze, trzeba być komunistą, trzeba przyjąć ten szyld, inaczej jest się poza jej głównym nurtem. Żywiołem graczy są intrygi, wykańczanie innych, rozgrywki grupowe i personalne. Ideologia ich nie interesuje, chyba tylko jako narzędzie. Są drożdżami systemu, bez nich wszystko dawno by zastygło w biurokratycznym skostnieniu. Grają między sobą i grają na układy na Kremlu, stawiając na ludzi jak na numerki. Graczami są dwaj do niedawna śmiertelni wrogowie, Mieczysław Rakowski i Stefan Olszowski, piszę do niedawna, bo wszystko wśród graczy zależy od okoliczności i dziś – obaj odstawieni na boczny tor – mogą się już po cichu porozumiewać, by wspólnie rozegrać kolejną partię. Różnica między nimi: Olszowski jest hazardzistą, potrafiącym wykonywać ryzykowne posunięcia, Rakowski to gracz rozważny, powoli gromadzący atuty, idący na pewniaka, Olszowski potrafi przegrywać, Rakowski popada w histerię, lubi się obrażać. Obaj grają w grę bez reguł na narodowym karku.

KRYPTOENDECY

Uznali, że fakt, iż znów istnieje polskie koło w Dumie, choćby i komunistycznej, powinien otworzyć drogę do spełnienia innego postulatu Dmowskiego – oczyszczenia narodowego organizmu z przymieszki obcej krwi. Pojęcie narodu, wbrew historycznym tradycjom nie jest dla nich pojęciem kulturowym, tylko etnicznym. Są antyniemieccy, jakby do dziś mieszkali w zaborze pruskim, a winę za wszystkie niepowodzenia 40-lecia powojennego przypisują obcym, nieswoim. Niektórzy, jak poeta Harasymowicz-Broniuszych skłaniają się ku mistycznemu panslawizmowi. Jako bardzo jeszcze młody człowiek zetknąłem się z dwoma spośród nich, gdy jeszcze nie byli oficjalnie koncesjonowani jako ruch patriotyczny – z reżyserem Porębą i dramaturgiem Gontarzem. Z dość, pamiętam, wytrzeszczonymi oczami słuchałem wywodów na temat uproszczonego stosunku do faszyzmu, który wprawdzie uległ pewnym wypaczeniom, ale zasady miał jak najbardziej zdrowe. Neoendecy i ich organizacja „Grunwald" traktowani są z pewnym rozbawieniem – sam się uśmiałem do łez, gdy w 1981 roku opowiadano mi o wystąpieniu pewnego delegata na I zjeździe „Grunwaldu", który stwierdził, że importowane z RFN śledzie „Bismarck-Hering" obrażają uczucia patriotyczne Polaków, bo to nie dość, że Bismarck, to jeszcze „Hering" kojarzy się z „Goering" – gdy tymczasem stanowią potencjalnie najgroźniejszą grupę w partii i jej okolicach.

APARATCZYCY

Komuniści zawodowi, ludzie wychowani, wykształceni i ukształtowani przez aparat. Wystarczy wziąć jakikolwiek życiorys kogoś z młodego pokolenia awansowanego na stanowisko partyjne czy państwowe. Na ogół żaden z nich nie przepracował w życiu ani jednego dnia. Tylko działa. W ZSMP, SZSP, ZMW, KMW i jak to się wszystko nazywa. Potem, parę wydziałów komitetu wojewódzkiego i do centrali. Znałem takich zawodowców tuziny. Mają na ogół bardzo zdrowy, to znaczy bardzo cyniczny stosunek do rzeczywistości. Znają na wylot wszystkie słabości systemu i potrafią je wykorzystać dla własnej korzyści. Cała reszta nic ich nie obchodzi. Wszyscy mają jedno marzenie i jeden cel – wyjazd na placówkę zagraniczną, oczywiście nie do Mongolii. Nie kryją się wcale z przekonaniem, że Polską rządzi Targowica, gardzą swymi szefami i dobroczyńcami i są absolutnie nielojalni wobec wszystkich i wszystkiego, za wyjątkiem interesu grupowego.

NIEUDACZNICY

Zjawisko stosunkowo nowe. To znaczy, nieudacznicy istnieli zawsze, ich liczba w czterdziestoleciu rosła, ale po grudniu dopiero ruszyli szturmem na PRON, SD PRL, Neo-ZLP i gdzie tam jeszcze, żeby się odegrać za niepowodzenia. Rekrutują się przeważnie z mało uzdolnionych, cierpiących na brak uznania przedstawicieli zawodów twórczych. Źli poeci, kiepscy pisarze, autorzy kiczów malarskich stanęli w kolejce po nagrody państwowe i odznaczenia. Jerzy Dobraczyński za PRON dostał krzyż orderu Virtuti Militari. Bohdan Drozdowski, naczelny redaktor *Poezji*, przez całe lata uważany za błazna rządzi zza kulis Związkiem Literatów Polskich. Malarz Krajewski, którego prześladowano za to, że w czasie socrealizmu malował dojarki na traktorze, bierze teraz

srogi odwet. Zapoznani aktorzy w nagrodę otrzymują główne role, a reżyserstwo Petelscy wydają 100 milionów złotych na film, który w ciągu roku obejrzało 80 tysięcy widzów. Nieudacznicy z lubością zajmują się zwalczaniem środowiska, które odmawiało im uznania.

FRAJERZY

Frajerzy to ludzie, którzy wbrew doświadczeniom dziesięcioleci uważają, że coś dałoby się zrobić, gdyby rozsądni i porządni wdepnęli w struktury władzy i próbowali je regulować i naprawiać. Dla mnie przykładem frajera jest wiceprzewodniczący PRON, prof. Kozakiewicz, który dał się namówić na udział w tym przedsięwzięciu, by tchnąć ducha w kaleki i poroniony płód. Nie wiem, czy po licznych, a nieudanych próbach choćby torpedowania legislacyjnej biegunki sejmowej Kozakiewicz połapał się w swoim frajerstwie. Jeśli tak, to trochę za późno. Frajerzy są kategorią wymierającą, powinni więc podlegać ochronie.

MONOLITY

Monolity to nie twardziele. Monolity to osoby, które posiadły jedną tylko umiejętność, z niej potrafią tylko wyżyć i skonstatowawszy iż monopol na jej używanie ma władza, godzą się na współpracę z lęku, że nic innego nie potrafią; wybór jest tu między życiem a nieistnieniem. Wiele osób wyrzuconych po 13 grudnia z dziennikarstwa, poszło kajając się na kolanach przed oblicze wysokiej komisji Olszowskiego, błagając o uchylenie zakazu wykonywania zawodu. Brak możliwości pisania w prasie oficjalnej wydawał im się równy końcowi świata. W stanie wojennym krytyk Krzysztof Mętrak powiedział mi w przypływie absolutnie szczerej – bo niezbyt trzeźwej – szczerości: a ja będę pisał, bo nic innego nie potrafię robić. Będę kolaborował, ale będę miał nazwisko. Tu się chcę zastrzec, że jest to dla mnie motyw zupełnie zrozumiały i nawet odczuwam dla tej szczerości pewną sympatię.

ŻYWICIELE

Oczywiście rodziny i to jedyni. Rozkładają ręce i powiadają – no tak, w zasadzie to wszystko prawda, reżym jest parszywy, ale ja mam żonę i dziecko na utrzymaniu. Niektórzy mają dodatkowo psa i argumentują, że jeszcze żonie i dziecku wytłumaczyć można brak jedzenia, ale pies tego nie zrozumie. Żywiciele na ogół ostro działali w czasie legalnego istnienia „Solidarności", należeli nawet do ekstremistów domagających się wszystkiego, by potem szybko pogodzić się z niczym za cenę stałej miesięcznej pensji. Są niewolnikami etatów i mają małe, urzędnicze dusze rodem z gogolowskiego *Płaszcza*. W gruncie rzeczy to oni są solą tego reżymu, system stoi ich lękami i zmorami. Jest ich wielu i na ogół nie dostrzegają związku między własną rodziną i społeczeństwem, korelacji między poczuciem odpowiedzialności za bliskich i brakiem odpowiedzialności za naród. Jacek Bukowski, członek „Solidarności", uczestnik strajku w *Sztandarze Młodych* wywalony później z pracy i z partii wyłonił się nagle po sławnych rozgrywkach w łonie Polskiego Związku Katolicko-Społecznego, po zrabowaniu Spółdzielni „Libella" dotychczasowym właścicielom jako naczelny redaktor tygodnika *Ład*, od którego odciąć się musiał nawet Episkopat. Jestem jednak przekonany, że Jacek nie bierze udziału, przynajmniej świadomie, w grze przeciw Kościołowi, nie jest ani wtyczką, ani niczym w tym guście. On po prostu broni ogniska rodzinnego, niespłaconego domku, standardu życia dziecka. Jest żywicielem za wszelką cenę.

GEOPOLITYCY

Geopolitycy są wielkimi patriotami. Kochają tę nieszczęśliwą Polskę miłością pierwszą, łkają po kątach nad jej losem, ale za swój obowiązek pierwszy uważają konieczność obrony substancji narodowej, fizycznego bytu Polaków, zagrożonego z powodu niedogodnego położenia geopolitycznego. Wiedzą, że system jest narzucony, bezsensowny, odrzucany przez cały niemal naród, ale wierzą też, że jakakolwiek próba wyłamania się z szeregu, odzyskania choćby częściowej suwerenności, ba, wewnętrznej demokratyzacji skończyłaby się morzem krwi i rozbiorem. Dlatego ich zdaniem myśleć sobie możemy, co nam się podoba, ale mówić i postępować powinniśmy tak, jakbyśmy byli zachwyceni. Cóż, mrugają znacząco, położenie geopolityczne. Nasłuchują wciąż pilnie, czy ktoś nie nawołuje gdzieś do powstania, buntu, *miatieży*, przy czym każde głośne słowo protestu jest już dla nich aktem politycznego ekstremizmu, narodowej nieodpowiedzialności i czymś w rodzaju zamachu w Sarajewie, który wywoła trzecią wojnę światową. W swej niekonsekwencji bowiem, uważając, iż fizycznie możemy przetrwać tylko przytuleni do stóp sowieckich, szowinistycznie są też przeświadczeni, że Polska jest pępkiem współczesnego świata, o który pobiją się mocarstwa, gdy tylko koszary ZOMO zamienione zostaną na szpitale. Geopolitycy mają jeszcze jedną charakterystyczną cechę – są pewni, że ONI, tam za Bugiem wszystko wiedzą, wszystko podsłuchują, mają na każdego teczkę, są wszechmocni. Dlatego radzą

milczeć, po co ICH denerwować. Czołowym polskim geopolitykiem jest Ryszard Wojna, który już w sierpniu 1980 groził czwartym rozbiorem z pełną zresztą troską. Ale jest ich więcej. Być może, z punktu widzenia medycyny cierpią po prostu na nerwicę.

* * *

Nie sądzę, żebym wyczerpał katalog rzeczywistych, choć nie nominalnych komunistów w Polsce, potocznie i niesłusznie nazywanych kolaborantami. Może, obracając się w dość ograniczonych w końcu kręgach nie poznałem, a może nie rozpoznałem wszystkich. Z wdzięcznością przyjmę każde uzupełnienie.

Jedno jest całkowicie pewne i zarazem napawające otuchą. W Polsce nie istnieje milcząca większość, to kategoria zrodzona w społeczeństwach sytych i znudzonych. Nie ma w Polsce komunistów z obojętności i otępienia.

I nie wygląda na to, by mieli się pojawić. ■

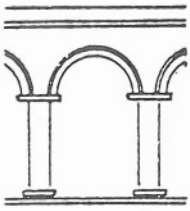

ARKADY

KSIĘGARNIA POLSKA,

KUNST UND -BUCHHANDLUNG

NOWA POLSKA KSIĘGARNIA
W HAMBURGU
SPRZEDAŻ KSIĄŻEK WYDAWNICTW
EMIGRACYJNYCH I KRAJOWYCH,
RÓWNIEŻ ANTYKWARYCZNYCH.
PROWADZIMY SPRZEDAŻ WYSYŁKOWĄ
KSIĘGARNIA POLSKA
„ARKADY"
ALSTERARKADEN 10
2000 HAMBURG 36

Urodzony w 1938 roku. Pierwsze utwory poetyckie – rok 1959. W 1964 podpisuje wraz z innymi apele w obronie ukraińskich intelektualistów i pisarzy represjonowanych przez KGB. Aresztowany wraz z dziesiątkami działaczy ruchu obrońców praw człowieka w 1972 roku. Skazany na 5 lat łagrów i trzy zesłania. Najcięższego – na Kołymę. W łagrze przechodzi ciężką operację – usunięcie 2/3 żołądka. W sierpniu 1979 roku wychodzi na wolność i wraca do Kijowa, gdzie spędza parę miesięcy z żoną i synem. Działa w ukraińskiej grupie helsińskiej. Aresztowany w maju 1980 r., skazany na 10 lat łagrów i 5 lat zsyłki za „antysowiecką agitację i propagandę".

4 września 1985 roku, w łagrze Kuczyno, w obwodzie permskim, zmarł wieloletni więzień Gułagu, Wasyl Stus – poeta.

O niezależnych twórcach ukraińskich chcieliśmy napisać już dawno, jednakże trudno nam było dotrzeć nie tyle nawet do informacji na ich temat, ile do oryginalnych tekstów literackich, które krążą gdzieś podobno po Polsce, dla nas, niestety, (miejmy nadzieję, że na razie) niedostępne. W tym numerze prezentujemy sylwetkę Wasyla Stusa – takiego, jakim widzieli go współtowarzysze jego niedoli – działacze ukraińskiego ruchu narodowo-demokratycznego, więzieni ze Stusem w sowieckich łagrach. Materiał ten powstał w oparciu o wydaną w 1983 roku na Zachodzie, książkę leningradzkiego krytyka, Michała Chejfeca, który „spotkał się" ze Stusem w 1976 roku w jednym z łagrów, w Mordowii. Książka nosi tytuł „Ukraińskie sylwetki".

Nie ma dziś na Ukrainie większego odeń poety

Był poetą. Poetą o szerokich horyzontach, gruntownym wykształceniu historycznym, filozoficznym, literackim, zorientowanym dobrze w literaturze zachodniej. Tłumaczył m. in. Heinego, Goethego i swego ulubionego poetę – Rilkego, a także Kiplinga...

Pseudonim Kipling *(wspomina Michał Chejfec)*

Latem 1976 roku znaleziono u mnie wiersz w języku ukraińskim podpisany dziwnym, jednoznacznie konspiracyjnym nazwiskiem: Kipling. Moje wyjaśnienia, że wzmiankowany Kipling to poeta angielski, a uznany za wywrotowy wiersz, wydany jest w ZSRR w dwóch przekładach (M. Łozińskiego i S. Marszaka), które pokazałem kapitanowi Zinenko, nie zrobiły na nim najmniejszego wrażenia. Kapitan był człowiekiem przenikliwym i czujnym, żadne żydowskie sztuczki Chujfica (tak nazwał mnie za plecami) nie mogły go wprowadzić w błąd.

– Powiadasz, Michajło Ruwimowicz, że ten jakiś Kipling po ukraińsku pisał? A moim zdaniem po ukraińsku pisze Stus...
Pisał rzeczywiście. I to jak!

Poprosiłem kiedyś Stusa, żeby mi dał do przeczytania swoje wiersze – gruby zeszyt z napisem „Palimpsesty".

– Piszę trudnym językiem, Misza. Nie zrozumiesz.

– Będę pytać o każde nieznane mi słowo.

– Weź.

Stus nie kokietował: z językiem miałem problem... Nikołaj Rudenko ukraiński prozaik i poeta (...) w odpowiedzi na moje zachwyty stwierdził:

– Nie wiem, nie wiem. Nie rozumiem wielu wierszy Stusa.

W owym czasie ta odpowiedź Rudenki nie zdziwiła mnie. Znałem już prawdę, którą mi odkrył męczennik Gułagu, nauczyciel z Żytomierza Wasyl Owsijenko:

– Panie Michale, nie może pan sobie wyobrazić, co się dzieje z naszym językiem. Nawet dla nauczyciela opanowanie w pełni literackiego ukraińskiego języka to wyczyn BOHATERSKI!

A poetycki język Stusa jest znacznie bogatszy niż ten zawarty w słowniku. Niech mi wybaczą Ukraińcy, ale w zonie odnosiłem wrażenie, że tylko nieliczni rozumieją, jak wielkiej miary poeta żyje wśród nas...

Jestem przekonany, że dzisiejsze pokolenie Ukraińców przejdzie do historii opromienione nazwiskiem Stusa.

Plonem pierwszych paru lat pobytu w łagrze było ponad 600 wierszy – połowa oryginalnych, pozostałe to przekłady. Przez dłuższy czas władze zostawiały Stusa w spokoju – w wierszach nie było niczego „politycznego", potem jednak zaczęły się konfiskaty i „zachachmęcanie" przy kipiszach. Brano wiersze do sprawdzenia i nie oddawano. Krążyły już jednak w odpisach, były przerzucane na Zachód, gdzie je wydawano.

Nie ciągnie mnie do działalności społecznej, do polityki, ale cóż począć, jeżeli dookoła ciągle znęcają się nad przyzwoitymi ludźmi.

(Wasyl Stus)

Wspomina Sławko Czornowoł:

Po ukraińskim „pokosie" 1965 r., działacze kijowskiego ruchu w obronie praw człowieka postanowili publicznie zaprotestować przeciwko aresztowaniu swych kolegów. Miało to miejsce podczas pokazu jakiegoś filmu, zorganizowanego dla elity artystycznej. Ku przerażeniu władz „od kultury" nieoczekiwanie z protestem przeciwko represjom wystąpił najpierw Iwan Dziuba, potem ja..., a potem z miejsca zerwał się Stus. Jego wystąpienia wcale nie przewidywaliśmy. Ale znamy przecież Wasyla. Zerwał się i zawołał:

– Zwracam się nie do Ukraińców, ale do znajdujących się w tej sali przedstawicieli innych narodowości – do Rosjan, do Żydów. Wczoraj aresztowano Ukraińców – jutro przyjdzie wasza kolej. Tego uczy nas wszystkich doświadczenie historyczne. Dlatego apeluję, abyście przyłączyli się do naszych protestów – broniąc represjonowanych dziś Ukraińców wystąpicie nie tylko w obronie prawdy, ale także w obronie waszego jutra, waszej wolności. W imieniu Ukraińców obiecuję, jeśli jutro nasi kaci rzucą się na was, staniemy do walki razem z wami, tak jak dzisiaj walczymy o wolność naszych braci. Uczciwi ludzie wszystkich narodowości, żyjący wspólnie na ukraińskiej ziemi powinni zjednoczyć się w walce o swych męczenników.

Trzymając się za ręce Dziuba, Stus i ja wybiegliśmy z sali. Mimo przekonania, że w każdej chwili spodziewać się możemy aresztowania, byliśmy szczęśliwi. Nie da się wyrazić, jak bardzo szczęśliwi...

Oto jakim politykiem był poeta Wasyl Stus.

A był Wasyl nad podziw urodziwy...

(wspomina Michał Chejfec)

Pewnego dnia siedzieliśmy ze Stusem na ganeczku baraku i oglądaliśmy zdjęcia swoich bliskich. Wasylowi spodobała się moja „staruszka", 8-letnia Natasza i żartem zaczął z nią swatać swego syna, Mytrika.

– Nic z tego nie będzie, Wasyl, Natasza ma już przyjaciela – kolega z ławki, niejaki Bajbuzenko.

– O jakim Bajbuzenko może być mowa, jeśli nadarza się poślubić chłopca o nazwisku Stus...

Długo wpatrywał się w panieńska fotografię mojej żony, potem odłożył ją na bok nie mówiąc ani słowa. (Dopiero w dwa lata później pisząc z zesłania do mojej żony stwierdził: „Pani jest podobna do mojej żony" – największy komplement w jego ustach). Ja z kolei oglądałem zdjęcie malutkiego Dymitra i Walentyny Popieluch-Stus, a Wasyl opowiadał:

– Kiedy pierwszy raz przyjechała tu na widzenie i zobaczyła wieże strażnicze, druty, kraty

w oknach, szeptała w kółko dwa słowa: to sen, to tylko sen!

– Jakże szczęśliwa jest twoja żona...

Wasyl westchnął i zaczął zaprzeczać. Okazuje się, że i jego, jak każdego męczyła wątpliwość, czy żona będzie na niego czekać te 8 lat?

– Niczego nie rozumiesz – wybuchnąłem. – Otrzymała najwspanialszy prezent – twoje wiersze! To przecież dla niej „dozwol meni sjohodni". Czy naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, że dałeś jej nieśmiertelność. A wyobraź sobie tych mężczyzn, zwyczajnych mężczyzn na wolności – ordynarnych, popijających, tchórzliwych wobec silniejszego, bezczelnych wobec słabszych od siebie. Oto jej otoczenie. A gdzieś tam jesteś ty – choć daleko, ale jesteś. Ty i twoje wiersze, takie wiersze!

– Dałby Bóg, żebyś miał rację – powiedział cicho, niemal szeptem. – Została ze mnie sama skóra i kości...

A był Wasyl nad podziw urodziwy, wysoki, zgrabny. Męski...

Obraz poety *(wspomina Michał Chejfec)*

Stus nie miał nic w sobie z typowego obrazu poety, zakochanego we własnej twórczości, zawistnego o sukcesy kolegów po piórze. Już będąc na zesłaniu dostałem od niego pełen radości list.

– Na Ałtaju pisze wiersze Iwan Świetlicznyj (poeta, jeden z działaczy ruchu w obronie praw człowieka na Ukrainie – przyp.tłum.).

Misza, na Ukrainie pojawił się prawdziwy poeta!

Z szacunkiem cytował mi Wasyl nowe wiersze Wingranowskiego (poeta ukraiński, równieśnik Wozniesieńskiego i Jewtuszenki, który w pewnym momencie tak jak ten ostatni, zaprzedał się służbie oficjalnej, zniewolonej poezji), a przecież podczas gdy ten spijał miody z kremlowskiego stołu, Wasyl siorbał postną łagrową zupkę.

O Iwanie Dziubie wyrażał się, że jest to wielki talent w dziedzinie literaturoznawstwa, a mówił to już po zdradzie Dziuby, po jego wyrzeczeniu się przyjaciół, współtowarzyszy walki. Za cenę tej zdrady Dziuba kupił sobie wolność, a Stus, który popełnił sto razy mniej „naruszeń", sowieckiego prawa, poszedł na 8 lat na katorgę i Kołymę. Zdawałoby się, że kto jak kto, ale Stus ma pełne moralne prawo napiętnować zdrajcę, lecz przy mnie Wasyl nigdy nie powiedział o Dziubie złego słowa... (...)

Z drugiej strony Wasyl był bezwzględny w ocenach nawet wobec bliskich sobie ludzi, jeśli ich praca nie była na miarę ich możliwości. Ostro skrytykował np. książkę Czornowoła, pisaną przezeń pospiesznie, w oczekiwaniu na wizytę KGB.

– Rzecz musi być zrobiona na największym poziomie możliwości autora, w jakich okolicznościach tworzył, to już jego prywatna sprawa, nie mająca nic wspólnego z twórczością i sztuką.

Pewnego dnia Stus pokazał mi tomik wierszy Rilkego, w ukraińskim przekładzie Mykoły Bażana. Muszę się przyznać do pewnej słabości: mam silne uprzedzenie do tych spośród ukraińskich pisarzy, którzy zasłużyli sobie na uznanie Kremla. Dlatego też nazwiska rozsławionych na cały kraj Tyczyny, Rylskiego, Bażana, Rybaka i innych wywoływały we mnie trwałe uczucie niechęci.

Kiedy Stus pokazał mi Bażanowskie przekłady Rilkiego, automatycznie zacząłem je krytykować. Wasyl zaoponował:

– Wszystko to racja, ale to są błędy oryginału. Bażan pozostał wierny autorowi, włączając jego błędy.

I Wasyl zaczyna fachowo tłumaczyć, na czym to polega. Zabrakło mi argumentów i przyznałem, że jestem jakby aprioryczne niesprawiedliwy wobec laureatów kremlowskich nagród.

– Zorian Popadiuk i Wasyl Owsijenko (współwięźniowie, działacze narodowego ruchu ukraińskiego) nieco już zachwiali tę moją niechęć – przyznałem się w końcu. Zorian na przykład pokazał mi przekład „Jeźdźca Miedzianego" – byłem zdumiony tym, jak wiernie zdołał Rylski oddać puszkinowskie strofy.

– Rylski to poeta średniej miary, ale tłumaczem jest wybitnym – powiedział Stus. – A co Popadiuk mówił ci o Tyczynie?

– Zapewniał, że ten Tyczyna, którego znam ze szkoły i ze studiów to zrogowaciała otoczka poety, który dawno już przestał istnieć. Ale jakoby w początkach – nie zrozumiałem, czy to przed rewolucją, czy w pierwszych latach po niej – Tyczyna pisał znakomite wiersze.

Ostatnie słowa powiedziałem tonem przepraszającym, gotowy do natychmiastowego ich cofnięcia, jeśli zostaną zaatakowane... I zostałem zaatakowany, ale z niespodziewanej strony.

– Tyczyna to genialny poeta! – głos Stusa dźwięczał jak na wiecu. – W ukraińskiej poezji nie znajdziesz mistrza równego mu pod względem wyczucia melodyki wiersza. Tyczyna odkrył nowe harmonie języka poetyckiego. Takich poetów można policzyć w historii każdego narodu na palcach jednej ręki.

Wasyl zamilkł, zamyślił się, ja też się nie odzywałem, wreszcie zapytał cicho zupełnie innym tonem:

– Nie wiedziałeś, że wsadzono mnie za Tyczynę?

Sprawa miała się tak: Pewien facet, nazwiskiem bodajże Dobosz, mieszkający gdzieś w Beneluksie, przyjechał jako turysta na Ukrainę, gdzie

miał na polecenie pewnej emigracyjnej, ukraińskiej organizacji nawiązać kontakt z czołowymi działaczami ruchu narodowo-demokratycznego. Dobosza zatrzymano. Akt oskarżenia zarzucał mu spotkania z elementami antysowieckimi, zbieranie oszczerczych informacji mających na celu poderwanie i osłabienie ustroju ZSRR i temu podobne, typowe dżentelmeńskie zarzuty, w jakie wyposażony jest każdy więzień polityczny. Gdyby wszystko powyższe okazało się prawdą, Dobosz powinien dostać przynajmniej 7-10 lat łagru, albo i 15 jako kurier zagraniczny. Ale śledczy, czy kto tam, okazał się tak wspaniałomyślny i humanitarny, że uwierzywszy w szczerą skruchę kuriera złapanego rzekomo z dowodami rzeczowymi w postaci dokumentów, mikrofilmów itp. pozwolił mu wyjechać do ojczyzny, to znaczy do obczyzny. Dla kogoś choćby pobieżnie obeznanego z metodami KGB wszystko to było kompletną bzdurą.

– Istotnie na Ukrainie był taki ruch – mówił Stus. Nazywano nas ukrainofilami. Nie znoszę tego słowa. Dlaczego Ukraińcy to ukrainofile? We Francji nie ma frankofilów, w Anglii anglofilów, tylko wśród Słowian pojawili się rusofile. No a ten facet, ten Dobosz, jeśli wierzyć aktowi oskarżenia, miał się z nami spotykać. A ja przed aresztowaniem nawet o nim nie słyszałem. Nikt ze znaczących działaczy ruchu, poza Swietlicznym, na oczy go nie widział – ani Dziuba, ani Sławko Czornowoł, ani Świerstiuk, czy Irena Kaliniec. Ze Swietlicznym zaś „kurier" nie prowadził żadnych konkretnych rozmów. Ot, zwykłe sobie pogawędki o zagadnieniach narodowo-dysydenckich, prowadzone na świeżym powietrzu, jak to czynią niemal wszyscy dzisiejsi inteligenci średniego pokolenia.

– Ale w oskarżeniu stwierdzono, że Dobosz został zatrzymany na granicy z tajnymi materiałami.

– W chwili zatrzymania miał przy sobie „Słownik rymów ukraińskich" Swiatosława Karawajewskiego (jeden z patriarchów obecnego pokolenia polizeków Mordowii, ukraiński naukowiec i pisarz. Przesiedział w łagrach Gułagu w sumie ponad 30 lat). Dlatego też wypuszczono go przed procesem – na co by się komu przydał z takimi dowodami rzeczowymi. W każdym wypadku by go wypuścili – jego działania nie miały żadnych cech przestępstwa, nawet według norm KGB, ale facet znalazłszy się w celi spietrał się i zaczął mówić wszystko, czego potrzebowali; przede wszystkim wymienił nazwiska osób, z którymi p o r a d z o n o mu się skontaktować. Gdyby milczał, gebiści nigdy by się o tym nie dowiedzieli i szybko by go wypuścili, lecz on jak wielu innych głupców, myślał, że KGB wie wszystko i wymienił wszystkich: Dziubę, Czornowoła, Swierstiuka, Kalińców i mnie... Po czym wypisano nakazy rewizji.

(Zebrali całą śmietankę naszego ruchu – mówił mi później Sławko Czornowoł – Cóż, odnieśli tu sukces! Gebiści podczas śledztwa oświadczyli mi wprost: ruch narodowy będzie trwać, ale zabezpieczyliśmy sobie spokój na jakieś 10 lat. Omylili się!)

Głównym dowodem winy znalezionym podczas rewizji u Stusa były dwa dokumenty: dopiero co zakończony, przez nikogo praktycznie jeszcze nie czytany esej o twórczości Pawła Tyczyny oraz świstek papieru z nabazgranym czterowierszem, o którym Wasyl tak opowiadał:

– Wiesz, jak to bywa, wpadnie ci coś do głowy, jakaś myśl, pomysł, zanotujesz to na pierwszym lepszym karteluszku, a potem o nim zapomnisz – na nic się nie przydał, albo w ogóle zmieniłeś kierunek myślenia. Miałem tego zapewne setki. Absolutnie nie pamiętałem, co na którym jest zanotowane, a tu nagle gebiści wyciągają karteczkę, czytają i pojąłem: więzienie! Co to za wierszyk?

> Klika bandytów – kagebistów
> zbirów i rozbójników
> (...)
> jako partia bolszewików...

– A czemu w uzasadnieniu wyroku nie ma o tym ani słowa?

– Nie ma, za to jeden z zarzutów mówił, że „przebywając w Domu Wczasowym – oskarżony Stus W. S. opowiedział świadkowi... dowcip o Założycielu Komunistycznej Partii i Państwa Radzieckiego" – tak właśnie z dużych liter, ale bez imienia i nazwiska, jak to było w zwyczaju w carskich kancelariach przed rokiem 1885.

– Nie mogli mi wlepić „rozpowszechniania", bo nikt tego wierszyka nie widział, nawet moja żona. Sam o nim zapomniałem. Tych parę linijek wystarczyło za podstawę zatrzymania, ale do wyroku potrzebny jest motyw propagandy. Oparli wyrok w głównej mierze na eseju o Tyczynie.

Stus zajął się jego wczesnymi wierszami, przeanalizował drogę tego niezawodnie wielkiego talentu, o słabym niestety charakterze, tego „kruchego instrumentu" stworzonego do „dźwięków słodkich", a nie do walki ze śledczymi i hersztami bandy w gułagowskiej rzeźni. Drogę, która doprowadziła pewnego dnia poetę do pytania: „Czy nie nadeszła już pora, aby ucałować but Ojca?" I pocałował. W nagrodę otrzymał wszystko, co należy. Został Ludowym Poetą Ukrainy, profesorem, laureatem... Ale oduczył się pisania wierszy. Stus twierdzi: „Produkcja Tyczyny po przełomie, nawet pod względem ilości stanowi mniej więcej jedną piątą tego, co napisał wcześniej, a już o jakości nie ma co mówić. Jakby nigdy nie był poetą. Jakby urodził się jak jakiś Dołmatowski czy

Dmiterko i stopniowo wszyscy zapomnieli, że był kiedyś na świecie poeta..."
Stus postanowił wskrzesić go dla Ukrainy...

Epilog

Po trzech latach łagru stan zdrowia Stusa cierpiącego na chorobą wrzodową bardzo się pogorszył. Opowiada o tym Borys Penson, malarz, który po odsiadce w Trojce (numer podobozu) wspólnie ze Stusem i Czornowołem (ukraiński publicysta, wybitny działacz w obronie praw człowieka, zwany zekowskim generałem) opracował „Kronikę życia obozowego", wydaną w 1975 r. w Paryżu i Jerozolimie.

– Stus dostał krwotoku 2 sierpnia. Pamiętam tę datę, ponieważ tego dnia transmitowano przez radio uroczystości podpisania w Helsinkach aktu 30 państw Europy o Prawach Człowieka. Wyobrażasz sobie tę scenę: z głośników dobiega patetyczny baryton Lewitana (słynny moskiewski spiker radiowy) ...*w całej pełni przestrzegać praw człowieka*..., a w środku naszego baraku pada na podłogę zalany krwią Stus. Co się stało? Widzimy tylko, że dookoła pełno krwi i Wasyl umiera... Bardzośmy się wystraszyli. Rzuciłem się na wartownię, przycisnąłem nadzorców. Ment zadzwonił na osiedle, a tu akurat wypadła niedziela, nikogo nie ma, wszyscy hulają. Długo szukali lekarza, wreszcie ktoś z tamtej strony obiecał: „znajdę". Po godzinie pojawił się lekarz, na dużej, rzecz jasna, bani. Po następnej godzinie już sam szukał naczelnika, żeby otrzymać zezwolenie na przewiezienie Stusa do szpitala. A przez następną godzinę wraz z naczelnikiem usiłował rozwiązać problem transportu – w niedzielę o to trudno – suki nie jeżdżą. Ale lekarz znalazł się jak trzeba, jak mógł walczył o Wasyla. Wreszcie, po trzech godzinach pojawił się transport – z sąsiedniej zony, gdzie siedzieli przestępcy pospolici, przypędzono dwóch zeków z noszami, zakładano na nie nieprzytomnego Stusa, otoczono konwojem, złożonym z czterech ochraniaczy uzbrojonych w automaty, nadzorcy oraz dwóch psów i przeniesiono Wasyla do odległego o 300 metrów szpitala. Później dowiedzieliśmy się, że do rana i tak nikt się nim nie zajął. Ale nie powiem złego słowa o lekarzach – krwotok zatamowali, a naczelny chirurg sam mi się chwalił: wyciągnąłem Stusa z kostnicy.

Po pewnym czasie lekarze doszli do wniosku, że uratować Stusa może tylko operacja niemożliwa do przeprowadzenia na miejscu. Wysłano go więc do Leningradu, do centralnego szpitala MWD (radzieckie MSW).

– W Leningradzie przyzwoicie mnie podleczono – mówi Stus – i w ogóle bardzo dobrze się do mnie odnoszono. Kiedy miałem wysłać list do domu, przyszedł do mnie dyrektor i mówi:

Bardzo przepraszam, ale nie znam ukraińskiego i nie mogę przeczytać tego listu. Zgodnie z regulaminem powinienem wysłać go na Ukrainę, otrzymać przekład, sprawdzić i dopiero po tym wszystkim wysłać do pańskiej rodziny. To strasznie długo trwa. Załatwmy to jak przyzwoici ludzie: pan mi sam list przetłumaczy na rosyjski, a ja go zaparafuję i wyślę...

Tak też zrobiliśmy. I na etap do Moskwy wypisał mi dietę. A od Moskwy – to już normalnie – słone śledzie.

Stus miał ogromne poczucie godności, był prostolinijny, nie umiał i nie chciał kręcić i oszukiwać, nie był zdolny do prowadzenia jakiejkolwiek gry z gebistami. Nawet jeśli chodziło o własne zdrowie, czy nawet życie, przeciwstawiał im jedynie szaleńczą odwagę i miażdżył wprost pogardą bijącą z rzucanych prosto w twarz gniewnych słów prawdy.

– Wiadomo, że z gebecją nie rozmawiam – mówi Stus – ale po tym krwotoku wydawało im się, że chory, osłabiony, ulegnę. Po drodze do Leningradu przywieziono mnie do Kijowa, pozwolono napisać do domu: żona wystąpiła o widzenie. Matka, staruszka 80-letnia, specjalnie przyjechała z Doniecka. Ale nie dali... Żona z synkiem całą noc chodziła wokół więzienia, mówiąc – „Patrz Mytrik, tam jest tata". Nie dali widzenia łobuzy, chociaż prawnie mi się należało. Może dlatego, że przedtem gebiści zaprosili mnie na rozmowę, a ja im przez naczelnika więzienia mówię: „Czyżby nie przekazano wam z Mordowii, że z gebecją nie rozmawiam? Sprawa jest zakończona. Przeszedłem z gestii KGB do MWD, dokumenty służbowe znajdują się w waszym archiwum, a prywatnych rozmówek z wami nie zwykłem prowadzić".

Wzywają mnie do gabinetu naczelnika, siedzą tam gebiści i prokurator. Prokurator pyta:

– Czy ze mną będzie pan rozmawiać?

– Z panem będę.

– Proszę mi wyjaśnić nieoficjalnie, dlaczego pan odmawia rozmowy z funkcjonariuszami organów?

– Człowiek – wyjaśniam – nie ma obowiązku prowadzenia rozmowy ze swoimi oprawcami.

– Wyprowadzić Stusa.

I nie dano mi widzenia...

W jakiś czas po powrocie z operacji administracja i stojące za nią KGB postanowili „nawiązać kontakt" ze Stusem i przyznać mu inwalidztwo. Decyduje o tym komisja w szpitalu. Oczywiście nie medycyna, lecz naczalstwo i jeśli nie zechce ono przyznać inwalidztwa nawet człowiekowi, który w ogóle nie ma już żołądka, to nie przyzna i żaden lekarz nic tu nie pomoże.

Stusowi postanowiono jednak inwalidztwo przyznać, zrobić taki gest dobrej woli, a mówiąc

po prostu sprzedać to, co teoretycznie i tak obowiązani są dać człowiekowi zgodnie z przepisami. To ich zwykła taktyka. Ale Stus zepsuł im tę grę. Tajna instrukcja MWD zabrania więźniom politycznym czytania w szpitalu – nie wolno tam mieć książek, ani gazet, ale więźniowie jakoś sobie z tym radzili, głównie w ten sposób, że odmawiali udania się do szpitala bez książki. Ponieważ decyzję o hospitalizacji wydawało KGB, czyli zwierzchność łagrowej komendantury, to niewykonanie tego polecenia było dla tej ostatniej kłopotliwe, a stosowanie przemocy wywoływało dodatkowe komplikacje. Dlatego też w zonie 3, gdzie poprzednio przebywał Stus, naczalstwo patrzyło na te „książkowe praktyki" przez palce. Tak więc i teraz Stus chciał zabrać ze sobą do szpitala książkę. Trafił jednak na wyjątkową kanalię – kapitana Aleksandra Zinienko. Gdy Wasyl odmówił oddania książki, kapitan kazał mu ją zabrać siłą, a jego samego zakuć w kajdanki i przemocą wsadzić do „szklanki" – żelaznego boksu o wymiarach 60 na 60 cm i odstawić do szpitala. Po przybyciu do szpitala rozwścieczony Stus napisał skargę, w której określił postępowanie Zinienki jako faszystowskie i na znak protestu zrzekł się radzieckiego obywatelstwa.

Po dwóch tygodniach Wasyl powrócił do zony jako oficjalnie uznany inwalida (maszynka biurokratyczna raz puszczona w ruch kręciła się niezależnie od okoliczności). Kapitan Zinienko natychmiast zaaplikował mu 2 tygodnie karceru (gołe dechy, żadnej pościeli czy koca, z ubrania tylko krótkie majtki i bluza, miska zupy co drugi dzień, w pozostałe 400 gramów chleba i woda). A noce były owego lata w Mordowii bardzo zimne...

W proteście przeciwko tej niesłychanej represji, jakiej poddano chorego człowieka, cały obóz ogłosił głodówkę.

W rok później – pisze Chejfec – znalazłem się w tym samym karcerze. Na drewnianej listwie ciągnącej się wzdłuż ściany znalazłem parę słów naskrobanych przemyconym ogryzkiem ołówka. Poznałem charakterystyczny „stusowski" drobny charakter pisma: DIAKUJU, HOSPODY.

wybrał i przetłumaczył Olgierd Kalisz
opracował Krzysztof
grudzień '85

(Za: *Tu Teraz* nr 42)

Czytelników zminiaturyzowanych wydań „Poglądu" przepraszamy za złą jakość reprodukowanych zdjęć.

Utrzymanie jakości zbliżonej do normalnego wydania naszego dwutygodnika wymagałoby dużych nakładów finansowych, na które pozwolić sobie nie możemy.

UNH –

United
Human
Organisation
–bep–
Verlag AG

UWAGA!

Wyjątkowo atrakcyjna oferta dla wszystkich myślących o usamodzielnieniu się!

Dynamiczna firma międzynarodowa wiodąca na rynku w branży: esoteryka, parapsychologia i menagement, poszukuje jeszcze kilku partnerów z dużą inwencją twórczą. Informacje odnośnie szczegółów uzyskacie Państwo pod adresem:

UNH–bep–Verlag AG,
z.H. Arkadiusz Kazimierczyk,
Thurgauerstr. 40
CH-8050 Zürich
tel. biuro: (01) 302 16 26
tel. prywatny: (054) 65 21 38

albo pod poniżej podanymi adresami:

Niemcy Zachodnie
UNH – GmbH
CP – Tower
Hamburger Allee 2-10
D-6000 Frankfurt/Mein 90
tel: (069) 77 30 42

Austria
UNH–bep–Verlag
Ernst König
Fernkursleiter
Schörghof 332
A-3311 Zeillern
tel. (07472) 6 13 71

Wielka Brytania
–pep–publications Ltd.
46/47 Pall Mall
London, SW 195 JG
England

RZĄD RFN WYDALA LIBIJSKICH DYPLOMATÓW

Rząd RFN – jak podaje *Sueddeutsche Zeitung* – nakazał w dniu 9 kwietnia wydalenie z Zachodnich Niemiec dwóch dyplomatów libijskiego „Biura Ludowego" (tj. ambasady) z powodu działalności niezgodnej ze statusem dyplomatycznym. Rzecznik rządu Ost oświadczył, że nakaz wydalenia nie ma bezpośredniego związku z zamachem bombowym na berlińską dyskotekę „La Belle". Istnieją poszlaki, nie ma jednakże niezbitych dowodów, że w sprawę zamachu zamieszani są Libijczycy – powiedział Ost.

AFGANISTAN: CIĘŻKIE WALKI NA POŁUDNIU

Zachodni dyplomaci w stolicy Pakistanu Islamabadzie potwierdzili meldunki afgańskich partyzantów o ciężkich walkach z sowieckimi oddziałami i wojskami rządowymi w prowincji Paktiar w południowej części Afganistanu. Celem wiosennej ofensywy wojsk sowieckich jest opanowanie dróg wzdłuż granicy afgańsko-pakistańskiej. Sowieckie oddziały wzmocnione czołgami i wspomagane z powietrza usiłują nie dopuścić ugrupowań partyzantów wracających z zimowisk w Pakistanie do przejścia w głąb kraju. W Islamabadzie podano, że straty obu stron wynoszą co najmniej po 100 zabitych oraz dużo więcej rannych.

Opierając się na doniesieniach zachodnich dyplomatów niemiecka agencja prasowa (9/10. 04) podaje, że w szpitalach w Kabulu znaleźli się ludzie poparzeni fosforem. Przypuszcza się, że są to skutki stosowania przez Sowietów gazów bojowych i środków chemicznych. Według zachodnich dyplomatów na początku kwietnia wielokrotnie słychać było w Kabulu silne detonacje oraz strzelaninę.

Odnotować należy, iż niektóre niemieckie dzienniki przekazując doniesienia z Afganistanu coraz częściej posługują się „oficjalnym" językiem: tak np. konserwatywno-liberalny *Tagesspiegel* (9. 04.) z Berlina nazywa partyzantów afgańskich „rebeliantami" lub „wrogimi rządowi *guerilleros*". Słownictwo to przeniknęło nawet na łamy konserwatywnego dziennika *Neue Zuercher Zeitung*, który jednak afgańskich „rebeliantów" nazywa również „bojownikami ruchu oporu".

„PRAWDA" PO NIEMIECKU

W dniu 11 kwietnia w kioskach Republiki Federalnej Niemiec, Austrii i Szwajcarii pojawiło się pierwsze w historii niemieckie wydanie *Prawdy*. Wydrukowano 300 tys. egzemplarzy *Prawdy* z dnia 18 marca 1986. Cena pojedynczego egzemplarza gazety wynosiła DM 4. Wydawcami niemieckiego wydania *Prawdy* są apolityczni dziennikarze francuscy, którzy liczą na zrobienie dobrego interesu.

Przed kilkoma miesiącami ukazało się w Paryżu w nakładzie kilkuset tysięcy egzemplarzy francuskie wydanie *Prawdy*, a we Włoszech – włoskie. Według opinii komentatora wychodzącego w Paryżu tygodnika rosyjskiego *Russkaja Mysl* konfrontacja z sowiecką propagandą poprzez lekturę *Prawdy* wywołała u Francuzów prawdziwy szok. Pojawienie się *Prawdy* w RFN nie było dla prasy niemieckiej wydarzeniem politycznym, a raczej wydawniczym ewenementem.

OŚWIADCZENIE WALDHEIMA ODNOŚNIE UDZIAŁU W PRZESTĘPSTWACH WOJENNYCH

Były sekretarz generalny ONZ Kurt Waldheim zwrócił się do swojego następcy Pereza de Cuelara z 13-stronicowym memorandum. Wyjaśnia w nim, że od kwietnia 1942 roku do końca wojny służył jako oficer sztabu i tłumacz Wehrmachtu w Jugosławii i Grecji, w jednostce, która nie brała udziału w walkach. Waldheim oświadczył, że oskarżanie go o udział w przestępstwach wojennych dokonanych przez owe jednostki wynika z niezrozumienia jego stanowiska i zadań, które podaje się w dokumentach Wehrmachtu. Waldheim pisze, że jego zadaniem było utrzymywanie łączności z wojskami włoskimi. Znajdował się on w odległości 320 kilometrów od swojej jednostki, kiedy ta w lipcu 1942 roku podjęła walki z partyzantami jugosłowiańskimi w rejonie gór Kozara. Podczas pacyfikacyjnej akcji wojsk niemieckich na Kozarze zginęło 3,5 tys. członków jugosławiańskiego ruchu oporu. Waldheim oświadczył ponadto – podaje *Washington Post* (9. 04) – że był już ewakuowany w momencie, gdy wojska niemieckie w dniu 20 października 1944 roku pacyfikowały jugosłowiańskie wsie w rejonie miejscowości Stip i Kocane i nie miał z tymi akcjami nic wspólnego.

Tymczasem Josef Lovinger, przewodniczący Centralnej Rady Żydów w Grecji nazwał Waldheima „zwykłym kłamcą", bowiem – jak stwierdził – nie odpowiada prawdzie, jakoby Waldheim nic nie wiedział o deportacji Żydów z Saloniki i nie miał z tą akcją nic wspólnego. Według Lovingera Waldheim od marca 1942 do grudnia 1944 roku odbywał służbę w różnych jednostkach w Grecji jako oficer zwiadu.

RFN: DZIAŁALNOŚĆ NA EMIGRACJI NIE UPRAWNIA DO AZYLU

Uchodźca występujący o azyl w Republice Federalnej Niemiec nie ma podstaw do uznania swoich roszczeń, o ile opiera je na działalności politycznej w Niemczech mającej na celu spowodowanie wobec niego w wypadku powrotu do własnego kraju represji ze strony władz. Z tego powodu Trybunał Administracyjny kraju związkowego Badenia-Wirtembergia w Mannheim oddalił wniosek azylowy obywatela tureckiego narodowości kurdyjskiej, który, dopiero po złożeniu drugiego wniosku o azyl, zaangażował się politycznie w działalność lewicowych organizacji kurdyjskich w RFN – pisze *Sueddeutsche Zeitung* i berliński dziennik *TAZ* (11. 04). Niemieckie prawo azylu stanowi, że uchodźca wnioskujący o azyl nie może być wydalony z Republiki Federalnej Niemiec, o ile w kraju pochodzenia spotkałyby go prześladowania za podjętą tutaj działalność polityczną. W tym przypadku jednak sędziowie ustosunkowali się negatywnie do tzw. „Nachfluchtgrunde" tj. przyczyn emigracji politycznej zaistniałych już po opuszczeniu kraju pochodzenia. Uznano, że działalność 37-letniego Kurda była fingowana, a jej rzeczywistym celem było otrzymanie inaczej nieosiągalnego prawa pobytu w RFN (nr akt 13S181/85).

KADAFI I CHIŃSKA BOMBA ATOMOWA

Zachodni politycy prowadzący rozmowy z przywódcami Chin zostali poinformowani, że „rewolucyjny przywódca" Libii Kadafi chciał w połowie lat 70-tych zakupić u Chińczyków bombę atomową, podaje *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (12. 04). Szef libijskiej delegacji i zastępca Kadafiego major Dżallud zaproponował wówczas Chińczykom dokonanie odpowiedniej transakcji w trybie natychmiastowym. Rząd chiński odrzucił libijską „ofertę".

WYBUCH WŚCIEKŁOŚCI SOWIECKIEGO SEKRETARZA

Podczas spotkania delegacji Bundestagu pod kierownictwem polityka SPD Bahra z przedstawicielami Kremla sekretarz Komitetu Centralnego Zimiatin wpadł w „choleryczny atak" wściekłości zarzucając Waszyngtonowi „bandytyzm", pisze berliński dziennik *Tagesspiegel* (12. 04). Doszło do ostrej wymiany zdań między obu stronami. Bahr podczas przyjęcia na Kremlu powiedział: „Od lat nie spotkałem się z podobnym tonem". Inni uczestnicy delegacji oświadczyli, że naruszony został duch niemiecko-sowieckiego układu moskiewskiego.

Deputowany do Bundestagu Verheugen (SPD) oświadczył, że obecnie strona sowiecka nie ceni Niemców jako partnera politycznego tak wysoko jak kiedyś, zaś ekspert od spraw rozbrojenia Todenhoeffer (CDU) określił dwudniowe rozmowy jako „pożyteczne i konstruktywne". Przyczyniły się one bowiem do wyjaśnienia nieporozumień. Nadmienić należy, że Egon Bahr, jest ekspertem socjaldemokratów od spraw rozbrojenia. Wielokrotnie popierał on sowieckie propozycje odnośnie rozbrojenia czy też utworzenia stref bezatomowych. Wybuch wściekłości Zimiatina wobec prosowieckiego polityka z Zachodu jest dobitnym przykładem sowieckiej „arogancji siły", którą politycy SPD zarzucają jedynie USA.

JUGOSŁAWIA: WYROK NA KSIĘDZA KATOLICKIEGO

Sąd w miejscowości Bania Luka (Bośnia) skazał katolickiego księdza Filipa Lukendę na 4 lata więzienia za „podsycanie religijnej i narodowej nienawiści". Już w latach ubiegłych władze zarzucały księdzu namawianie mieszkających w Bośni i Hercegowinie Chorwatów do uzasadniania wniosków o emigrację prześladowaniami religijnymi ze strony Serbów i muzułmanów.

ZSSR: ARESZT ZA ODMOWĘ SŁUŻBY WOJSKOWEJ

Neue Zuercher Zeitung (13/14. 04) podaje, że władze sowieckie aresztowały Serafima Jewszczukowa, który odmówił podjęcia służby wojskowej. Siostra aresztowanego, która poinformowała prasę zachodnią przypuszcza, że proces Jewszczukowa odbędzie się za dwa lub trzy miesiące. Jewszczukow już poprzednio za odmowę służby wojskowej przebywał od maja 1980 do listopada 1982 w obozie pracy.

WŁOSKA PARTIA KOMUNISTYCZNA PARTIĄ REFORM

W dniu 13 kwietnia zakończył się we Florencji XVII nadzwyczajny zjazd Włoskiej Partii Komunistycznej, który potwierdził rewizjonistyczny kurs sekretarza generalnego Natty. Uczestnicy zjazdu negatywnie ustosunkowali się do dogmatycznego komunizmu, propagowanego przez prosowiecką grupę pod przewodnictwem Cossutty. Głównym tematem przemówienia sekretarza generalnego Natty na zakończenie zjazdu była sprawa „zmian", dzięki którym Partito Comunista powinna stać się „partią reform" i wejść w sojusz z wszystkimi siłami postępowymi. Lewicowo-socjalistyczna strategia Natty – pisze *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (14. 04) – nie spotkała się prawie z żadną krytyką. Stwierdzenie Natty, że Wł.P.K. należy „do europejskiej lewicy", jak inne socjalistyczne i socjaldemokratyczne partie Europy Zachodniej, zostało uzupełnione wypowiedzią szefa moskiewskiej delegacji Zajkowa, który oświadczył, że również sowiecka KPZS należy do europejskiej lewicy.

BRANDT W RPA

Z trzydniową wizytą do Republiki Południowej Afryki przybył na czele delegacji niemieckich socjaldemokratów przewodniczący SPD Willy Brandt. W pierwszym dniu pobytu spotkał się on z Winnie Mandelą, żoną więzionego od lat przywódcy ludności murzyńskiej Nelsona Mandeli.

Przeciwko wizycie Brandta w RPA – podaje *Sueddeutsche Zeitung* (16. 04) – demonstrowała na lotnisku grupa Południowoafrykańczyków pochodzących z Prus Wschodnich i Śląska. Na transparentach widniały napisy: „Wynoś się świnio" i „Powiesić".

* * *

Berliński *Tagesspiegel* (19. 04) szerzej przedstawia wizytę Brandta w RPA. Do RPA przybył on w drodze na konferencję Międzynarodówki Socjalistycznej w Beczuanie. Do władz RPA Brandt wystąpił z prośbą o umożliwienie – w drodze powrotnej – spotkania z Nelsonem Mandelą w więzieniu Pollsmoor niedaleko Kapsztadu. Brandt konferował również z innymi przywódcami ruchów wyzwoleńczych. Ponad godzinną rozmowę odbył z laureatem Pokojowej Nagrody Nobla za rok 1985, biskupem Tutu. Najbardziej negatywne wrażenie miały na nim wywrzeć osiedla dla czarnych i slumsy na przedmieściach Johanesburga.

* * *

Na zakończenie podróży po krajach południowej Afryki Brandt odbył godzinną rozmowę z prezydentem RPA Bothą. Botha oświadczył, że Brandt podczas swojej podróży po RPA w swoim wypowiedziach „mieszał się w wewnętrzne sprawy kraju". Według Bothy przedstawiciele murzyńskiej opozycji, z którymi Brandt spotkał się w poprzednim tygodniu w Johanesburgu, nie byli właściwymi partnerami do rozmów. Botha zarzucił Brandtowi, że odmówił spotkania z prezydentami tzw. „Homeland", tj obszarów administrowanych wyłącznie przez Murzynów i posiadających formalną niezależność. Prezydent RPA nie zezwolił Brandtowi na spotkanie się z przywódcą opozycji murzyńskiej

Nelsonem Mandelą, podają jako uzasadnienie, że Mandela „nie powinien stać się figurą, którą odwiedzaliby zagraniczni goście". Botha uważa Mandelę za komunistę i terrorystę – informuje *Die Welt* (22. 04).

RFN: SOWIECKI SZPIEG PRZED SĄDEM

W dniu 15 kwietnia rozpoczął się przed Sądem Najwyższym Bawarii w Monachium proces oskarżonego o szpiegostwo na rzecz KGB 61-letniego Manfreda Rotscha, byłego pracownika firmy Junkers AG. Rotsch przybył z NRD do Republiki Federalnej Niemiec jako szpieg już w roku 1954. Pracował w wielu zachodnioniemieckich firmach zbrojeniowych. W firmie Junkersa miał prawdopodobnie wgląd do tajnych planów samolotu „Tornado". Za swoje usługi otrzymał co najmniej 25 tys. marek od „przyjaciół z NRD". Proces Rotscha będzie trwał co najmniej 48 dni. Ogłoszenie wyroku ma nastąpić 1 sierpnia br, jak podaje *Tagesspiegel* (16. 04).

LIST GORBACZOWA DO KADAFIEGO

W liście do Kadafiego, o którym poinformowano na Kremlu wszystkich akredytowanych w Moskwie ambasadorów Gorbaczow „uzupełnił" – podaje *Sueddeutsche Zeitung* (18. 04) – „zasadnicze stanowisko" sowieckie w sprawie Libii przedstawione w oświadczeniu rządu ZSSR. Gorbaczow pisze, że Związek Sowiecki podjął „wiele kroków" w celu zapobieżenia wypadkom w Libii. W liście mówi się m. in.: „oprócz moralnego, politycznego, dyplomatycznego i wojskowego poparcia udzielonego zaprzyjaźnionej z nami Libii, jak również innych kroków w tym kierunku, które są panu znane, wielokrotnie zwracaliśmy się do rządu amerykańskiego z poważnymi ostrzeżeniami przed niebezpiecznymi skutkami dalszego kontynuowania antylibijskiej polityki, wpływającej na sytuację nie tylko w rejonie Morza Śródziemnego, lecz na całokształt polityki międzynarodowej". W liście Gorbaczow zapewnia Kadafiego, że „Związek Sowiecki również w przyszłości zdecydowany jest wypełnić podjęte zobowiązania odnośnie dalszego umocnienia obronności Libii".

150-LECIE POLSKIEJ MISJI KATOLICKIEJ WE FRANCJI

W związku z obchodami 150-lecia utworzenia w 1836 roku Polskiej Misji Katolickiej we Francji monachijski dziennik *Sueddeutsche Zeitung* przypomina dzieje emigracji polskiej we Francji. Z przyczyn ekonomicznych przybyły do Francji w okresie międzywojennym setki tysięcy Polaków, których przyjmowano wówczas z dużą sympatią. Liczbę obywateli francuskich pochodzenia polskiego szacuje się dziś na blisko milion. Oprócz nich we Francji mieszka 80 tys. polskich obywateli, z których 12 tys. uznano za uchodźców politycznych. Polska Misja Katolicka z 75 kościołami, 139 księżmi i 400 tys. wiernych jest jedną z największych diecezji Francji.

BONN: PUBLIKACJA TEKSTU TAJNEJ UMOWY SDI

Rząd Republiki Federalnej Niemiec z przykrością odnotował fakt opublikowania przez jeden z bońskich dzienników tekstu umowy o współpracy między Stanami Zjednoczonymi i RFN nad projektem „parasola ochronnego" w kosmosie, tj. SDI – informuje *Tagesspiegel* (19. 04). Umowa ta została niedawno parafowana w Nowym Jorku przez zachodnioniemieckiego ministra gospodarki Bangemanna. Znany niemiecki dziennikarz telewizyjny Dieter Lueg powiedział: „w demokracji wszystko, co tajne ma również swoją cenę, stwierdzenie zaś, że coś jest tajne, stanowi najlepszą reklamę".

GORBACZOW ZNÓW CHCE ROZBROJENIA

W swoim przemówieniu na zjeździe NRD-owskiej Socjalistycznej Partii Jedności w Berlinie Wschodnim, sekretarz generalny KPZS Gorbaczow wystąpił ponownie z propozycjami rozbrojeniowymi. Tym razem zaproponował rokowania w sprawie redukcji broni konwencjonalnych i liczby wojsk w Europie. Rozbrojenie, którego zakresu nie uściślił, ma dotyczyć całej Europy od Atlantyku do Uralu. Rządowi Republiki Federalnej Niemiec Gorbaczow zarzucił „brak logiki w polityce". Z jednej strony rząd zachodnioniemiecki zapewnia o swojej miłości do pokoju i gotowości współpracy ze Wschodem, z drugiej zaś na terenie Republiki Federalnej stacjonowane są rakiety średniego zasięgu skierowane na Wschód. Gorbaczow zarzucił również rządowi w Bonn, że poparł program SDI tak, jak nie uczynił tego żaden inny rząd w Europie Zachodniej, informuje *Tagesspiegel* (19. 04).

WALKI ULICZNE W BERLINIE ZACHODNIM

W związku z atakiem lotnictwa Stanów Zjednoczonych na obiekty wojskowe w Libii, wieczorem 15 kwietnia w centrum Berlina odbyła się antyamerykańska demonstracja z udziałem 7 tys. osób. Po wiecu, którym zakończyła się pokojowa demonstracja, około 250 zamaskowanych i na czarno ubranych osób, (określanych przez policję jako „czarny blok"), podjęło walki z policją, w wyniku których 14 policjantów odniosło rany; aresztowano 22 osoby. W centrum miasta „demonstranci" rozbijali szyby wystawowe oraz okna banków. W innym miejscu miasta miejscowi anarchiści zablokowali na dwie godziny linię metra, informuje *Tagesspiegel* (17. 04).

SZWAJCARIA: LIBIJSKA AMBASADA HANDLOWAŁA BRONIĄ

Przed sądem w Lozannie rozpoczął się proces przeciwko czterem Szwajcarom podejrzanym o handel bronią. Oskarżonym zarzuca się, że w sierpniu 1984 roku przeszmuglowali ze Szwajcarii do Francji bliżej nie określoną ilość karabinów i pistoletów. W śledztwie udowodniono, że część z nich pochodziła z tzw. libijskiego „Biura Ludowego" w Bernie. Prokuratura domaga się kary 2,5 roku więzienia oraz wysokich grzywien, podaje *Neue Zuercher Zeitung* (17. 04).

REDUKCJA ARMII W CHINACH

W korespondencji własnej z Pekinu *Welt am Sonntag* (20. 04) podaje, iż rząd chiński zamierza zredukować swoje siły wojskowe o 25 %. Armia chińska liczy obecnie 4 mln żołnierzy i oficerów. Bezpośrednim powodem redukcji jest konieczność zmniejszenia wydatków, pieniądze bowiem potrzebne są na rozwój gospodarki.

BARYKADY W BERLINIE

Podczas kolejnej demonstracji antyamerykańskiej w Berlinie Zachodnim w dniu 19 kwietnia doszło do poważniejszych starć z policją. W pokojowej manifestacji, której organizatorem była berlińska partia Alternative Liste udział wzięło 6,5 tys. osób. Po jej zakończeniu w starciach z policją, w trakcie których na Winterfeldtplatz w dzielnicy Schoeneberg demonstranci ustawili barykady, uczestniczyło – jak podaje *Tagesspiegel* (20. 04) – 1000 osób. Trzy tysiące policjantów opanowało sytuację w ciągu 20 minut. W celu ustalenia tożsamości zatrzymano 20 osób, które natychmiast zwolniono.

LIBIA CHCE „ZAWIESZENIA BRONI"

Niemieckie dzienniki podają w wiadomościach agencyjnych (20. 04), że libijski ambasador przy ONZ Triki oświadczył na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa w Nowym Jorku, iż rząd rewolucyjnego przywódcy Kadafiego pragnie dialogu ze Stanami Zjednoczonymi i nie chce wojny. Zapewnił on Stany Zjednoczone, że Libia nie podejmie żadnych zamachów terrorystycznych w USA.

Rada Bezpieczeństwa ONZ przełożyła głosowanie nad projektem rezolucji odnośnie amerykańskiego ataku na cele w Libii.

Według danych amerykańskiego ministerstwa spraw zagranicznych Libia podczas ataku amerykańskich sił powietrznych na Trypolis i Bengazi zwróciła się do rządu Stanów Zjednoczonych o zawieszenie broni. Prośba ta została przedłożona poprzez ambasadę belgijską w Trypolisie tuż po zakończeniu operacji. Rzecznik ambasady belgijskiej oświadczył, że rząd libijski wkrótce potem wycofał prośbę o zawieszenie broni. Po zerwaniu stosunków dyplomatycznych między USA i Libią ambasada belgijska reprezentuje interesy amerykańskie w tym kraju.

ANTYAMERYKAŃSKIE DEMONSTRACJE W RFN

W kilku miastach zachodnioniemieckich doszło w ostatnią sobotę (19. 04) do dalszych demonstracji antyamerykańskich. W miejscowości Garlstedt niedaleko Brēmy około 1 200 demonstrantów zablokowało drogi dojazdowe do amerykańskich koszar obrzucając samochody niemieckiej policji kamieniami i butelkami. Policja była zmuszona utorować sobie przejazd przy pomocy armatek wodnych. Również w rejonie miasta Hanau (Hesja), jak i w samym mieście doszło do starć policji z demonstrantami rozbijającymi okna wystawowe i demolującymi pojazdy policji. Amerykańskie koszary w miejscowości Grossauheim (Hesja) zostały ostrzelane rakietami świetlnymi. Zamaskowani demonstranci w liczbie 100 osób rozbijali okna wystawowe – podaje *Sueddeutsche Zeitung* (21. 04).

Die Welt (21. 04) podaje, że do antyamerykańskich demonstracji doszło również w Bonn, Stuttgarcie, Hamburgu, Heildelbergu, Frankfurcie i Kilonii.

Frankfurter Allgemeine Zeitung (21. 04) informuje, że podobne demonstracje miały miejsce również w wielu miastach europejskich. W Mediolanie demonstrowało 15 tys. osób, po wiecu w Rzymie doszło do walk między grupami lewicowych i neofaszystami, przed amerykańską ambasadą w Wiedniu demonstrowało około 4 tys. osób (była to już trzecia demonstracja w ciągu czterech dni). Do protestów doszło w Bazylei (1000 osób) i w Londynie, gdzie do akcji musiała wkroczyć policja aresztując 60 osób.

PAPIEŻ NA MONT BLANC

Sueddeutsche Zeitung (21. 04) powołując się na oświadczenie biskupa Ovidio Lari z miejscowości Aosta (Włochy) podaje, że Jan Paweł II ma zamiar w dniu 7 sierpnia br. zdobyć najwyższy szczyt Europy Mont Blanc. Papież uda się najpierw kolejką linową na lodowiec w pobliżu Mont Blanc, a następnie ma zamiar pieszo osiągnąć szczyt. Po zakończeniu wspinaczki i zejściu z gór Papież będzie celebrować mszę w miejscowości Aosta.

WKRÓTCE ZWOLNIENIE SACHAROWA?

Prasa niemiecka publikuje informację prywatnego radia luksemburskiego „RTL Plus", że dnia 12 maja na moście Glienicke łączącym Berlin Zachodnim z NRD dojdzie do kolejnej wymiany wschodnich agentów skazanych na Zachodzie za szpiegostwo. W zamian za nich Związek Sowiecki uwolni pozostającego od sześciu lat na zesłaniu w miejscowości Gorki przywódcę sowieckich dysydentów, laureata Pokojowej Nagrody Nobla Andrieja Sacharowa. Rozgłośnia „RTL Plus" wymieniła około 10 nazwisk wschodnich szpiegów odbywających kary w RFN i USA. Wraz z Sacharowem ma zostać wymienionych kilka innych osób, odsiadujących z różnych przyczyn kary więzienia w NRD. (kaczka! – Redaktor)

SANKCJE EWG PRZECIWKO LIBII

Konferencja ministrów spraw zagranicznych 12 krajów EWG w Luksemburgu podjęła sankcje dyplomatyczne przeciwko Libii. Postanowiono, że w krajach EWG ograniczy się ilość dyplomatów libijskich „do niezbędnego minimum". Również swoboda poruszania się Libijczyków ograniczona zostanie do miejscowości, w której znajduje się przedstawicielstwo ich państwa. Wydaleni z jednego kraju EWG przedstawiciele libijskich biur handlowych czy też dyplomaci nie będą mieli prawa wjazdu do żadnego innego kraju członka EWG – podaje *Tagesspiegel* (22. 04).

PROGRAM WSPÓŁPRACY ZIELONYCH Z KREMLEM

Do Bonn powróciła po kilkudniowej wizycie w Moskwie delegacja partii Zielonych, która podczas roz-

mów z przedstawicielami kremlowskiego wydziału do spraw międzynarodowych ustaliła program współpracy na lata przyszłe. Jednym z głównych punktów jest prowadzenie regularnych konsultacji i coroczna wymiana 20-osobowej delegacji. Regularnie mają być również wymieniane artykuły prasowe, które „bez skrótów będą publikowane w prasie, stojącej do dyspozycji obu stron". Przewiduje się również wymianę referentów – podaje *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (22. 04).

JESZCZE RAZ
O WALDHEIMIE

Wiedeński dziennik *Kurier* opublikował wywiad z jugosłowiańskim politykiem Mitią Ribicicem, który w latach 1969-71 był premierem Jugosławii. W wywiadzie Ribicic stwierdza, że prezydent Tito z całą pewnością wiedział o przynależności Waldheima do jednostek Wehrmachtu grupy E, walczącej na Bałkanach. W okresie rządów Tity Waldheim często odwiedzał Jugosławię i został nawet odznaczony wysokimi jugosłowiańskim medalami. Ribicic wykluczył przypuszczenia, że były sekretarz generalny ONZ Waldheim podczas dwukrotnego sprawowania tego urzędu był szantażowany. M. in. Ribicic powiedział, że posiadane wówczas dokumenty nie były wystarczającym powodem do rozpoczęcia kampanii przeciwko Waldheimowi.

Neue Zuercher Zeitung (22. 04) ocenia wypowiedzi Ribicica, który w Słowenii jest nadal aktywnie działającym politykiem, jako dowody obalające zarzuty przeciwko Waldheima.

WILLY BRANDT
W „DIE WELT"

W artykule napisanym specjalnie dla czołowego prawicowego dziennika koncernu Springera *Die Welt* (23. 04) przewodniczący SPD Willy Brandt apeluje o wywierania nacisku na południowoafrykański rząd Bothy: „W interesie państwa niemieckiego, jak również w interesie naszej gospodarki nie powinniśmy pogodzić się ze stanem, który nie da identyfikować się z pojęciem respektowania praw człowieka i który wkrótce już nie wytrzyma próby czasu".

NIEPOLITYCZNE

AIDS, AIDS, AIDS

9 kwietnia. Monachium. Krajowe ministerstwo d/s socjalnych podało, iż w Bawarii odnotowano 150 zachorowań na AIDS. Przypuszcza się, że wirusem LAV/HTLV3 zarażonych jest 15 tys. osób.

Welt am Sonntag (13. 04) podaje, że do kwietnia br. na chorobę AIDS – niewydolności systemu immunologicznego – zmarło w USA 9 865 osób (RFN – 219). Obecnie w USA jest 18 883 zarejestrowanych chorych (RFN – 451). Przypuszcza się, że liczba nosicieli wirusa w Europie zwiększyła się do 1 mln. (RFN – ponad 100 tys.). Eksperci amerykańscy sądzą, że w roku 1989 w USA na AIDS umrze 80 tys. osób. Wbrew początkowym obliczeniom liczba chorych na AIDS podwaja się nie rokrocznie, lecz co 7-8 miesięcy.

Podczas badania krwi 10 tys. osób u 15 odkryto wirus choroby AIDS – donosi z Polski *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (17. 04).

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

DOKUMENTY

SOLIDARNI Z AFGANISTANEM

Polaków i Afgańczyków łączy walka ze wspólnym i śmiertelnym wrogiem – komunizmem. Nie jego reforma, ale obalenie jest celem na drodze do niepodległości obu krajów.

Afgańczycy do walki o wolność rzucili swe wszystkie siły, podobnie jak II Rzeczypospolita w 1920 roku i tylko w ten sposób mogą skutecznie bronić się przed agresją.

Osamotnienie Afganistanu w jego walce o niepodległość przypomina tragiczną sytuację Polski w okresie i po zakończeniu II wojny światowej. Jedynie wspólne przeciwstawienie się komunizmowi może przynieść zwycięstwo.

1 Maja ogłaszamy Dniem Solidarności z Walczącym Afganistanem. W tym dniu nasza obecność na niezależnych demonstracjach, do których rokrocznie wzywa NSZZ „Solidarność" oraz napisy na murach i transparentach staną się wyrazem poparcia dla Afgańczyków.

Wzywamy wszystkie organizacje Polski Podziemnej do aktywnego włączenia się w obchody Dnia Solidarności z Walczącym Afganistane.

Wzywamy wszystkie polskie organizacje emigracyjne do poparcia naszej akcji.

13. 03. 1986

Międzyzakładowy Komitet
Koordynacyjny „WOLA"
Międzyzakładowy Robotniczy
Komitet „SOLIDARNOŚĆ"
Kluby Myśli Robotniczej
i Redakcja „Bazy"
Tajna Komisja Robotnicza
Hutników HiL
Porozumienie Prasowe
„Solidarność zwycięży"
MKS Nowa Huta
Liberalno-Demokratyczna
Partia „Niepodległość"

Jerzy Starski

Pakistan w cieniu Libii

Rewolucja, na którą nikt nie zwraca uwagi. Zdarzenie polityczne, o którym – w zamęcie spowodowanym kryzysem libijskim – zupełnie zapomniano. Tymczasem w Pakistanie toczy się ostra walka polityczna. I podczas gdy wszyscy z napięciem obserwują wojnę Stanów Zjednoczonych z Libią, przy całkowitym milczeniu świata w Pakistanie dochodzi do władzy partia, której zwolennicy wykrzykują na ulicach, że „Pakistan i Libia staną się grobem Ameryki".

Pakistan, kraj, który graniczy z Afganistanem, Iranem, ZSSR i Indiami. 84 miliony mieszkańców, 796 tys. km² powierzchni. Stolica – Islamabad, główne wyznanie – islam. Kraj pustynny, ubogi, zacofany. Podstawą gospodarki jest rolnictwo i rybołówstwo, zarówno przybrzeżne, jak i śródlądowe, nie zabezpieczające jednak wyżywienia ludności. Przedmiotem eksportu jest tytoń, trzcina cukrowa, nasiona lnu i sezamu, ryż i bawełna. Pakistan eksploatuje też gaz ziemny i niewielkie ilości ropy naftowej, wydobywa się tu kamień budowlany, sól, miedź, rudę żelaza i uran. Głównym partnerem handlowym Pakistanu są kraje Wspólnoty Europejskiej, USA, Arabia Saudyjska, Hongkong, Indonezja i Japonia.

Do 1947 r. Pakistan jako prowincja Indii wchodził w skład Imperium Brytyjskiego. Jednakże – z racji wyznania – prowincja ta zawsze miała charakter nieco odmienny od reszty subkontynentu indyjskiego i już w roku 1940 organizacja pod nazwą Liga Muzułmańska walczyła o utworzenie na terenie dzisiejszego Pakistanu niezależnego państwa. Gdy 3 czerwca 1947 r. Korona Brytyjska zrzekła się swej indyjskiej kolonii, zapowiedziano też zrealizowanie postulatów Ligi Muzułmańskiej. Tak doszło do utworzenia w dniu 15 sierpnia 1947 r. pakistańskiego dominium brytyjskiego ze stolicą w Karaczi (do Islamabadu przeniesiono stolicę w roku 1960). Nie obyło się jednak bez konfliktów o Kaszmir, teren na granicy z Indiami. W rezultacie w grudniu 1947 prowincja ta przeszła pod wspólny zarząd obu państw. W skład Pakistanu wchodziły dwie odrębne prowincje Pakistan Wschodni i Zachodni, oddzielone od siebie o ok. 1600 km. Pakistan w roku 1954 przystąpił do SEATO, w 1955 do tzw. Paktu Bagdadzkiego (dziś CENTO). W 1956 r. proklamowano samodzielne państwo – Muzułmańską Republikę Pakistanu.

Od początku swego istnienia Pakistan był widownią ostrych konfliktów, niepokojów wewnętrznych i zamieszek. Dochodziło do rozruchów zarówno na tle niepodległościowym (konflikt między Pakistanem Wschodnim i Zachodnim), jak i ekonomicznym oraz politycznym. W roku 1970 doszło do gwałtownego zaostrzenia systemu wewnętrznego w Pakistanie. Na skutek nacisków opozycji ogłoszono pierwsze w tym kraju demokratyczne wybory. Liga Muzułmańska przegrała wybory na rzecz Ludowej Partii Pakistanu (LPP). 26. 03. 1971 Pakistan Wschodni oderwał się i utworzył niezależne państwo – Bangladesz. W grudniu 1971 rządy w Pakistanie Zachodnim przejął przywódca LPP Ali-Khan Bhutto.

Rząd nowego prezydenta przystąpił do reform. W roku 1972 Pakistan wystąpił z Commenwealthu, w 1973 ogłoszono nową konstytucję. Przeprowadzono też reformę rolną, upaństwowiono przemysł kluczowy, wprowadzono powszechne obowiązkowe nauczanie w zakresie 5 klas szkoły podstawowej. W 1974 nawiązano stosunki dyplomatyczne z Bangladeszem. Nie zmieniło to jednak krytycznej sytuacji gospodarczej kraju, a stopa przyrostu naturalnego w wysokości 3 % rocznie wciąż przekraczała wzrost dochodu narodowego (2,6 % rocznie). Pakistan, zmuszony do importu żywności i artykułów przemysłowych, zaciągnął ogromne kredyty tak w Indiach, jak w Europie Zachodniej. Jednocześnie zwycięstwo Ludowej Partii Pakistanu wcale nie zapewniło spokoju wewnętrznego. Konflikt między partią rządzącą a opozycją doprowadził w pierwszej połowie roku 1977 do bojkotu wyniku wyborów do parlamentu, w lipcu zaś do przewrotu wojskowego. Prezydent Ali Bhutto został aresztowany i postawiony w stan oskarżenia „za zachęcania do mordów". Władzę przejął generał M. Ziaul Haq. 4. 04. 1979 Ali Bhutto został skazany i stracony.

Okres rządów generała Ziaul Haqa charakteryzował się militaryzacją i islamizacją kraju. Krajem rządzi sześcioosobowa Rada Wojskowa. W 1979 zniesiono na czas nieokreślony wybory do parlamentu i zdelegalizowano partie polityczne, wzmocniona została rola sił bezpieczeństwa w życiu społecznym. Przepisy prawne oparte na wzorach angielskich zostały zmienione na zgodne z zasadami Koranu.

W roku 1984 generał Ziaul Haq ogłosił „niepartyjne" wybory i wygrał je większością głosów.

Córka straconego prezydenta:
Benazir Bhutto

Powołał też jedenastoosobowy rząd cywilny. Jego zdaniem kraj wkroczył tym samym na drogę ku demokracji. Zarówno wybory jak rząd zostały zbojkotowane przez opozycję. Przeciwnicy polityczni generała Ziaul Haqa, dotychczas aresztowani, zostali wygnani z kraju. Wśród nich znalazła się również Benazir Bhutto, córka straconego prezydenta, która spędziła 8 lat w areszcie domowym. W roku 1984 zezwolono jej na opuszczenie Pakistanu i wyjazd do Londynu. Gdy 22 sierpnia 1985 r. Benazir przyjechała do Pakistanu na pogrzeb brata, tłum zgotował jej tak owacyjne przyjęcie, że Benazir została ponownie aresztowana. Oskarżono ją o pogwałcenie przepisów o banicji politycznej. Przetrzymywana w areszcie domowym, 4 listopada ub. roku ponownie przymusowo opuściła kraj, tym razem – jak się okazało – tylko na kilka miesięcy. W dwa miesiące później bowiem, 30 grudnia 1985 generał Ziaul Haq zniósł wprowadzony przed dziewięcioma laty stan wojenny i przywrócił prawo funkcjonowania partii. Na arenie politycznej pojawiła się więc znowu oficjalna opozycja, w tym również najsilniejsza partia – Ludowa Partia Pakistanu, której przywódcą był stracony w roku 1979 prezydent Zulfikar Ali Bhutto. Dnia 10 kwietnia 1986, tym razem już oficjalnie, powróciła do kraju jego córka.

Podobnie jak Corazon Aquino (wdowa po zamordowanym liderze opozycji na Filipinach) również Benazir Bhutto stała się dla opozycji politycznej w Pakistanie symbolem oporu. Jest to – po Indirze Gandhi, córce premiera Nehru – trzecia już w Azji kobieta, której dane będzie być może objąć władzę po zmarłym członku rodziny. Podobieństwo sytuacji politycznej panny Bhutto i pani Aquino podkreślają również zachodni dziennikarze (ci nieliczni, którzy w ogóle zauważyli, co się dzieje w Pakistanie). Tony Clifton, reporter tygodnika *Newsweek* zatytułował swój artykuł z dnia 21 kwietnia br. „Wyzwanie dla generała Zia – czy Benazir Bhutto będzie następną Corazon Aquino?" Podobieństwa nie zasadzają się tylko na dziedziczeniu funkcji. Podobnie jak Cory Aquino, również Benazir nie sięgnęła sama po funkcję przywódczyni opozycji w swym kraju, lecz została do tego nakłoniona przez rozentuzjazmowane tłumy zwolenników oraz przebywających w kraju działaczy. *Podczas pobytu w Londynie* – pisze Clifton – *Benazir Bhutto wypowiadała się ostrożnie na temat swego powrotu. „Nie chcę konfrontacji. I nie chcę też nikogo zapędzać w ślepy zaułek" – oświadczyła w samolocie, którym powracała do Pakistanu. Lecz gdy w ubiegłym tygodniu wylądowała w Lahore, ekstatyczne powitanie sprawiło, że zmieniła zdanie.*

Benazir – jak nazywają ją mieszkańcy Pakistanu – powróciła do kraju jak udzielna księżna. Na lotnisku w Lahore przywitali ją przedstawiciele partii, na ulicach wokół lotniska zgromadziły się tłumy – jak twierdzi korespondent *International Harald Tribune* 100 do... 300 tysięcy osób. (W relacji *Newsweeka* tłum liczył sobie ponad pół miliona). Dwa tysiące policjantów uzbrojonych w karabiny, pistolety i rakietnice z gazem łzawiącym próbowało utrzymać porządek na terenach wokół portu lotniczego. Władze wzniosły też zasieki z drutu kolczastego.

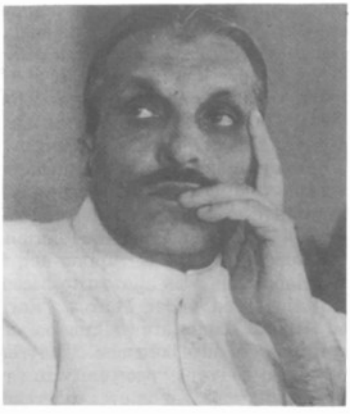

Pakistański prezydent:
Ziaul Haq

32-letnia panna Bhutto wraz ze świtą udała się do miasta odkrytą ciężarówką, samochód został bogato udekorowany i wyposażony w rzeźbiony i pozłacany tron. Czarno-czerwono-zielone sztandary Partii i wielki portret zmarłego dopełniały całości. W tym królewskim przyjęciu wyraziła się jakże dobitnie tradycyjna mentalność narodów Wschodu. Partia reprezentowana przez Benazir jest ludowa i socjalistyczna, ale jej przywódczyni jest zarazem symbolem władzy. Ta zaś wymaga odpowiednio bogatej oprawy.

Za wolno poruszającym się samochodem ruszyły tłumy, wznosząc okrzyki: *Benazir, Benazir!* i *Niech żyje rewolucja socjalistyczna!* Rozgorączkowany tłum przyrównywał też Benazir do Kadafiego, niedoścignionego wzorca zdecydowanej postawy bojowej, żeby nie rzec – fanatycznej. Przez wiele godzin ludzie tańczyli na ulicach Lahore, od czasu do czasu paląc amerykańskie flagi.

Benazir wróciła i teraz lud powstanie do walki o demokrację, a przeciw nieludzkim prawom generała Zii – powiedział Miraj Khaldi, dotychczas krajowy przywódca Partii Ludowej, a teraz zastępca Benazir Bhutto. Tego zdania był też świętujący tłum. *Marcos uciekł! Dyktator Haiti uciekł! Przyszedł czas, by uciekł następny tyran!* – głosiły napisy na transparentach.

Jednakże zdaniem amerykańskiego dziennikarza – analogie między Duvalierem i Marcosem a Zia Haq nie są całkowite. Generał rządzący Pakistanem jest wprawdzie człowiekiem silnej ręki, bezwzględnym wobec przeciwników politycznych, jest jednak w życiu osobistym pedantycznie uczciwy, ascetyczny i nieprzekupny. Jego pozycja w kraju jest mocna (albo raczej – była mocna do początku kwietnia 1986), jednakże nie uważa się go za przywódcę obdarzonego charyzmą, nie zyskał też sobie w kraju popularności i nigdy nie był poważnie traktowany przez przeciwników. Ocenia się, że Zia utrzyma się tak długo, jak długo popierać go będzie wojsko. Jeżeli jednak oficerowie opowiedzą się po stronie Benazir, generał Haq utraci władzę dosłownie w mgnieniu oka.

Nie można jednak nie docenić pewnej odwagi tego przywódcy, który doskonale zdając sobie sprawę z rozkładu sił wewnątrz państwa, zgodził się na powrót z wygnania najgroźniejszej swojej przeciwniczki. Benazir z kolei zdaje chyba sobie sprawę z tego, że niezauważalna walka z dyktaturą trwa latami, ale upadek tyrana jest zazwyczaj szybki i gwałtowny. Przykład Haiti i Filipin każe też wykorzystywać pewną specjalną koniunkturę – powszechne obecnie przekonanie, że Stany Zjednoczone radykalnie zmieniły kierunek polityczny i krok po kroku likwidują wszystkie popierane dotychczas dyktatury wojskowe. Nie należy jednak sądzić, że Waszyngton opowie się po stronie ugrupowań, które poczuwają się do wspólnoty celów z Libią. Nie można też przypuszczać, by Ludowa Partia Pakistańska liczyła na poparcie USA, skoro na jej sztandarach widnieją antyamerykańskie hasła. Można jednakże założyć, że w obecnej sytuacji Stany pozostawią rzecz własnemu biegowi. W chwili obecnej sytuacja polityczna Pakistanu wydaje się niejasna. Ani Reagan, ani Gorbaczow nie wypowiedzieli się jak dotąd otwarcie w tej kwestii. Nie wiadomo też, po której stronie opowiedzą się państwa sąsiadujące. Kabulski reżym Karmala stoi zapewne po stronie Benazir, chociażby dlatego, że generał Zia otwarcie skrytykował agresję radziecką na Afganistan i udziela schronienia afgańskim uchodźcom. Z kolei dla Indii Pakistan – niezależnie od tego przez kogo rządzony – jest sąsiadem nadzwyczaj niewygodnym. W New Delhi uważa się bowiem, że istniejące tuż pod bokiem państwo muzułmańskie, umacnia separatystyczne ruchy wyznawców islamu w samych Indiach; jak dotąd Pakistan otwarcie sprzyjał rewoltom Sikhów z pogranicza Pendżabu. Benazir Bhutto – jeżeli dojdzie do władzy – prowadzić będzie zapewne politykę odmienną od proamerykańskiej polityki Ziaul Haqa, tym niemniej również jej partia odwołuje się do fanatyzmu religijnego Pakistańczyków. A jej prolibijskie sympatie wynikają w równej mierze z otwartej nienawiści Kadafiego do USA, co z jego płomiennej wiary w nieuniknione zwycięstwo islamu. Tak więc z perspektywy polityki międzynarodowej aktualna sytuacja w Pakistanie i szanse obu stron rysują się niezbyt jasno.

Również wewnątrz kraju sytuacja nie jest do końca jednoznaczna. Generał Haq czuje się dość bezpiecznie – dzięki znacznej pomocy ekonomicznej i militarnej ze strony USA Pakistan w ostatnich latach w radykalny sposób poprawił koniunkturę gospodarczą. Uciszyło to w pewnej mierze permanentne niepokoje i skłoniło dotychczasowego dyktatora do zniesienia stanu wojennego i wprowadzenia bardziej demokratycznej formuły rządzenia. Z kolei Benazir Bhutto głosi, że demokracji i wolności nie można dawkować i naród pakistański ma prawo do cieszenia się pełnią swobód politycznych. Dziś, gdy wraca – nie zapomniana jeszcze przez stronników i tłum – z krótkiego wygnania, głoszone przez nią hasła znajdują szeroki posłuch. *Jej przemówienia pełne były zaangażowania* – napisał amerykański reporter – *a ona sama wykazała, że podobnie jak ojciec umie przyciągać uwagę publiczności.* Po entuzjastycznym powitaniu na lotnisku Benazir powiedziała – *dzisiaj mogliśmy bez przeszkód przejąć władzę.* Szybko jednak dodała, że Ludowa Partia Pakistanu nie dąży do puczu, lecz do demokratycznych wyborów i przejęcia władzy w legalny sposób. I chociaż nie wiadomo, czy dojdzie do nadzwyczajnych wyborów, najbliższe zapowiedziane są na rok 1990, Benazir zażądała ich przeprowadzenia, i – nie czekając na decyzję generała – ruszyła w podróż po kraju, w celu zjednania sobie zwolenników. Pozyskiwanie tłumów w każdym kraju jest dość skuteczną metodą walki politycznej, ale Pakistan wydaje się być Krajem, w którym decyduje tylko tłum. Tak właśnie najpierw zyskał, a potem stracił władzę ojciec Benazir i tak doszedł do władzy Zia.

O jakiego rodzaju demokrację walczy Benazir Bhuto? Oficjalnie mówi o zapewnieniu Pakistanowi pozycji neutralnej i oderwaniu od wszelkich paktów militarnych. Jednakże obserwatorzy polityczni przewidują, że LPP skłonna będzie do negocjacji z reżymem w Kabulu, a generalne doświadczenie krajów trzeciego świata uczy, że neutralność dość często równoznaczna jest z prosowietyzmem. Na razie jednak świat nie wykazuje większego zainteresowania powyższymi pytaniami, albowiem – jak się rzekło – problem Pakistanu pozostaje w cieniu Libii. Nasuwa się tylko pytanie, czy zdarzyło się tak przypadkiem? Benazir Bhutto, przebywając na wygnaniu, nie ustalała żadnych precyzyjnych terminów powrotu do ojczyzny. *Nagle poczułam* – powiedziała dziennikarzom w dzień odlotu z Londynu – *że nadszedł właściwy czas.* Nasuwa się przecież podejrzenie, że eufemistyczne określenie „właściwy czas" oznacza dokładnie taką konfigurację w polityce międzynarodowej, jaka zaistniała po libijskim zamachu terrorystycznym na dyskotekę „La Belle" w Berlinie Zachodnim. Moment, w którym oczy całego świata zwrócą się na Libię i USA. W Pakistanie tymczasem – przy pełnym poparciu „całego narodu" – nastąpi prosowiecka zmiana u steru, a imperium „miłośników pokoju" zdobędzie za jednym zamachem dwa państwa – bo nie tylko Pakistan dobrowolnie przyłączający się do bloku, lecz również krnąbrny Afganistan, dla którego prosowieckie osaczenie od wschodu oznacza całkowite odcięcie od wolnego świata, a więc w efekcie przegraną wojnę. ■

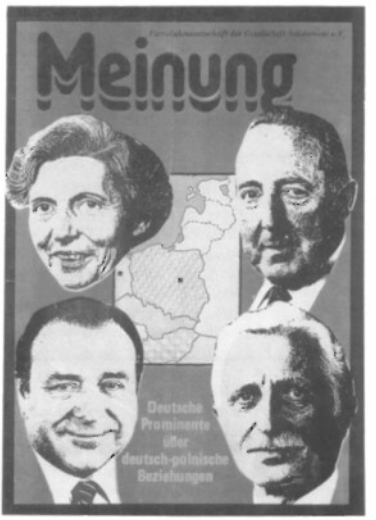

Kolejny numer naszego niemieckojęzycznego kwartalnika „Meinung"

W numerze m. in.: wypowiedzi Ingeborg Drewitz, Herberta Hupki, Heinricha Lummera i Petera Scholl-Latoura na temat stosunków polsko-niemieckich; fragmenty polskiego bestselleru ostatnich lat – książki „Konspira"; ostatnia rozmowa z Witoldem Wirpszą; protokół konferencji prasowej Andrzeja Wajdy; Witold Wirpsza o sobie w Berlinie Zachodnim, i in.

„Meinung" można zamówić bezpośrednio w redakcji „Poglądu" lub kupić w Stodieck's Buchhandlung (Berlin 20, Richard Wagner Str. 39) i w Muzeum Muru (Berlin 61, Haus am Checkpoint Charlie).

Robert Tof

Spectrum Ameryki Łacińskiej

Część I

W grudniu 1985 roku, na konferencji CSSO (Conference of Solidarity Support Organisations) [1] *w Jersey City, wystąpił przedstawiciel Chrześcijańskich Związków Zawodowych Ameryki Łacińskiej (CLAT), dr Jose Prince. Z tego powodu konferencja stanowi dla mnie pewien punkt zwrotny. Nawiązano wreszcie współpracę ze związkami zawodowymi Trzeciego Świata i powołano koordynatora takich działań na Amerykę Łacińską, prof. Pacutę z University of Mexico.*

Ruch związkowy w Europie Zachodniej i Ameryce Północnej jest nam już nieźle znany po pięcioletnich bezpośrednich kontaktach. Także artykuły o zagranicznej tematyce związkowej, w prasie podziemnej czy emigracyjnej, w 90 % dotyczą zachodnich związków. O pozostałych organizacjach, z Ameryki Łacińskiej, Azji czy Afryki, nie wiemy prawie nic. A przecież są to obszary, które nie tylko odgrywają coraz większą rolę gospodarczą i kulturalną, lecz również polityczną. Znaczenie ich będzie się zwiększać z każdym dziesięcioleciem.

Dr Jose Prince, z pochodzenia Libańczyk, w wieku 19-tu lat wziął udział w rewolucji kubańskiej, która obaliła reżym Batisty. Rok później stał się przeciwnikiem Fidela Castro. Po aresztowaniu i procesie skazano go na 17 lat więzienia (średnie wyroki na Kubie wynoszą od 15 do 20 lat). W 1964 roku udało mu się opuścić Kubę. Związał się z ruchem związkowym Ameryki Łacińskiej i od szeregu lat pracuje jako szef biura CLAT w Nowym Jorku. Referat jego składał się z trzech części: historii ruchu związkowego Ameryki Łacińskiej, omówienia wpływu „Solidarności" na tamtejsze związki zawodowe oraz analizy współczesnej sytuacji związkowej i społeczno-politycznej tego regionu, w kontekście penetracji komunizmu.

ZWIĄZKI ZAWODOWE

w Ameryce Łacińskiej zaczęły powstawać w drugiej połowie XIX wieku (1860-80). Zakładali je emigranci z Europy, głównie w trzech krajach: Chile, Argentynie i Brazylii. Od samego początku zaznaczał się silny wpływ idei socjalistycznych typu marksistowskiego. Podobnie, jak w Ameryce Północnej, zostały one przeszczepione z Europy przez działaczy robotniczych, uciekających przed prześladowaniami na inny kontynent. Z powodu lepszych bez porównania warunków bytu, tradycji brytyjskiego parlamentaryzmu w Kanadzie i systemu demokratycznego w USA, rozwinął się tam socjalizm typu angielskiego, choć nigdy nie osiągnął większych sukcesów. Marksizm dla społeczeństw, w których dominowały religie protestanckie i indywidualizm, był nie do zaakceptowania.

W Ameryce Łacińskiej [2] panowała odmienna sytuacja. Ludność indiańska została ujarzmiona przez Hiszpanów i Portugalczyków, z Afryki sprowadzano masowo niewolników; od XVI do XVII wieku Ameryka Łacińska była feudalnym latyfundium. Na początku XIX wieku wybuchły powstania zbrojne, które doprowadziły do wygnania Hiszpanów. Powstały niepodległe państwa, zwiększyła się emigracja z Europy (głównie Włosi, Niemcy, Słowianie, Żydzi) i penetracja wielkich mocarstw – Anglii, Niemiec, a także USA. Kapitał amerykański (kompanie bananowe, wielki przemysł kopalniany) i rodzimy (latyfundia, plantacje, przemysł przetwórczy) wspólnie łupiły ludność. Kapitalizm utożsamiony został z USA; USA to byli znienawidzeni „gringos", którzy nie szanowali lokalnej kultury, religii i tradycji społecznych, a myśleli tylko o jak największym zysku. Kiedy wybuchały strajki, tłumiły je wojska rządowe, policja i nierzadko amerykańscy najemnicy – awanturnicy różnego autoramentu. Gdy w wyniku powstania pojawiał się rząd demokratyczny o populistycznym nastawieniu, inscenizowano przewrót lub bezpośrednio interweniowali Amerykanie. Demokracja, na którą tak skwapliwie i często się powoływano, była w rzeczywistości skorumpowanym systemem tajnych policji, skrytobójstw i wyborczych fałszerstw pod okiem

---

[1] Pomysł zwoływania okresowych konferencji grup popierających „Solidarność" zrodził się wiosną 1983 roku w USA. Aktualnie należy do niej 21 organizacji z USA, Kanady, Meksyku i Europy – m.in. „Towarzystwo Solidarność" z Berlina Zachodniego. „Pogląd" jest pismem informacyjnym CSSO – patrz „Pogląd" nr 10/83 z 1985.

[2] Pod pojęciem Ameryka Łacińska rozumiem region obejmujący kontynent Ameryki Południowej, Ameryki Środkowej, Meksyk i dwie grupy wysp – Antyle i Karaiby.

Amerykanów. System ten trwał dostatecznie długo (od 1870 do 1945 i nieco ograniczony do 1960), by wryć się w pamięć Latynosów.

W latach poprzedzających II wojnę światową, a potem aż do późnych lat 50-tych, latynoskie związki zawodowe, o ile mogły oficjalnie istnieć, były sypchane przez swych bossów w objęcia różnych partii politycznych. Takie podłoże miał na przykład ruch peronistyczny w Argentynie. W kraju tym, jak również w Brazylii, Chile, Wenezueli i Meksyku, czyli wszędzie gdzie istniał silny przemysł, robotnicy starali się organizować struktury związkowe. W zupełnie odmiennej sytuacji byli robotnicy rolni nie mający żadnych praw, podobnie jak ogół pracujących pozostałych państw tego regionu. W takich oto warunkach przyszło działać związkowcom latynoskim, którzy od dziesiątków lat są bez porównania bardziej narażeni na prześladowania niż współcześni związkowcy polscy.

Jeszcze jeden fakt jest wart podkreślenia. W Ameryce Łacińskiej, na początku lat 50-tych, żyło około 200 mln ludzi. W 1954 r. liczbę robotników, większych farmerów i rzemieślników oceniano na przeszło 62 mln osób, z czego tylko 18 % było zrzeszonych w związkach zawodowych. Po 30 latach liczba związkowców wzrosła do 20 %, ale liczba ludności podniosła się do około 340 mln ludzi. Wciąż prawie 80 % pracujących to ofiary wyzysku i niesprawiedliwości.

Przynależność do jakiegokolwiek związku zawodowego była do niedawna równoznaczna z podpisaniem wyroku na samego siebie. Trzeba było pokonać barierę strachu, potem barierę nieufności do takich haseł jak „wolność, równość, sprawiedliwość", czy „prawa ludzkie". Szermowali nimi miejscowi kacykowie i Amerykanie, a od lat 60-tych komuniści. Obecnie w Ameryce Łacińskiej funkcjonują cztery podstawowe sektory związkowe:

– CLAT – związki skupiające robotników katolickich,
– CPUSTAL – związki marksistowskie, najsilniejsze,
– związki niezależne,
– ORIT – związki interamerykańskie; 80 % członków z USA i Kanady, 20 % z Ameryki Południowej, Środkowej i Karaibów.

CLAT, który powstał w grudniu 1954 na konferencji założycielskiej w Santiago de Chile, ma swą główną siedzibę w Caracas i jest afiliowany przy MOP-ie. Obecnie reprezentuje on przeszło 10 mln. robotników zrzeszonych w 120 tys. różnych branżowych związkach, kooperatywach, ligach rolnych, itp.

Najsilniejsze są związki marksistowskie, mają bowiem wielu aktywistów i pieniądze. Pieniądze przeznaczane są na akcje propagandowe, wypłaty dla pracowników etatowych, broń dla partyzantki (guerrilla) i na przekupstwa. Źródłem pieniędzy są składki członkowskie, ale lwia ich część pochodzi z ZSSR i jego wasali; tak samo zresztą jak broń, sprzęt radiowy, książki i czasopisma drukowane za granicą w języku hiszpańskim. W ten sposób latynoski związkowiec-marksista otrzymuje odpowiednio spreparowany, gotowy produkt przemyślań. Ma tylko mówić, odtwarzać, czego się wyuczył i dbać, by w gronie jego współtowarzyszy, nie narodziły się jakieś szkodliwe odchylenia. Działacz związkowy przemienia się w urzędasa pełnego biurokratycznej buty, tym bardziej, że często ma do czynienia z robotnikami będącymi analfabetami lub półanalfabetami. Taka propaganda, podlana antyamerykańskim sosem (wyzysk) a ostatnio, szczególnie od czasu pontyfikatu Jana Pawła II, antyreligijnym (religia – opium dla mas) ma kształtować świadomość robotników latynoskich. Gdyby tylko ich! Również chłopów i inteligencji. Ale o tym później.

POWSTANIE „SOLIDARNOŚCI"

było wielkim wstrząsem dla szeregu krajów Trzeciego Świata. Największym właśnie dla katolickich krajów latynoskich, gdzie wielu ludzi zawierzyło marksistowskiej teologii wyzwolenia od kapitalizmu i wstąpienia do komunistycznego raju. Siła i organizacja strajku w stoczni, w dodatku im. Lenina (z zatkniętym na bramie portretem Papieża); następne 16 miesięcy masowego ruchu społecznych rewindykacji, a potem stan wojenny uczyniły z Polski centrum zainteresowania. Polska stała się krajem znanym i popieranym choćby gestami przyjaźni, okazywanymi naszym rodakom w najzapadlejszych kątach świata. Dzięki reportażom TV obraz wydarzeń dotarł też do analfabetów.

Oczywiście nie wyobrażajmy sobie, że wszystkie TV państw latynoskich pokazywały skwapliwie strajk. Jednak w sumie większość prezydentów i dyktatorów powodowana różnymi przyczynami, zezwoliła na reportaże z Polski, używając ich jako straszaka antykomunistycznego. W miarę upływu czasu i rozwoju sytuacji, zaczęto wiadomości wyciszać. Program „Solidarności" stał się zbyt niebezpieczny. Jest to paradoks obustronny, bowiem pamiętam, że w latach 70-tych cenzura peerelowska nie zezwoliła na pokazanie paru filmów kubańskich uzasadniając, iż są zbyt rewolucyjne.

Nacisk poszedł z obu stron: z góry od dyktatorów i z dołu od... związkowców komunistycznych. Ale wieść o „Solidarności" rozeszła się szeroko i, jak powiedział dr J. Prince, „zachwiała wiarą w komunizm, w sens ideologii marksisto-

wsko-leninowskiej". O ile inwazja na Afganistan była wstrząsem „fizycznym", o tyle zdławienie „Solidarności" stało się wstrząsem „psychicznym". „Solidarność" utwierdziła wielu związkowców i demokratycznych polityków latynoskich w słuszności wyboru tzw. trzeciej drogi – ani kapitalizm, ani socjalizm w wydaniu sowieckim. Jose Prince tak określił najistotniejsze cechy „Solidarności" – dla latynoskiego ruchu związkowego i społecznego była ona:

1. Ruchem bardziej społecznym niż związkowym w jego tradycyjnym sensie.

2. Ruchem nie określającym się jako kapitalistyczny czy komunistyczny, niedogmatycznym.

3. Ruchem przywracającym sens i etykę pracy z głębokim poczuciem solidarności ludzi pracy. Najgłębsze znaczenie ma związek pomiędzy protestem społeczno-politycznym a zasadami chrześcijaństwa, co prowadzi do wyrzeczenia się przemocy, do zmian ewolucyjnych, mniej gwałtownych i bardziej trwałych niż rewolucyjne.

4. Koncepcją autonomiczną w stosunku do rządu i jednostek kierowniczych, prowadzącą do samorządności, pluralizmu, kontroli produkcji i nadzoru nad podziałem dochodu oraz współpracy z rządem przy rozwiązywaniu kryzysu.

5. Historycznym dowodem na to, że komunizm nie jest państwem robotników; ruchem przeciwko dogmatycznej i przestarzałej ideologii marksistowskiej; dowodem na początki upadku komunizmu, procesem, którego nie można powstrzymać.

6. Początkiem rozwoju nowego rodzaju społeczeństwa.

Ocena ta – przyznajmy – niezmiernie nam schlebia. Siedząc od wielu lat w solidarnościowym kotle chyba w większości straciliśmy trzeźwość sądów, nie potrafimy przyglądać się sobie samym. Wielu z nas ma skłonności do samooskarżania lub obwiniania innych. Ale także do zarozumiałego poczucia posłannictwa. Sądzę, że sześć punktów dr Prince uświadamia nam nie tyle, co dokonaliśmy, ale czego nie zdołaliśmy dokonać, cośmy zagubili, stracili lub niedopełnili.

Po pięciu latach, w sytuacji, gdy wielu z nas zostało brutalnie wypchniętych ze swej orbity, powoli zaczyna się rewizja utartych poglądów. Od wielu lat z podobnymi problemami borykają się emigranci latynoscy. W środowisku pisarzy na przykład, opisanie latynoskiego świata, stworzyło nową jakościowo literaturę. Ich dzieła (m. in. Marqueza, Cortazara, Donoso, Asturiasa) wpływać zaczęły na styl myślenia i działania opozycji. Ponadto w gęstwinie tropikalnego temperamentu, ekstatycznego przeżywania wszelkich zbiorowych wydarzeń – od meczu piłki nożnej do rewolucji – suto podlanych hurrapatriotycznym sosem, ostra rozprawa z mitami i zafałszowywaną rzeczywistością, pomaga w odnajdywaniu świadomości narodowej, w zachowywaniu nieco rozsądniejszych propozycji. W Ameryce Łacińskiej od wielu dziesiątków lat panuje permanentna sytuacja rewolucyjna, zawiniona w znacznym stopniu właśnie przez USA. Marksizm podsuwa uzasadnienie teoretyczne rewolucji, a reszta jest po prostu ordynarną manipulacją ZSSR. Kropka w kropkę podobną do tej po II wojnie światowej w stosunku do Europy Wschodniej i Środkowej. cdn.

O miłości wideo

„Elektronika" – jedyny oficjalny punkt sprzedaży kaset wideo w Moskwie – osadzony jest niepozornie na uboczu wielkiej budowli. To jednak nie onieśmiela klientów; każdego dnia przybywa ich tu setki, wnosząc ze sobą ślady wiosennego błota do wnętrza sklepu. Rzeczą, która ich zwabia, nie jest bynajmniej jakaś dogodna okazja zakupu konkretnego urządzenia, skoro żadne z takowych nie jest bezpośrednio dostępne. I bynajmniej nie przychodzą tu, aby obejrzeć jakiś film, bowiem filmów się tu nie prezentuje. Tłumy chętnych pragną po prostu rzucić okiem na stojący wewnątrz magnetowid. Ich wielkie zaciekawienie jest symptomem wideowego szaleństwa, ogarniającego dziś kraj, które tworzy dla wielu Sowietów swoiste okienko do spojrzenia na Zachód – w skali dotąd nie spotykanej.

Oficjalnie zaopatrzenie w taśmy wideo jest w wysokim stopniu ograniczone i sprowadza się do filmów sowieckich i z bloku wschodniego, dobranych po linii od Eisensteina (z klasycznym „Potiomkinem") do niegdysiejszego zdobywcy Oscara – „Moskwa nie wierzy w łzy". Ale w zaciszu swoich mieszkań coraz to więcej Rosjan ogląda filmy na zakazanych kasetach z Zachodu. „Przed okresem wideo oglądanie zachodnich filmów było dla nas czymś niezwykle trudnym – tłumaczy 28-letni inżynier – a teraz wpadamy do mieszkania przyjaciół i możemy obejrzeć wszystko, co tylko się pojawi".

Dziwić nieco może, iż wideo nie jest zakazane w ogóle: dotąd bowiem wszelka technologia, rozszerzająca przepływ informacji, była ściśle kontrolowana przez Kreml i to bez względu na rosnące wciąż koszta. Wskutek tego większość

sowieckich obywateli ma dziś niezwykle małe doświadczenie z popularnymi na Zachodzie kopiarkami czy komputerami. I tak, jeśli ktoś chce skopiować konkretny materiał na jakiejś rzadko spotykanej w kraju kopiarce, musi wpierw zapytać o zgodę. I gdy prośba rozpatrzona zostanie pozytywnie, człowiek niesie swe dokumenty do specjalnie strzeżonego pomieszczenia, gdzie operatorzy kopiują mu dany materiał.

Zakupy w największych domach handlowych, takich jak moskiewski dom towarowy GUM są ciągle jeszcze częściowo podliczane na drewnianych liczydłach. Ponadto – wbrew wypowiadanym przez M. Gorbaczowa twierdzeniom o rozpowszechnianiu dobrodziejstw komputerowych w coraz szerszych kręgach – komputery sowieckie przydzielane są tylko władzom, instytucjom w przemyśle i nauce.

„Warta śmiechu sytuacja – mówi jeden z dziennikarzy sowieckich – póki władza nie zgodzi się na rozpowszechnianie przepływu zwykłej informacji dzięki wideo, komputerom i kopiarkom, będziemy musieli trwać w miejscu, w którym znajdujemy się dzisiaj – coraz bardziej w tyle za Zachodem".

Jest więc czymś zadziwiającym, że wideo jest w ogóle rozpowszechniane. Z początku, kiedy z końcem lat 70-tych pojawiło się w ZSSR, było urządzeniem zakazanym – najwidoczniej dlatego, że widziano w nim nową zachodnią próbę podkopywania państwowego monopolu informacji. Wbrew tym zakazom czarny rynek, zasilany przez uprzywilejowanych podróżników-dyplomatów i przedstawicieli handlu, mogących kupować magnetowidy i kasety wideo na Zachodzie, zaczął się gwałtownie rozwijać. Magnetowid np. przynosił dochód w wysokości 5000 dolarów, a ceny filmów pornograficznych i „horrorów" – zdecydowanie zwalczanych w ZSSR – sięgały nawet 625 dolarów za kasetę. W ten sposób wielu właścicieli magnetowidów wkroczyło w krąg biznesu, pobierając za oglądanie filmów w swych mieszkaniach opłaty od 5 do 15 dolarów od osoby.

Podziemny handel wideo sprawił, że modne urządzenia stawały się coraz bardziej kuszące. Ostatecznie i władza zmieniła punkt zapatrywania na sprawę; ogłosiła wręcz w zeszłym roku plan produkcji na 15 lat, który przewiduje 60 tys. magnetowidów rocznie do roku 1990 oraz 120 tys. do roku 2000. Władza otworzyła także własne punkty wypożyczania filmów o pozytywnym zabarwieniu ideologicznym. Być może, najbardziej nowoczesnym spośród dwunastu krajowych „wideosalonów" jest ten na jednej z historycznych arterii Moskwy – Arbacie. Pulsujące w stylu disco światła, tętniące nad wejściem, każdego dnia tłum ustawionych frontem do okien pomieszczenia klientów dokonujących przeglądu kaset w ulubionych okładkach: z jakimś karykaturalnym rysunkiem albo też z portretem popularnego piosenkarza. Kasety krajowe wypożycza się w tym sklepie na 24 godziny po cenie 2,5 dolara, natomiast filmów zachodnich, jak dotąd brak na składzie: biurokraci ministerialni nie określili jeszcze dla nich cen.

W przeciwieństwie do rynku państwowego, czarny rynek wideo ciągle się rozrasta; jedną z przyczyn jest kiepskie zaopatrzenie oraz marna jakość „państwowego" sprzętu – tak samo jak wielu innych urządzeń produkcji konsumpcyjnej w ZSSR. Na magnetowid (cena wartości 1500 dol.) zamówiony w „Elektronice" wraz z 14 calowym telewizorem (cena 494 dol.), trzeba czekać 6 miesięcy albo i dłużej. Czyste kasety (wartość

w USA 5 dol.) sprzedawane są w moskiewskim salonie po ok. 60 dol. Ceny kaset z popularnymi filmami sięgają i 125 dol.

Czarny rynek jest jeszcze droższy. Za niektóre importowane filmy na kasetach wideo płaci się tu do 370 dol.; czysta kaseta zagraniczna kosztuje 85 dol., a popularne filmy jak „Ojciec chrzestny" czy też nagrany koncert „Live aid" sięgają wartości 200 dolarów. Dla większości obywateli sowieckich, zarabiających średnio 210 dol. * miesięcznie, ceny są nieprzystępne, a mimo tego obce rozmaitości są zwykle chętniej widziane niż krajowy sprzęt, gdyż „Elektronika VM12" – jedyny dziś magnetowid produkowany w ZSSR – nie nadaje się do odtwarzania taśm zagranicznych. W odpowiedzi na ów problem podziemny rynek wideo proponuje starszy model tej samej firmy, taki, który odtwarza większość zachodnich kaset. Osoba znająca biegle język obcy może dziś zarobić i 60 dolarów za symultaniczne tłumaczenie dialogów.

Nic nie wskazuje na to, że wideo-rewolucja osłabnie. *Niedziela* – świąteczny tygodniowy dodatek do gazety *Izwiestja* rozpoczął w roku ubiegłym publikację regularnej wideo-kolumny. Ale na ile w ostateczności cały „ruchu wideo" rozwinie się, zależy wyłącznie od sowieckiej władzy. Ostatnio np. szef KGB tow. Czerbikow ostrzegał na zjeździe KPZS, że technologia wideo „używana jest do rozsiewania zupełnie obcych nam idei". I jego obawy były nie bezpodstawne; pewna gospodyni z Moskwy wykrzyknęła po tajnej projekcji filmu amerykańskiej telewizji „First blood": „Nie mogę wprost uwierzyć w te kuchnie; czy naprawdę wszystkie amerykańskie kobiety posiadają tak wspaniałe kuchnie?!"

Podobnych komentarzy Kreml wolałby akurat nie słyszeć.

Time, 31 marca 1986 (abest)

* Autor z „Time'a" stosuje przelicznik 1 dol. – 0,8 rubla, by uzmysłowić amerykańskiemu czytelnikowi sowieckie relacje cen.

Krystyna Grzybowska

Londyn i reszta świata

Część II

Jestem już na Kontynencie, który przez mieszkańców Wielkiej Brytanii nazywany jest dla odróżnienia po prostu kontynentem. Wszystko co nie brytyjskie, a znajduje się w Europie, nazywane jest kontynentalnym. Kontynentalne jest jedzenie, moda, a także wagi, miary itp. Tak więc kupienie obuwia w angielskim magazynie wymaga nie lada sprytu i dociekliwości. Trzydziesty szósty, oświadczam i dostaję coś w rodzaju kajaka dla olbrzymki. Podobnie z rozmiarem sukni i wszelkich innych składników ubioru.

Jest to jednak do pokonania. Niektóre bowiem domy towarowe jak np. Marx and Spencer, w którym jak sama nazwa wskazuje, zaopatruje się proletariat, wprowadziły już miary kontynentalne i można na metce odczytać oznakowanie dla Brytyjczyków oraz drugie, dla tych z kontynentu. Marx i Spencer wprowadził też do swojego działu spożywczego artykuły nadające się do jedzenia i są one kontynentalne.

Zupełnie jednak bez sensu jest próbowanie gotowania według angielskich receptur. Są one podawane wyłącznie w miarach i wagach angielskich. Bardzo więc pocieszny jest przepis lansowany przez telewizję na osławiony angielski pudding bożonarodzeniowy. Płyny dodajemy w pintach, inne składniki w funtach albo uncjach itp. Gdyby nawet w stopach albo jardach, nie ma to dla człowieka żadnego znaczenia. I tak nie da sobie rady. Już zrobienie galaretki owocowej dla dziecka jest wyższą szkołą jazdy. Trzeba bowiem najpierw dodać pół pinty zagotowanej wody, a potem jedną czawrtą pinty, ale zimnej. W sprawach miary objętości mogę tylko jedno z całą pewnością stwierdzić – piwo w pubie kupuje się na pinty (pinta – czytaj paint) i są to olbrzymie kufle. Ile mierzy pinta, niestety nie wiem do dziś.

Najgorsze jest pierwsze 10 lat

powiedział nam pewien polonijny dziennikarz z Londynu, kiedy wybieraliśmy się na wyspę, z zamiarem spędzenia tam reszty życia. I ja się z tym zgadzam. Pytanie tylko, czy przez te dziesięć lat trzeba się przestawić na angielski sposób myślenia i widzenia świata w całości, czy też można choć w części zachować swoją kontynentalną osobowość?

Wydaje się, tak przynajmniej wynika z moich obserwacji outsidera (moje kontakty ze środowiskiem polonijnym były z wyboru bardzo ograniczone choć przyjazne), że przez te dziesięć lat znacznie łatwiej było przebrnąć emigracji wojennej, choć jej sytuacja materialna na samym początku była w większości przypadków niezwykle ciężka. Jej przedstawiciele znaleźli się w Wielkiej Brytanii w czasie działań wojennych lub zaraz po woj-

nie. Zbombardowany w znacznej części Londyn, ciężkie warunki życia wielu mieszkańców, którzy nierzadko również zaczynali jak i nasi rodacy życie od nowa, dawały poczucie równowagi. Ponadto wówczas rząd brytyjski i wiele organizacji społecznych pamiętały, że Polacy to i owo dla obrony Wielkiej Brytanii zrobili.

Największym problemem była bariera językowa. Nie dziwi mnie zatem, że – jak powiedział pewien działacz emigracyjny – „po wojnie polscy generałowie myli klozety", bo prawdopodobnie umieli być tylko generałami. Równocześnie organizowały się polskie placówki kulturalne, powstawały pisma i było radio BBC. Był rząd, który wówczas miał znacznie większe nadzieje na odzyskanie niepodległości przez Polskę niż ma dziś. Zresztą łatwiej jest mieć taką nadzieję, jak się nie zna Polski Ludowej osobiście.

Ale nie w tym rzecz. Po wojnie znalazło się w Wielkiej Brytanii, a przede wszystkim w Londynie wielu Polaków naraz. Wszyscy byli żołnierzami, wszystkich, a przynajmniej większość łączyło braterstwo broni i wspólne przeżycia nie tylko frontowe, ale także tułaczkowe na Syberii, w Kazachstanie, w Persji, Palestynie i gdzie tam jeszcze.

Uważam, że było to czynnikiem integrującym ówczesną, z gruntu polityczną emigrację, wynikiem pozytywnym. Zapewne może mi ktoś wytoczyć koronny argument, że „myśmy walczyli za Ojczyznę", „nasze dzieci ginęły jak muchy na Syberii" itd. itp. Wszystko to wiem, mogę o tym codziennie przeczytać w londyńskim *Dzienniku Polskim* i do tych wszystkich przeżyć odnoszę się z najwyższym szacunkiem. Do dziś nie mogę doszukać się mojej rodziny na Syberii i w Kazachstanie, a ponadto jestem obciążona tym wszystkim, czego starsi rodacy – emigranci nie przeżyli nigdy. Blisko czterdziestoma latami życia w kraju komunistycznym.

I to jest to, co nas zasadniczo dzieli, polityczną emigrację wojenną i polityczną emigrację po stanie wojennym. A szczególnie jest to widoczne w Londynie, w polskim Londynie. Choćbyśmy nie wiem jak starali się nawzajem zrozumieć, nie dojdziemy do porozumienia we wszystkich kwestiach. I myślę, że nie różnica wieku jest tu istotna, ale różnica doświadczeń.

Żyć w demokracji

pragnie każdy normalny człowiek, nawet ten, kto urodził się i wychował w totalitarnym ustroju komunistycznym lub podobnym, tylko innym z nazwy, faszystowskim. Rzecz tylko w tym, że niektórzy życia w demokracji muszą się dopiero uczyć, a nauki pobierają w wieku dojrzałym, czasem za późno. Emigranci polityczni czasu wojny praktycznie nie przestali żyć w demokracji, uchodźcy z PRL znali ją tylko ze słyszenia.

Wielka Brytania przyjęła bardzo niewielu solidarnościowców; takie są przepisy i w efekcie nowa emigracja polityczna jest bardzo nieliczna. Nie mówię tu o emigracji ekonomicznej, która napływa stopniowo i nie ma aspiracji wpływania na działalność polityczną, kulturalną czy propagandową środowiska polskiego w Londynie. Powstała zatem paradoksalna sytuacja, mimo dopływu świeżej inteligenckiej krwi, nadal wszystkie stanowiska w instytucjach politycznych, społecznych i kulturalnych zajmuje emigracja stara, wojenna. Nierzadko osoby już w sędziwym wieku. Dla tej nielicznej grupy polskich inteligentów z „Solidarności" nie zwalniają się właściwie żadne miejsca, poza zupełnie podrzędnymi. Stara emigracja żyje własnym życiem jakby nie pojmując, że nie może trwać ono wiecznie i że trzeba komuś ten niezaprzeczalny dorobek przekazać.

Emigranci z czasów wojny mają dzieci, ale dzieci te nie bardzo chcą być spadkobiercami polskiego Londynu. Kończą angielskie szkoły, integrują się ze społeczeństwem brytyjskim i to im najbardziej odpowiada. Sentyment do Polski mają taki sam jak wszyscy Polacy w drugim i trzecim pokoleniu, czyli – odświętny. I to jest naturalne. Są już tylko Brytyjczykami polskiego pochodzenia. Wychodzą z polskiego getta. Na to nie ma rady.

Nie umieją zrobić bigosu, a na śniadanie jadają fasolę z sosem pomidorowym i dżem.

Stara emigracja, powiedzmy to szczerze, żyje wspomnieniami. Spotyka się ze sobą w kręgach towarzyskich „na łamaniu opłatka w czasie Wielkanocy i dzieleniu się jajkiem w październiku" – jak mi dowcipnie powiedziała jedna z dziennikarek polskiej sekcji BBC. O wszystkim tym pisze się w rozkładówce londyńskiego *Dziennika Polskiego*, którą można z powodzeniem nazwać kroniką towarzyską starej emigracji. Może malkontentów razić, że aż dwie szpalty poświęca się informacjom, że panna Irenka dostała się na wyższe studia i z tego powodu rodzice urządzili jej wielką fetę albo że inna panienka po prostu wyszła za mąż. Uważam, że ta kolumna integruje w jakiś sposób polskie uchodźstwo, a równocześnie jest barwnym obrazkiem emigracyjnej obyczajowości. Emigracja najnowsza nie ogłasza się w tej kolumnie, dla niej bowiem polski Londyn to na razie próba urządzenia sobie życia, zapewnienia stabilizacji, znalezienia pracy.

Emigracja czasu wojny jest organizacyjnie dość rozproszona. Działa w Londynie niezliczona ilość kół, stowarzyszeń itp. Tylko Londyn może pochwalić się aż dwoma polskimi teatrami zawodowymi, które „wychodzą na swoje", imponującym gmachem POSK, który skupia większość działań społeczno-kulturalnych, Polską Macierzą

Szkolną obsługującą polonijne szkolnictwo na całym świecie (podręczniki, organizacja szkół, wydawnictwa), w Londynie wychodzi polska gazeta codzienna plus coraz lepiej redagowany sobotnio-niedzielny *Tygodnik Polski*. Ten optymistyczny obraz muszę jednak zamącić istotnym zastrzeżeniem. Otóż razi mnie i nie tylko mnie, ale najnowszą emigrację w ogóle staroświeckość metod i sposobów krzewienia polskości. Wciąż jeszcze zarówno podręczniki szkolne, jak i imprezy artystyczne opierają się na dziełach sprzed wojny, razi nierzadko język, choć piękny i polski, jednak nie podlegający zmianom, nie czerpiący z żywego używanego dziś w kraju języka codziennego. Nie mam na myśli nowomowy broń Boże, ale język współczesnego pisarstwa powstającego w Polsce, oczywiście pisarstwa dobrego.

Czy emigracja polska w Londynie jest zamożna? Zupełnie nie. Nie można jej nawet porównać z emigracją amerykańską, która po pierwsze rekrutuje się głównie z kilkupokoleniowego już wychodźstwa zarobkowego, a po drugie żyje w kraju ekonomicznie szczególnie prężnym i nastawionym na słynne amerykańskie „positive thinking". Polacy w Anglii żyją na ogół skromnie i nie dorabiają się wielkich majątków. Nie słyszałam o polskich milionerach, aczkolwiek szumnie ogłaszał się w *Dzienniku* pewien pan polskiego pochodzenia, który dostał nagrodę pani premier za produkcję kurtek żeglarskich. Czy jest milionerem, nie wiem. W każdym razie warunki życia w Wielkiej Brytanii, a w Londynie szczególnie (najdroższe miasto w Anglii i jedno z najdroższych w Europie) są ostatnio ciężkie. Minęły już czasy, kiedy za dwie roczne pensje można było kupić sobie dom. Dziś mikroskopijne mieszkanko w bloku o nowoczesnym standardzie kosztuje ponad 40 tysięcy funtów. System pożyczek wprawdzie kupno ułatwia, ale trudno mi sobie wyobrazić emigranta zarobkującego w polskiej instytucji kulturalnej, który kupuje dom i spłaca miesięcznie 500 funtów pożyczki utrzymując jednocześnie całą rodzinę. Znacznie lepiej radzą sobie oczywiście dzieci i wnuki starej emigracji, wychowane i wykształcone w Anglii, dla których język angielski nie jest mową tajemną. Niestety Polacy w Londynie mówią po angielsku na ogół fatalnie, a bez dobrej znajomości języka nie sposób znaleźć dobrze płatnej pracy. Pozostaje praca fizyczna, kelnerowanie w polskich restauracjach, zmywanie naczyń lub inne tego typu zajęcia. Ci, którzy żyją z zasiłku socjalnego skazani są na wybieranie między makaronem z sosem pomidorowym a kawałkiem dorsza z frytkami. Obserwowałam przez jakiś czas młode małżeństwo, które przez blisko rok nie mogło sobie pozwolić na kupno obuwia, a na obiad jadło ryż z niczym, zimą zaś owijali się w kołdrę, bo włączenie elektrycznego piecyka zrujnowałoby ich doszczętnie. Na szczęście jedno z nich dostało pracę i mogli trochę odetchnąć.

W cieniu kolumny Nelsona

żyje się trochę jakby w zacukaniu. Jak wiadomo Brytyjczycy są nie tylko szczelnie odizolowani od cudzoziemców, ale odnoszą się do nich z uprzejmą wyższością, jeżeli nie pogardą. Trochę się to zmieniło w młodym pokoleniu, ale wyrasta ono z wieku młodzieńczego i potem zachowuje się podobnie jak starsi. Mieszkańcy Albionu uważają jak jeden mąż, mimo inflacji, ubożenia społeczeństwa oraz innych niedostatków, że być British Subject (brytyjskim poddanym) to coś nadzwyczajnego i że cudzoziemcy powinni do tego „tytułu" dążyć ze wszystkich sił. Dla mnie, ale też i dla wielu innych rodaków, którzy przybyli do tego kraju z PRL-u jest to niezrozumiałe, a nawet śmieszne. Brytyjskie imperium już nie istnieje, królowa wraz z przyległościami jest co najwyżej atrakcją turystyczną dla Amerykanów. Tymczasem liczni rodacy odczuwają dumę z posiadania obywatelstwa brytyjskiego, niewspółmierną do ich materialnego i społecznego położenia.

Aby być prawdziwym British Subject, trzeba przestawić się na brytyjski system myślenia i sposób bycia. Trzeba nie tylko zaakceptować najgorszą kuchnię świata i na dodatek codziennie ją spożywać, trzeba poczuć się cząstką tego nie istniejącego imperium i zacząć odczuwać coś w rodzaju wyższości nad tymi emigrantami, których los rzucił do innych krajów. Na przykład do RFN. Niemcy Zachodnie dla wielu rodaków, byłych żołnierzy są krajem nie do zaakceptowania. I po części to rozumiem. Czasy hitlerowskie są dla nich wciąż żywym wspomnieniem. Ale nie jest to jedyny argument. Na wyspach brytyjskich uważa się, że Anglicy stoją na znacznie wyższym poziomie umysłowym, kulturalnym itd. niż Niemcy i inne narody. Niedawno zetknęłam się w RFN-owskiej telewizji z interesującym spostrzeżeniem pewnej Niemki, która stwierdziła, że stacjonujący w Nadrenii-Westfalii brytyjscy żołnierze i ich rodziny okazują Niemcom swoją wyższość i arogancję, sami zachowując się bardzo rozmaicie.

Ta kulturalna Anglia słynęła z handlu czarnymi niewolnikami, zniewalania Hindusów i Chińczyków, w swojej imperialnej ekspansji zostawiała za sobą trupy, nędzę i poniżenie. Jakoś nikt o tym w Anglii nie mówi, a w filmach o czasach kolonialnych pokazuje się wytwornych oficerów i sztywne damy pełne szlachetnych uczuć dla poddanych.

W bezkrytycznym akceptowaniu oraz chwaleniu królestwa brytyjskiego przez Polaków objawiają się nasze odwieczne kompleksy, poczucie niższości, mniejszej wartości i izolacji. Wyrwać się z tego mogą tylko potomkowie emigrantów w dru-

gim i trzecim pokoleniu. Ci, którzy urodzili się w Polsce (z niewielkimi wyjątkami) skazani są na getto i życie wśród swoich. Znam więc przypadki osób, które właściwie w ogóle nie muszą używać języka angielskiego. Poza kilkoma zwrotami potrzebnymi w czasie zakupów. Polski Ealing czy Chiswick (nazywany też czyżykiem) daje poczucie bezpieczeństwa i pewność, że człowiek nie zginie w morzu angielskiego żywiołu.

Trzeba być jednak człowiekiem o wyjątkowym charakterze, aby przechodząc na angielskość odciąć się od tego wszystkiego, co wskazuje na słowiańskie pochodzenie. Hindus i Murzyn nie mają takich problemów. Choćby się nie wiem jak wysilali, gołym okiem widać, że są nietutejsi. Polak właściwie ma wszystkie zadatki na Brytyjczyka, ale specyficzne obciążenia obyczajowe, upiorny twardy nadwiślański akcent, a i nietypowy temperament i inny sposób życia czynią go wciąż niepełnowartościowym spadkobiercą wielkiej kultury imperialnej.

Wciąż jeszcze ciągną do Anglii nowi emigranci z PRL. Mają tu rodziny, krewnych, znajomych. Pełni nadziei i złudzeń po nacieszeniu się sklepami, rozpoczynają trudne życie na londyńskim bruku.

Dwie emigracje, stara i nowa. Dwa światy, które nie przystają do siebie. Nawzajem się krytykują, a czasem wręcz zwalczają. Polskie piekło istnieje i tu w plotkach, pomówieniach i zawiściach. Nie da się uniknąć uczestniczenia w tym wszystkim, jeżeli chce się żyć w polskim Londynie. Są Polacy razem, a jednocześnie osobno. Kiedy „Solidarity with Solidarity" organizuje jakąś demonstrację, trudno zebrać więcej niż kilkadziesiąt osób. I to pośród stutysięcznego wychodźstwa. Nie włączają się do demonstracji ci, którzy chcą zachować swój paszport konsularny i cała emigracja ekonomiczna. Starsi nie mają już często siły. Nowa emigracja polityczna jest niewielka. Nie jest w stanie obsłużyć wszystkich imprez, skłopotana trudnościami materialnymi i niepewnością jutra.

Mimo wszystko jednak polski Londyn trwa. Kiedy odejdą najstarsi, zmieni się oblicze emigracji, na to nie ma rady. Chodzi tylko o to, żeby nie na gorsze. Szkoda byłoby tego wszystkiego, co stworzyła emigracja wojenna i co stanowi olbrzymi dorobek nie tylko Polonii brytyjskiej, ale i polskiej kultury. ■

Pieczeń rzymska

BEZ ŁADU BEZ SKŁADU

1.

Do nowej, jak zawsze u Andrzeja Brychta zapinanej na męską stronę powieści *Zmienna ogniskowa* (*Twórczość*, styczeń 1986) dorwał się krawiec cenzury. W ruch poszły nożyczki, równie tępe, jak ten, co nimi włada, i w literackim dziele wychapano aż pięć dziur. Współczujemy autorowi, który, mimo że jest jeszcze za granicą, chce być w kraju czytanym autorem. I zaraz potem – biegiem do dokumentu, na podstawie którego autora wykastrowano. Pięć razy bowiem w *Zmiennej ogniskowej* zamiast jego słów własnych, czytamy: „Ustawa z dnia 31 VII 1981 r., O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt 8". Myślicie, że to jakaś polityczna nieprawomyślność emigracyjnego autora? Nic podobnego; cytowany przez krawca artykuł i punkt mówią zgoła co innego. Oto one: „Korzystając z wolności słowa i druku w publikacjach i widowiskach, nie można: (pkt 8) naruszać uczuć religijnych i uczuć osób niewierzących". Kiedy poznawszy intencje cenzora powracamy do powieści Brychta, rozumiemy od razu, że próbował on np. natrząsać się z Matki Bożej (s. 29), demaskować kuglarskie sztuczki stanu kapłańskiego (s. 40), wyszydzać hierarchię Kościoła katolickiego (s. 55), nie cofając się przed obrazą samego Papieża (nieobecnego zresztą, data powstania powieści oraz opisane wydarzenia pozwalają domyślać się, że ofiarą był Paweł VI), wreszcie opisać dokładnie, jakie to nieprzystojne czynności wykonywali zakonnicy, poświęcający się edukacji młodzieży męskiej (s. 58).

To bardzo ładnie, to wręcz wzruszające, że legislator postarał się położyć tamę takim wszeteczeństwom i ocalić oko czytelnika powieści Brychta przed tym wszystkim, co mogłoby obrazić uczucia religijne prenumeratora *Twórczości* (pisma nie ma w wolnej sprzedaży). Tylko że brzmi to dosyć absurdalnie w kraju, gdzie ludzie będący u tzw. władzy, nie wdając się w teologiczne dysputy ani z ciemnym narodem, ani z chmarą unoszących się nad nim „szamanów" (tak Brycht oryginalnie nazywa księży katolickich), oskarżają Kościół-instytucję nieomal o zdradę interesów narodowych, nie wahają się przyłożyć nawet Papieżowi (nie dawnemu, ale temu rodem z Wadowic, z którego tak są dumni na rautach w ONZ-ecie), w końcu nie tracąc kontroli nad publikacjami czy wydawnictwami, ile raczej po

prostu „wychodząc z nerw", zabijają jednego z szamanów w lesie koło Torunia...

Te same nożyczki wycinają nazwisko księdza Popiełuszki i Brychtowskie dosadności; raz chodzi o bezpieczeństwo państwa i nienaruszalność sojuszów, kiedy indziej o ochronę uczuć religijnych narodu. Widocznie zmieniają się ludzie przy nożyczkach.

2.

Jerzy Kuberski, po oszałamiających sukcesach w oświacie i wychowaniu, zaopatrzony w kindersztubę i szyty na ludzką miarę garnitur, wylądował w Rzymie i podjął rozmowy z Watykanem. Jest dziś kierownikiem grupy roboczej czy czegoś w tym rodzaju do spraw stałych kontaktów ze Stolicą Apostolską; podobnie jak jego pan, przebiera nogami, by te stosunki zostały zalegalizowane, by przestał to być konkubinat, by PRL stanął dumnie obok Stolicy Piotrowej, a nie musiał się kryć gdzieś w krzakach przy Via Rubens (siedziba ambasady przy Kwirynale). Kuberskiego, który na czas nieposiadania tytułu ambasadora, używa imienia „minister", zobaczyć można na wszystkich mniej lub bardziej ważnych imprezach w Watykanie. Zazwyczaj siedzi w pierwszym rzędzie – jakby nie było jest rodakiem Papieża. Pamięta o tym on sam, Kuberski, nie Papież, ale pamiętać muszą i inni, bo jakby to było inaczej możliwe, by podczas uroczystej mszy wielkanocnej, w niedzielę 30 marca tego roku, znalazł się na wyciągnięcie dłoni od George'a Schultza, amerykańskiego sekretarza stanu, co widzieliśmy w telewizji na własne oczy i o mało nas szlag nie trafił, ale się opanowaliśmy na myśl, że nazajutrz był lany poniedziałek, a potem prima aprilis, więc minister nie będzie już o tym pamiętał, gdy się zbudzi z pracowitego snu, w pierwszej chwili mając okropne wrażenie, wrażenie, że jest znów nad brudną Wisełką i będzie musiał zaraz gonić do szkoły.

3.

Ataków na Dom Polski w Rzymie było, to prawda, kilka. Nigdy jednak nie doszło jakoś do szarży, bo jak pisze w *Tygodniku Powszechnym* (2 marca br.) jego dyrektor, ks. Michał Jagosz, odwiedziło Dom w 1985 roku 6849 osób, zaś Pracownię Ośrodka Dokumentacji Pontyfikatu Jana Pawła II w Rzymie, jak brzmi pełna nazwa, a my nie boimy się pełnych nazw, tylko trzysta sześć osób. Jedna z nich, ks. Stanisław Pamuła, weszła do Ośrodka magistrem, a wyszła doktorem (czy aby tymi samymi drzwiami?). Jak informuje ks. Jagosz, ks. Pamuła „napisał pracę doktorską o polskiej edycji *Osservatore Romano*. Pismo to, o ile prawdziwa jest wieść gminna, ukazuje się w nakładzie przekraczającym sto tysięcy egzemplarzy; ciekawe, czy któremuś z prenumeratorów udało się na podstawie pilnej lektury pisma dostać przynajmniej małą maturę? Patrząc na nich z wyżyn swego honorowego doktoratu, Sordello nie ukrywa obaw o stołek dziekański: ks. Pamuła nie zadowoli się pewnie zdobytą wiedzą, nie po to przyjechał do Rzymu...

4.

Właśnie, po co przyjeżdżają do Rzymu całe zastępy polskich księży? Uczyć się, podciągać, wygładzać, sublimować – i co jeszcze? Mówią mi, że w Ostii, gdzie jest niewielkie polskie skupisko, uchodźcy w drodze przez Atlantyk patrzą na morze, przyzwyczajają się do widoku wody, że ich tam w kozi róg zapędza od czasu do czasu odwiedzający inną narodowościową grupę pastor baptystów. On na religii katolickiej zna się tak jak oni, jak szewc na fortepianie, ale za to jest wygadany. Do Ostii nie przyjeżdża żaden polski ksiądz, ani z Rzymu, ani tym bardziej z Warszawy, zaś statystyki mówią, cicho acz uczenie, że w USA najliczniejszą grupą wyznaniową są właśnie baptyści. Ostia to zatem takie małe Waterloo polskiego katolicyzmu. Tylko – dlaczego?

SORDELLO

WZNOWIENIE
W. M. ALEXANDER
AGENTURA. PAŃSTWO POLICYJNE
CENA DM 12,–
DO NABYCIA W REDAKCJI „POGLĄDU"
ORAZ W KSIĘGARNIACH POLSKICH NA ZACHODZIE

notatki

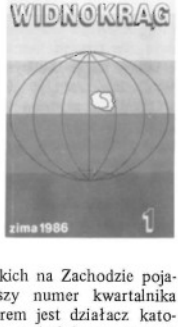

NOWY KWARTALNIK

Na półkach księgarskich na Zachodzie pojawił się ostatnio pierwszy numer kwartalnika *Widnokrąg*. Jego redaktorem jest działacz katolicki Bohdan Cywiński, a periodyk ukazuje się – jak wynika z podanej na pierwszej stronie informacji w Bazylei, Warszawie i Londynie. W słowie wstępnym od redaktora czytamy między innymi: „Decydując się (...) na wysiłek powołania do życia jeszcze jednego periodyku, trzeba mieć przekonanie, że może się on okazać potrzebny, że może zapełnić jakąś lukę (...). Moje przekonanie o takiej szansie tego pisma wynika przede wszystkim z analizy i oceny tego, co dzieje się w kraju. (...) Założeniem jego jest współmyślenie i współdziałanie tych, co są w kraju, z tymi, co w wyniku naszej zupełnie najnowszej historii znaleźli się – jak niżej podpisany – na niespodziewanej nigdy emigracji".

W pierwszym numerze *Widnokręgu* znajdujemy m. in. rozmowę z sekretarzem generalnym Światowej Organizacji Pracy, Janem Kułakowskim i pracowniczką Biura Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność" za Granicą, Joanną Pilarską. Ponadto referat pióra Zdzisława Najdera nt. *Co kultura polska może dzisiaj dać światu*, jak także materiały z ankiety ukraińskiego kwartalnika emigracyjnego *Widnowa* na temat stosunków polsko-ukraińskich.

Pod względem zawartości pierwszy numer *Widnokręgu* (pisma ukazującego się jednocześnie po polsku, jak i po angielsku) zdaje się być szukaniem kompromisu między wydawanymi już na Zachodzie *Aneksem* a *Libertasem*. Czy *Widnokrąg* jest naprawdę potrzebny i czy przetrwa – pokaże czas. (zet)

ESEJE ZAGAJEWSKIEGO PO NIEMIECKU

Zachodnioniemieckie wydawnictwo „Hanser" opublikowało zbiór pięciu esejów Adama Zagajewskiego pod wspólnym tytułem *Solidarität und Einsamkeit* („Solidarność i samotność"). Eseje te, z których cztery ukazały się wcześniej w paryskim kwartalniku *Zeszyty Literackie*, są wyrazem poszukiwań – mieszkającego stale na Zachodzie Zagajewskiego – nowej formuły dla nazwania miejsca polskiego intelektualisty we współczesnym świecie. Co szczególnie w nich cenne, to spojrzenie z dystansem na polską rzeczywistość, która nie może pozostać bez wpływu na kształt tożsamości każdego twórcy pozostającego w jakimkolwiek z nią związku. Zbiór ten może być ciekawą lekturą dla czytelnika niemieckiego, ponieważ przełamuje jednoznaczny i jednowymiarowy schemat interpretacji wydarzeń w Polsce, porusza kwestie indywidualizmu i autonomii twórcy usytuowanego w obrębie ogromnego ruchu społecznego i zwraca uwagę na tkwiące w takiej sytuacji niebezpieczeństwa. Już przecież sam tytuł – *Solidarność i samotność* zawiera w sobie prowokacyjną antynomię. Wszystkie zresztą eseje zebrane w tym tomie są w jakimś sensie prowokujące do innego myślenia na tematy, które – wydawałoby się – zostały raz na zawsze jednoznacznie ocenione.

Całość przełożył na język niemiecki Olaf Kühl. Zabrakło w tomie jednak niezbędnych – jak się zdaje dla niemieckiego czytelnika – przypisów. Zagajewski – mimo całej uniwersalności swej eseistyki – stosuje często skróty myślowe; wymienia jednym tchem na przykład Brzozowskiego, Wykę, Kijowskiego czy Tischnera, pisze o „Świecie nie przedstawionym" i o „Kuźnicy". I chyba nie znajdzie się tak dociekliwy czytelnik niemiecki, który odczyta właściwie te wszystkie „hasła". A szkoda.

Tom *Solidarność i samotność* ukazał się już w języku francuskim, a w najbliższym czasie wydany zostanie również po polsku jako pierwsza książka opublikowana nakładem *Zeszytów Literackich*. (ec)

KRONIKA EMIGRACYJNA

KONFERENCJA ORGANIZACJI PRO-SOLIDARNOŚCIOWYCH Z TERENU KANADY

W dniach 5-6 kwietnia 1986 roku z inicjatywy Polskiego Ugrupowania Polityczno-Społecznego „Niepodległość-Solidarność" w Calgary, Alberta, odbyła się w miejscowym Domu Polskim – Konferencja Organizacji Pro-Solidarnościowych z terenu całej Kanady. Organizatorzy Konferencji zaprosili również Kierownika Biura Informacyjnego „Solidarność" w Kanadzie – Wojciecha Gilewskiego z Toronto, oraz Andrzeja Błaszczyńskiego z New Britain, Connecticut (USA), moderatora CSSA – Conference of Solidarity Support Organizations (Światowego Stowarzyszenia Organizacji Pro-Solidarnościowych).

Przybyli też przedstawiciele Związków Zawodowych C.L.C. z Ontario, Kanady, oraz A.F.L. – C.I.O. z Idaho (USA).

Oczywiście najważniejszymi „gośćmi" tej Konferencji były delegacje poszczególnych Organizacji Pro-Solidarnościowych z terenu Kanady.

Przybyli przedstawiciele:

– Grupy Działania na rzecz Solidarności w Montrealu,

– Polish Canadian Action Group z Toronto,

– Przyjaciele Solidarności z Kitchner,

– Polskiego Ugrupowania Polityczno-Społecznego „Niepodległość-Solidarność" w Calgary,

– Organizacji „Solidarność Emigracji-Emigracja Solidarności" z Edmonton,

– Towarzystwa Przyjaciół Solidarności z Vancouver, oraz w charakterze obserwatora nieformalna jeszcze grupa przyjaciół „Solidarności" z Red Deer, Alberta.

Mimo zaproszenia nie przybyli przedstawiciele Stowarzyszenia Solidarności z Winnipeg.

Obrady Konferencji w zasadzie skupiły jej uczestników wokół jednego tematu – Co można zrobić razem – wspólnie, aby bardziej efektywnie pomóc „Solidarności" w kraju, a także opozycji demokratycznej w Polsce?

Poszczególne organizacje przedstawiły swój dotychczasowy dorobek, a także zamierzenia na przyszłość. Omówiono formy wywierania nacisku w sprawach Polski na miejscowych polityków, posłów do parlamentów prowincjonalnych i parlamentu federalnego Kanady.

Rozważana była również koncepcja połączenia wszystkich grup kanadyjskich, celem lepszego skoordynowania wspólnej pracy. Ostatecznie przeważyła idea przystąpienia do istniejącego już Ogólnoświatowego Stowarzyszenia Organizacji Pro-Solidarnościowych (CSSO tj. Conference of Solidarity Support Organizations). Akces do CSSO poszczególne organizacje z Kanady złożą indywidualnie jeszcze przed kolejną Konferencją CSSO planowaną w Priovidence, Rhode Island, USA (24-25 maja br.)

W liście wystosowanym do Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej „Solidarność" (TKK) uczestnicy spotkania podkreślili wierność ideałom tego ruchu związkowego i społecznego. Zadeklarowano nieustawanie w niesieniu pomocy dla „Solidarności" i demokratycznej opozycji politycznej w Polsce. (rh)

STANISŁAW BIENIASZ W KSIĘGARNI „WAWEL"

Spotkaniem z polskim pisarzem emigracyjnym Stanisławem Bieniaszem w dniu 5 kwietnia br. księgarnia „Wawel" w Kolonii rozpoczęła cykl wieczorów autorskich.

Stanisław Bieniasz urodzony w 1950 r. w Zabrzu-Pawłowie, wychowany również na Górnym Śląsku, debiutował w kraju jako publicysta i autor kilku sztuk teatralnych. Od 1981 r. przebywa w Republice Federalnej Niemiec. W roku 1984 wydał w Polskiej Fundacji Kultu-

ralnej (Londyn) zbiór opowiadań pt. „Ostry dyżur". Jego powieść „Ucieczka" powstała również na emigracji.

Bohaterowie jego opowiadań i powieści pochodzą najczęściej z „Czarnego Śląska". Sam Bieniasz mówi o swoim pisarstwie: „Czuję się trochę – tak jak Kazimierz Kutz – separatystą śląskim"...

(ks)

ROCZNICA ZBRODNI KATYŃSKIEJ

Członkowie PPS Południe w Hamburgu uczcili 46 rocznicę zbrodni katyńskiej demonstrując przed siedzibą Aeroflotu. Transparenty i ulotki w języku niemieckim nie wywołały jednak większego zainteresowania ze strony przechodniów.

Nie pomogły też pieśni polityczne, które dzięki aparaturze nagłaśniającej rozbrzmiewały na całej ulicy. Ich autor i wykonawca, Kurt Knessel, przedstawiciel IGFM w Hamburgu kończąc swój występ skonstatował, że gdyby chodziło tu o „wolność" dla Nikaragui to śpiewałby do tysięcznego tłumu.

Kurt Knessel śpiewał do około 50 osób.

(jr)

PROTEST EMIGRANTÓW W BONN

8 kwietnia, w drugim dniu wizyty ministra spraw zagranicznych PRL Mariana Orzechowskiego w RFN, Towarzystwo Kontynent wraz z Grupą Roboczą „Solidarność" z Bonn zorganizowały przed ambasadą polską w Kolonii kilkugodzinną demonstrację protestacyjną. Jej celem by-

ło przypomnienie niemieckiej opinii publicznej o dokonującym się w PRL bezprawiu, łamaniu praw człowieka i obywatela, więzieniu ludzi za ich przekonania polityczne. Naprzeciw ambasady ustawiono transparenty i makiety z nazwiskami wybitnych przedstawicieli opozycji odsiadujących w więzieniach wieloletnie wyroki. W manifestacji uczestniczyli przedstawiciele licznych organizacji emigracyjnych m. in. z Ogniska Zjednoczenia Polskich Uchodźców i Koła Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia

Foto: K. Hyla

Narodów z Dortmundu, Grupy Roboczej „Solidarność" z Kolonii, a także Polskiej Partii Socjalistycznej na obczyźnie. W czasie trwania akcji zbierano podpisy pod petycję adresowaną do gen. Jaruzelskiego, w której domagano się uwolnienia wszystkich więźniów politycznych, zaprzestania represji wobec ludzi wyznających odmienne – od oficjalnych – poglądy. W demonstracji wzięło udział ponad 60 osób.

(st. b.)

NOWA WYSTAWA POLSKA

W Berlinie Zachodnim otwarta została wystawa mieszkającego tu od czterech lat polskiego malarza Andrzeja Worońca. Galeria Artystyczna Artyficium, która udziela gościny pracom artysty z trudem mogła pomieścić polskich i niemieckich gości zwiedzających wystawę w czasie trwającego kilka godzin inauguracyjnego wernisażu. Ponad dwieście osób przybyło na otwarcie ekspozycji nowych prac Worońca. Atrakcyjnym akcentem był też koncert istniejącej w Berlinie Zachodnim polskiej kapeli.

Wystawa nosi tytuł „Wnętrza" i zawiera obrazy o pewnej wspólnej linii tematycznej.

Andrzej Woroniec zajmuje się także od lat scenografią do przedstawień teatralnych. Wpływ teatru na jego twórczość jest też w przedstawianych obrazach wyraźny. Dodać można, że polski plastyk prowadzi także od dłuższego czasu w Berlinie Zachodnim działalność pedagogiczną skupiając w swojej pracowni malarskiej przy Studio Artystycznym „Etage" sporą liczbę młodych adeptów sztuki.

(jh)

OPIEKA ZACHODNIOBERLIŃSKIEGO „CARITASU" NAD POLSKIMI UCHODŹCAMI

85-lecie istnienia i działalności katolickiej organizacji charytatywnej „Caritas" w Berlinie Zachodnim stało się m. in. okazją do wydania obszernej, ponad 150-stronicowej publikacji na temat społecznej opieki „Caritasu" nad mieszkającymi tu cudzoziemcami, szczególnie uchodźcami politycznymi. Jeden z rozdziałów tej publikacji poświęcony został sprawom polskim.

Około 170 klientów przewija się miesięcznie przez zajmującą się polskimi sprawami specjalną placówkę „Caritasu" w Berlinie Zachodnim. Udziela się tu porad prawnych i prowadzi konsultacje, pomaga w załatwianiu skomplikowanych nieraz spraw w poszczególnych urzędach. Do dyspozycji zwracających się o pomoc stoją dwaj adwokaci, a także zaprzysiężeni tłumacze oraz pracownicy „Caritasu" doskonale zorientowani w gąszczu przepisów, wobec których Polacy są często bezradni.

Do najczęstszych należą porady w załatwianiu tzw. pomocy socjalnej, pozwolenia na pobyt lub formalności dla tych, którzy decydują się na emigrację do innych państw. Pomoc „Caritasu" obejmuje przede wszystkim polskich uchodźców *politycznych*. We wspomnianej publikacji, że polityczna sytuacja w Polsce mimo formalnego zniesienia stanu wojennego w lipcu 1983 roku w istocie nie polepszyła się, a szykany i prześladowania opozycji są „...tak jak przedtem na porządku dziennym..." W myśl tego cytatu działa też „Caritas". Tym bardziej, że w świetle nowych obowiązujących od 1 czerwca 1985 roku w RFN przepisów sytuacja polskich uchodźców znacznie się pogorszyła.

Polskim punktem opieki, który jest w Berlinie Zachodnim jedyną tego typu placówką, kieruje dr Steiner, sławista z wykształcenia, świetnie mówiący po polsku, zajmujący się sprawami polskimi od szeregu lat i znający je doskonale. Jego działalność jest na terenie Berlina Zachodniego dobrze znana i ceniona.

Do polskiego punktu opieki i poradnictwa „Caritas" zgłaszają się też często uchodźcy z innych krajów bloku wschodniego: Czesi, Rumuni czy Rosjanie otrzymując tu także pomoc i opiekę. (jh)

Listy do redakcji

Monachium, 21. 4. 1986
Ldz: 21/86

Szanowny Panie Redaktorze,

Dziękujemy za tak przychylne zainteresowanie się naszą działalnością, czego dowodem jest notatka Redaktora i... Zecera, jaka ukazała się w numerze 7 (105) Pańskiego poczytnego „Poglądu"...

Mamy poczucie humoru i lubimy podobnie jak Pan dobre żarty, więc mamy nadzieję, że zechce Pan nas zacytować w następnym numerze.

Propozycji nadania naszej gazetce nazwy „Złoty Róg" nie możemy przyjąć, gdyż nie jesteśmy jeszcze jej godni i uważamy, że należy się ona „Poglądowi" z uwagi na zamożnych sponsorów, którzy jak widać nie żałują złota by ten róg zapełnić.

Gdyby Pan, Szanowny Panie Redaktorze zechciał przy okazji ubrać „czapkę z piór", dobrze by było jednak tych sponsorów ujawnić...

Również propozycja Zecera o stemplowaniu naszych „Komentarzy" sygnetem Wałęsy, jest dla nas nie do przyjęcia. Zbyt wysoki to dla nas zaszczyt, by dostać się do grona tych, którzy te i inne atrybuty „Solidarności" przyjmują za własne.

Wystarczyłby natomiast Pański sygnet wraz z dyspozycją jakim kolorem mamy go odciskać, czerwonym czy zielonym, gdyż nie wiemy jaki Panu (Pańskim Sponsorom...) odpowiada....

Odnośnie zakończenia kroniki o Polonii szwajcarskiej z uwagą o „stosunkach monachijskich", pozwalamy sobie zauważyć, że najlepiej byłoby zrobić rzetelny reportaż tu na miejscu, by nie polegać na fałszywych informacjach z niewiadomego źródła. Pozwoliłoby to Panu pisać o stosunkach w Monachium w sposób obiektywny i poważny.

Jedyną sprawa sądową, w której zresztą ZPU jest stroną pozwaną, jest skarga złożona przez dwóch „niezadowolonych" z przebiegu XI Rady i wyborów do ZPU, w tym jednego znanego Panu... Pisarka z Berlina...

Ile natomiast spraw sądowych toczy się z ró'żnych prywatnych sporów w Monachium, Berlinie czy innych miastach tej Republiki i kto je z kim prowadzi, nie jest nam wiadomo.

O ile natomiast zechciałby Pan rzeczywiście zainteresować się Monachium i problemami żyjących tutaj Polaków, proponujemy uprzejmie pomóc nam w rozwiązaniu smutnego problemu działalności, bynajmniej nie kościelnej, tutejszego księdza-patrioty i aktu politycznej głupoty, jaką przy jego poparciu chcą się dopuścić zbyt gorliwi w tym kierunku przedstawiciele tzw. „Solidarności" (Wolnych Polaków w Bawarii). Temat ten wydaje się nam zbyt poważny i nie cierpiący zwłoki by go jedynie umieścić w kronice lub listach czytelników. Tu potrzebny jest rzeczowy, obiektywny i analityczny artykuł czy reportaż, jakich wiele przykładowych mieliśmy przyjemność czytać w Pańskim „Poglądzie".

W załączeniu przesyłamy część materiałów dotyczących tego tematu i tych stosunków, które wydają się być nie tylko monachijskimi, ale inspirowanymi z całkiej innej centrali.

Dziękujemy raz jeszcze za życzliwość i przesyłamy koleżeńskie pozdrowienia dla Pana i całego Zespołu Redakcyjnego.

Za Biuro Prasowe ZG. ZPU.

Pan
Edward Klimczak
Gesslerstr. 10
D – 1000 Berlin 62

Szanowny Panie!

Wczoraj (7/04/86) otrzymałem list z redakcji „Poglądu" powiadamiający mnie o rezygnacji ze współpracy ze mną i ani słowa wyjaśnienia. Przypuszczam, że otrzymał Pan list z Wiednia wraz z egzemplarzem „Mazurka" i mój udział w redagowaniu tego pisma spowodował, że jest Pan zmuszony przerwać naszą współpracę.

Jeżeli to jest powodem, to chciałbym powiadomić Pana, że zrezygnowałem ze współpracy z „Mazurkiem", uważając że pismo to bardziej służy PRL, aniżeli Polakom mieszkającym poza granicami PRL, o czym pisemnie powiadomiłem wydawców „Mazurka" (kopię pisma załączam).

Jeśli uzna Pan, że pomimo tego zdarzenia możemy jednak dalej współpracować, sprawi mi to ogromną radość.

Kopią pisma do wydawcy „Mazurka" może Pan dysponować według własnego uznania.
Wien 8/04/86

Z poważaniem
Ryszard Gizowski

„MAZUREK"
Verlags- und Werbeagentur
Inh. Alina Heppe
Sinawastingasse 26/18/12
A – 1210 Wien

Ponieważ rozmowy, jakie przeprowadziliśmy 25 i 27 marca br., nie doprowadziły do żadnych zmian, a wręcz odwrotnie, utwierdziły mnie w przekonaniu, że linia pisma jaką Państwo postanowiliście utrzymać, bardziej służy interesom PRL, aniżeli Polakom mieszkającym poza granicami Polski, postanowiłem zrezygnować z dalszej z Państwem współpracy i proszę o skreślenie mojego nazwiska z redakcji.

Jednocześnie rezygnuję z kolportażu „Mazurka".
Wien 29/03/86

Z poważaniem
Ryszard Gizowski

Odpowiedzi Redaktora:

Autorom podpisującym się pseudonimami: „Kuba", „Lech oraz A. T. z USA dziękuję za nadesłane materiały. Nie skorzystam.

Potwierdzam otrzymanie od Pana T. W. (Anglia) następujących czasopism podziemnych – „SW" 26/119, „SW" 1/120 oraz „WB-Ku niepodległości" nr 154, „Solidarność Rolników" str. 5-12 nr 2/24/85. Dziękuję.

FUNDUSZ WYDAWNICZY „POGLĄDU"

Każde wydanie „Poglądu" ukazuje się również w wersji zminiaturyzowanej z przeznaczeniem dla Czytelników w kraju.

Los wolnego słowa w Polsce zależy więc również od Czytelników i Prenumeratorów „Poglądu".

Każda, nawet najmniejsza wpłata na fundusz wydawniczy pozwoli zwiększyć nakład naszego dwutygodnika na kraj.

Nazwiska ofiarodawców będziemy publikować.

Wpłaty prosimy kierować na konto:

„Gesellschaft Solidarność" e.V.	lub
„Pogląd"	Postscheckkonto
Sparkasse der Stadt Berlin West	586 90-102
Konto Nr 122 001 238 2	BLZ 100 100 10
BLZ 100 500 00	Postscheckamt
	1000 Berlin (West)

Na fundusz wydawniczy:
1. Janusz Frelik, Gutersloh DM 20,-

Możliwość zatrudnienia
w okolicy Stuttgartu w zawodach:
ślusarz – mechanik, monter, blacharz

Osoby posiadające, bądź mogące uzyskać pozwolenie na pracę proszone są o nadsyłanie krótkiego życiorysu i przebiegu pracy zawodowej na adres: Jacek JANOTA–BZOWSKI, Morikestr. 8, 7274 Haitorbach, w terminie do 11 maja. Brak odpowiedzi do dnia 31 maja br. świadczy o niezakwalifikowaniu.

ZNACZKI I BANKNOTY Z PODZIEMIA

Do nabycia w „Poglądzie"

CENY ZNACZKÓW

J. Piłsudski . . . . . DM 7,–
M. B. Częstochowska . . . . . DM 5,–
M. B. Ostrobramska . . . . . DM 5,–
Św. Jerzy . . . . . DM 5,–

CENY BANKNOTÓW

ks. Popiełuszko . . . . . DM 10,–
Jan Paweł II . . . . . DM 10,–

„Pogląd" ukazuje się od stycznia 1982 roku (do października 1982 roku, jako „Biuletyn Informacyjny" Komitetu Obrony Solidarności) i jest niezależną publikacją Towarzystwa Solidarność e.V. –zrzeszenia zarejestrowanego w Berlinie Zachodnim, mającego na celu obronę prawa do zakładania niezależnych związków zawodowych oraz obronę praw człowieka w Europie Wschodniej.

Fragmenty § 2 Statutu Towarzystwa

Zrzeszenie jest ponadpartyjne i realizuje w swej działalności wyłącznie cele użyteczności publicznej, jakimi są:

1. Popieranie niesienia pomocy dla osób prześladowanych z przyczyn politycznych, rasowych i religijnych, dla uchodźców i wysiedleńców, przede wszystkim z krajów Bloku Wschodniego, a w szczególności z Polski.
2. Propagowanie tolerancji w dziedzinie kultury oraz rozpowszechnianie idei porozumienia miedzy narodami w celu pokojowego ich współistnienia. (...)
3. Propagowanie zbliżenia kulturowego pomiędzy narodami, a w szczególności miedzy Polakami i Niemcami. (...)
4. Popieranie ruchów demokratycznych w państwach totalitarnych, przede wszystkim w Polsce i krajach Bloku Wschodniego. (...)
5. Zrzeszenie realizuje swoje cele poprzez uświadamianie i popularyzowanie idei demokratycznych i kultury politycznej. W tym celu:
6. Zrzeszenie rozprowadza swoje czasopismo „Pogląd" – „Meinung" w kraju i za granicą. Zadaniem czasopisma jest informowanie o tendencjach rozwojowych w Polsce i w państwach totalitarnych, przede wszystkim w tych, które należą do Bloku Wschodniego, jak również na celu stworzenie forum dla prześladowanych, wysiedleńców oraz uchodźców z tych krajów. (...)
7. Zrzeszenie ma zamiar dokonywać analiz sytuacji w krajach totalitarnych, poprzez organizowanie sympozjów i wykładów oraz publikowanie ich rezultatów w celu informowania opinii publicznej. (...)

Cena pojedynczego egzemplarza bez wysyłki:

Australia	2,5 $A
Austria	30 Ö S
Belgia	85 bfr
Dania	15 dkr
Francja	15 FF
Holandia	5 hfl
Norwegia	13,5 nkr
RPA	2,5 R
Szwecja	15 skr
USA	2,5 $
Wielka Brytania	1,2£

PRENUMERATA

RFN:

kwartalna	DM 27,-
półroczna	DM 52,-
roczna	DM 85,-

Kraje europejskie:

półroczna	DM 54,-
roczna	DM 90,-

USA, Kanada, Afryka, Ameryka Południowa:

półroczna	DM 72,-
roczna	DM 120,-

Australia:

półroczna	DM 82,-
roczna	DM 140,-

Wysyłkę podejmujemy po przekazaniu należności na konto:

„Gesellschaft Solidarność" e.V.
„Pogląd"

Sparkasse der Stadt Berlin West
Konto Nr. 122 001 238 2
BZL 100 500 00

lub

Postscheckkonto
586 90 - 102
BLZ 100 100 10
Postscheckamt
1000 Berlin (West)

Czytelników w Szwecji prosimy o dokonywanie wpłat na prenumeratę na konto:

Tadeusz Karolak
Postgiro, Nr. 465 0809–9
dopisek: POGLAD

OFFSETDRUCKEREI
Hans-Juergen Wichmann
Askanierring 155-156
1000 Berlin 20

CENA DM 4.-

© Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i tłumaczenie wyłącznie za pisemną zgodą redakcji. Zastrzega się prawo skracania nadesłanych materiałów. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nawet materiały podpisane nazwiskiem niekoniecznie oddają pogląd redakcji. Odpowiedzialność prasową za artykuły podpisane nazwiskiem ponoszą autorzy. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Pogląd

IMPRESSUM
Verleger – Wydawca
Gesellschaft Solidarność e.V.
Gesslerstr. 10, D-1000 Berlin 62
Redaktor odpowiedzialny
Edward Klimczak
Adres redakcji
Postfach 62 02 24
D - 1000 Berlin 62
Tel. 030/782 93 84
Przedstawiciele, korespondenci i kolporterzy
AUSTRALIA – Andrzej Lewandowski, 905/32 Dumond Street, Bentley 6102, Tel. 09/3505094;
AUSTRIA – „Wiadomości Polskie", A. Jaślikowski, Kolbigasse 35/15, 1030 Wien;
DANIA – Roman Śmigielski, Kastelsvej 5, 3tv, 2100 Kopenhagen 0, Tel. 01/425184;
FRANCJA – Krystyna Szewczuk, 143, rue Etienne Poulet, 69400 Villefranche s/S, Tel. 74/620945;
KANADA – Krzysztof Kasprzyk, 46 Fuller Ave., Toronto, Ontario M6R 2C3; Marek Przykorski, 4760 Cote des Neiges, Montreal P.Q., H3V 1G3, Tel. 514/73559-74;
NORWEGIA – Paweł Gajowniczek, Linderberggasen 32b, 1068 Oslo;
RFN – Łucja Abramowicz, Schniederbergstr. 135, 4532 Mettingen, Tel. 05452/3878; Andrzej Baranowski, Riesengebirgestr. 1, 5300 Bonn 1; Stanisław Brodnicki, Zum Luftschacht 17, 4600 Dortmund 15, Tel. 0231/374673; Anna Cykowska, Hammersteinstr. 1, 3000 Hannover 1, Tel. 0511/624038; Anna Janiszewski, Hamburg, Tel. 040/458261; Andrzej Janiszewski, Suedstr. 8, 5100 Aachen, Tel. 0241/22078; Jerzy Jankowski, Oskar-Maria-Graf-Ring 54, 8000 Muenchen 83, Tel. 089-/6371213; Lech Jarmuła, Postfach 601203, 2000 Hamburg 60; Zygmunt Kuciej, Emdenerstr. 9, 6230 Frankfurt 80, Tel. 069/385-975; Jan Kustusz, Engelbert Str. 85. 5760 Arnsberg, Tel 02932/-22798; Tadeusz Leś, Wienerstr. 307a, 7000 Stuttgart 30, Tel. 0711/8567415; Marek Poliwaki, Bachemerstr. 27, 5000 Koeln 41, Tel. 0221/407161; Mirosław Suflida, Wilhelm Bauman Str. 51, 4830 Guetersloh, Tel. 05241/27-730; Waldemar Tymoszuk, Alster Arkaden 10, 2000 Hamburg 36; Jacek Wyrwiak, Bruesselerstr. 11, 5300 Bonn 1, Tel. 0228/678379;
SZWECJA – Tadeusz Karolak, Box 83, 13525 Tyreso, Tel. 08-7421457;
USA – Piotr Całka, 4855 W 119th, Alsip 60658 Ill. Tel. 312/5972096; Mirosław Marecki, P.O. Box 605a, Holand, MI 494-32, Tel. 616/3966207; Tamara Sochacka, 3198 Trowbridge, Hamtramck, MI 48212, Tel. 313/-8711686; Andrzej Wiśniewski, 713 N. Rochwell //c, Oklahoma City, O.K. 73127;
WIELKA BRYTANIA – Solidarity with Solidarity, 7 Quintin Av., ondon SW20 8LD, Tel. 01/673-4456;

Postvertriebsstück: A 9878 D
Gebühr bezahlt
Poglad, Postfach 620224,
1000 Berlin 62

W najbliższych tygodniach ukaże się nowość wydawnicza „Poglądu" – Witolda Wirpszy „Polaku, kim jesteś?" Zamówienia już dziś można nadsyłać na adres redakcji. Przewidywana cena – DM 25,-. „Książka ta powstała swego czasu z myślą o czytelniku cudzoziemskim – było to w dodatku dość dawno – pierwsze wydanie ‚Polaku, kim jesteś?' w języku niemieckim ukazało się w roku 1971 w Lucernie. A jednak z czystym sumieniem polecam ją czytelnikowi polskiemu – teraz, w roku 1985. Polecam ją czytelnikowi polskiemu, ale nie każdemu. Nie polecam jej przywiązanemu do znanych stereotypów polskości, takiemu, który w książce ze słowem ‚Polak' w tytule szukać będzie potwierdzenia tego, do czego jest przyzwyczajony od dziecka i co może nawet zawiera jakąś prawdę, ale tak banalną, że nie warto się nią zajmować, tym bardziej zaś takiemu, któremu wyidealizowana polskość służy do wywyższania się nad innymi, który swój ‚kompleks polski' (usprawiedliwiony skądinąd kolejami losu narodowego – wszyscy go w jakimś stopniu dźwigamy) przerobił na ksenofobię, zapiekłą złość i zasklepienie, na wieczną obolałość, wystawianie na pokaz ran i zadrapnięć, pretensje do całego świata o spadające na Polskę plagi. Taki czytelnik książki Wirpszy nie przyjmie i nie zrozumie, co najwyżej pogrąży go ona w głuchej irytacji. Polecam ją takiemu czytelnikowi polskiemu, który lubi myśleć – i którego ciekawi myślenie innych, nawet wtedy, a może zwłaszcza wtedy, kiedy podąża innymi drogami niż jego myślenie. Takiemu, który się nie gorszy i nie oburza ani na oryginalny przewód myślowy, ani na przytoczone fakty, który nie sądzi, że w dziedzinie myślenia o własnym narodzie powinno być przestrzegane jakiekolwiek tabu, uważa natomiast, że z myślenia zawsze coś dobrego wyniknie, choć to dobro nie musi się od razu zmaterializować w czymś uchwytnym i policzalnym". (Z przedmowy Wiktora Woroszylskiego)